

Wzrost i rozkwit

PRZEGLĄD LWOWSKI.

Pismo dwutygodniowe
poświęcone sprawom
religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

ROK PIERWSZY.

1. Grudnia 1871.

Poszyt dwudziesty trzeci.

(Fide ac veritate.)

Spis rzeczy:

1. Czy Jezuita zgubili Polskę?
2. Listy O. Hieronima Kaysiewiczza do braci i przyjaciół z drugiej podróży zaatlantycznej List III. część I.
 - Kalejdoskop.
 - Pół wieku nazad — Stan kraju — Zalety i przywary — Zwyczaje społeczne — Przybory do drogi — Goście — Portrety. Przez Borlicsa Sasa.
4. Lamartin (Studium literackie). Przez Adama Krechowickiego.
5. Przegląd literatury historycznej. Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego tom VI. PP. Kazimierz Jarochowski, Dr. Wojciech Kętrzycki — p. Domorodki — Dr. Libelt — śp. Ludwik Zajssner — p. Stanisław Koźmian (z poznańskiego) p. Feldmanowski.
6. Korespondencya Przeglądu: z Berlina.
7. Dwutygodnik polityczny.
 - I. Kaplica św. Stanisława Kostki.
 - II. Król Sardyński w Włocznem Mieście.
 - III. Stowarzyszenie katolickie — Ojciec św. — Listy — Dar Piusa IX. przesłany przełożonemu Missyi polskiej w Paryżu Ks. Jelowickiemu.
 - IV. Niemcy — Zamach na kościół — Signum persecutionis — OO. Jezuita — Biskupi — Ks. Arcybiskup Ledóchowski — Holandia — Baron de Biberstein Zawadzki — Jego mowa — Konstantynopol — Ks. Arcybiskup Franchi — Biskup Strossmayer.
 - V. Stowarzyszenie św. Józafata w Pelplinie.
 - VI. List duchowny O. Aleksandra Jelowickiego.
 - VII. Gazecie narodowej — liberal — z światła — Dwaj chłopcy — Prace Gasety — P. Dobrzański — P. Wierzejski po przejrzaniu się w lustrze — Pani Felicja Wasilewska — Odprawa kronikarzowi.
 - VIII. Ks. Roman z Pawłowa vulgo Wilczyński i p. Agaton Giller.
 - IX. Pan Sozański.

L W O W.
NAKŁADEM REDAKCYI.

Z Drukarni Karola Budweiskera.
1871.

Przegląd Lwowski

wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca
objętości 3½ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierćrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4;
rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierćrocznie talarów 1½; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierćrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

Przyjmują także prenumeratę we Lwowie: Agencya „Czasu“ u p. Piątkowskiego, plac katedralny; księgarnie pp. Sayfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Schmidta i Gubrynowicza; — w Krakowie księgarni p. Jaworskiego p. Krzyżanowskiego; — w Poznaniu w księgarni p. Tytusa Daszkiewicza; — w Prusach w Ostrowie u p. Priebatsch'a; — w Paryżu rue de la Trinité 3. chez Mons. l'Abbé Léon Postawka.

Uwaga: Dla uniknienia opóźnień w przesyłce prosimy prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracji Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitulnej l. 24.

Nakładem Wydawnictwa Przeglądu Lwowskiego
wyszła

PAMIĄTKA 25 letniej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską PAPY ŚW. PIUSA IX.

Dostać ją można w Administracji Przeglądu:

| | |
|---|-------------|
| Cena egzemplarza na papierze holenderskim | 2 zł. — ct. |
| na papierze listowym | 1 „ 50 „ |
| na papierze zwykłym | 1 „ — „ |

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

IV.

Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej, czyli nad epoką jezuicką. — Klótnia Jezuitów z Akademią Krakowską czy może stanowić epokę. — Odkąd datuje się upadek Akademii Krakowskiej i przyczyny jej upadku. — Akademia Wileńska i Stefan Batory. — Spór z Akademią Krakowską i Jezuitami o Szkołę Poznańską. — Historia klótni Akademii Krakowskiej z Jezuitami. — Otwarcie i zaniknięcie Akademii Lwowskiej. — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku. — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych. — Jezuici i oświata na Litwie. — Florydacyzm i jego przyczyny. — Makaronizmy. Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historii.

W świecie polskim naukowym rozpowszechnione jest zdanie, że Jezuici spowodowali upadek literatury polskiej. Nie znam żadnej historii literatury naszej, choćby w najcieńsze ramy ujętej, gdzieby Jezuici od tej winy wolnymi byli. Spodobalo się nawet epokę upadku nazwać „*per antinomaziam*“ okresem jezuickim i naznaczyć mu dosyć śmieszne granice „klótnię akademii krakowskiej z kolegium Jezuitów św. Piotra i wystąpienie Konarskiego“. Wertując pisma takich literatów jak Maciejowski i Wiszniewski, trudno nie dostrzedz nienawiści wyraźnej w owych filipikach na Jezuitów. Tę samą piosnkę powtarzają wszyscy nie tylko pisarze historii literatury, ale wszyscy zajmujący się jakąbądź pracą literacką, a niedawno temu jeden z profesorów akademii Jagiellońskiej, jej rektor zarazem, ogłaszając światu kodeks dyplomatyczny *almae matris*, woła pompatycznie: „przemóżne Jezuitów Towarzystwo rozlawszy się wzdłuż i wszerz Polski i przywłaszczywszy sobie kierownictwo wychowania dzieci i młodzieży . . . ducha narodu skaziło“¹⁾. Stało się już artykułem wiary literackiej, że Jezuici zgubili literaturę polską.

¹⁾ *Ad regum exemplar sacerdotibus quoque superiorum ordinum nobilesque flagrare inceperunt litterarum studio, quod laetissime usque ad istam crecebat tempestatem, qua praepotens Jesuitarum Societas, per totam Poloniam longe lateque diffusa, arrogata sibi in puerorum juvenumque disciplinam dominatione periculosam posteris vitae riam munivit et ingenium populi depravavit.* Przedmowa p. Skobla, doktora medycyny i chirurgii i rektora wszechnicy krakowskiej do dzieła: *Codex diplomaticus universitatis studii generalis Cracoviensis. Pars I. Cracoviae 1870.*

Bentkowskiemu jednak należy się ta chwala i zasługa, że pierwszy podniósł i wynalazł owo dogma od wszystkich wierzone i wyznawane potem, chociaż nieco odmiennie. W swojej historii polskiej literatury, która na każdą inną nazwę, tylko nie na historią literatury zasługuje¹⁾, naznacza on epokę upadku na pierwszą połowę XVII w., i ośm znajduje przyczyn tego wstecznego zwrotu, między temi zaś czwartą przyczyną są Jezuiti²⁾. Atoli następni literaci, opuszczając wcale siedm innych przyczyn lub tylko lekko mimochodem je dotykając „jedyną“ a przynajmniej „główną“ przyczynę upadku widzą w Jezuitach.

Nie piszę piórem maczanem w zółci: — dla p. Bentkowskiego mam szacunek z tego już względu, że on był pierwszym, który na tem polu pracował, że żył w wieku owianym niewiarą i wstrętem ku katolicyzmowi, że wreszcie obwiniając Jezuitów o nietolerancją, która także miała być ich robotą, jest jednak mniej niesprawiedliwym dla nich, gdyż uważa ich za jedną z ośmiu współprzyczyn, nie zaś za jedną przyczynę złego, i przytacza przecie jakie takie, chociaż jednostronne i naciągane, świadectwa. Ale jakże nie ma boleć serce, kiedy u innych ciężkie i zawzięte czytam obwinienia, a żadnych dowodów nie znajduję, lub powtarzane i złośliwie nakręcane za Bentkowskim? Doprawdy potrzeba się wprawdzie zdobyć na heroiczny akt miłości chrześcijańskiej, nim się do pisania o tym przedmiocie przystąpi.

Dwie przedewszystkiem podać muszę uwagi. Najprzód, że prawdziwej rzetelnej historii literatury polskiej nie mamy dotąd, lubo kilkotomowe dzieła napisali o niej Wiszniewski, Maciejowski, Wojcicki, Loewestam, a kompedyjalnych szkiców naliczyć można kilkadziesiąt.

Co też to za łacina w tej przedmowie! Jaki sens mają n. p. te słowa: „*periculosam posteris vitae viam munivit? a Vladislao Jagiellone recreata.*“ Albo: „*Senatum calore fretum quo uterque (i. e. Dom Hankiewicz et Żegota Pauli) producitur, spes tenet, fore ut...* Albo: *conatus inter se dispares putandi erant.*“ Co szanowny rektor przez owe: „*periculosam posteris vitae viam munivit*“ chciał wyrazić, niepodobna się domyśleć, bo *viam munire* nigdy nie znaczy drogę torować — inne wyrażenia, które nie są łatwymi, łatwiej zrozumieć, położywszy miasto *recreata, restaurata* — miasto *senatum* itd. należało położyć „*Quorum quidem per illustri ingenio atque labore Senatus frctus, spem alit...* miasto: *conatus inter se dispares putandi erant*, miało zapewne być: *conatus irriti videbantur*.

Żałuję mocno, że szanowny rektor uniwersytetu nie chodził po łacinę do Alwara, a pisać lichą łaciną, jakto zakon Jezuitów *ingenium populi depravarit*, sam mimo swej wiedzy i chęci *ingenium linguae latinae depravarit*.

¹⁾ Praca Bentkowskiego nie wykazuje żadnej historycznej spójni między pojedyńczemi okresami, ani podaje poglądu rzetelnego a szeroko rozległego na piśmiennictwo nasze. Jest to raczej bibliografia poprzedzona uwagami ogólnomi nad piśmiennictwem polskiem.

²⁾ Bentkowski, wychodząc z tej podobno zasady, że w oświacie równie jak na drodze cnoty nie postępować, znaczy wstecz się cofać, nazwał owe przyczyny upadku „przeszkodami“ dalszego rozwoju.

Powtóre, że tak długo ani nam myśleć o historii literatury godnej tego nazwiska, jak długo z fałszywego stanowiska na nią się zapartywać i historią literatury od historii narodu (która także ostatniej jeszcze ręki potrzebuje) oddzielać będziemy. Tych dwóch prawd nie podobna mi wykazać na wszystkich i na każdym z osobna dziele literaturze poświęconem; urosłoby ztąd nowe dzieło przewyższające objętością pracę niniejszą, ale opierając się na własnych kilkoletnich studiach i na wyznaniu samychże panów literatów ¹⁾, twierdząc śmiało, że historii literatury polskiej nie mamy dotąd i nie prędko jeszcze nią się poszczycimy. Jest-to nierównie trudniejszy przedmiot do opracowania niż historia polityczna, bo wtajemniczyć się trzeba w najskrytsze prądy ducha, przejąc się całem wewnętrznem życiem minionych dawno pokoleń — co jest tem trudniejszą rzeczą, im większą jest różnica pojęć i zwyczajów obecnej chwili. Dla tego też Wiszniewski i Maciejowski zgola nie pojęli historycznej u nas ery, tak zwanej piastowskiej, narzekając na szkodliwe wpływy latinizmu a tem samem wiary, którą latinizm Polsce przynosił, i możnaby ich posądzić o schlebianie potężnej Rosyi: z taką przesadą prawią nam o błogich owocach kościoła greckiego. Dla tego tak pompatycznie wynoszone są zasługi różnowierstwa koło literatury, tak namiętnie oskarżana nietolerancja i Jeznici jako „przeszkody“ literatury. Dla tego z takim uwielbieniem wspominają nam inni o Konarskim i Pijarach, komisji edukacyjnej i wrzekomych reformach naukowych za króla Stanisława.

Dodać muszę, że wypadki polityczne i religijne, okoliczności prywatne, postawiły tych ludzi, którzy się literaturą u nas zajmowali, w położeniu bardzo nieprzyjaźnem względem tak poważnej a trudnej pracy. Pod zaborcami zostając rządami, pobierając często roczną od nich pensyą, trzeba było niejedno przemilczeć, nie jeden fakt nakreślić, aby ująć surowej cenzury i nielaski potężnego rządu ²⁾. Historia polska i wszystko co polskie, z katolickiego stanowiska traktowane być powinno. Polska wzrosła i stała katolicyzmem i nie dla katolicyzmu upadła. Tymczasem filozofia niemiecka i nie w duchu katolickim pobierana edukacja wyrobiła u nas mężów myślących i czyta-

¹⁾ Między innemi niech mi wolno będzie odwołać się do zdania p. Szujskiego: „W dziejach literatury czeka nas droga wydobywania się z utartych frazesów i sądów, poważnego studium za pomocą „monografi“ a wyżej nieco: „Sąd P. R. trzyma się tradycyi sądów w historyach literatury zawartych, a sądy te niestety! nie wyszły, z małemi wyjątkami, z pilnego o studyum autorów“ (Przegląd Polski r. 1867, październik str. 151.)

„*Ex ore tuo te judico.*“ Czy p. Szujski wolen jest od zarzutu, jaki zadał p. Rycharskiemu? Czy sądy jego o Jezuitach „wyszły z pilnego studyum?“ Z tem wszystkim oddać tu należy słusność p. Rycharskiemu, który w swej książce (kompilacyi) odstrychnął się nieco od „tradycyi sądów“ o Jezuitach, i równie jak p. Mecherzyński w tomie III o wymowie w Polsce usuwa znaczną część od nich winy.

²⁾ Z tej też samej przyczyny „Encyklopedia polska“ 29-tomowe dzieło przepełnione jest błędami, ilekroć tyka literatury lub dziejów polskich.

nych może, ale wstrętnych i obojętnych dla wszystkiego, co katolickie, lub pojmujących katolicyzm według dzisiejszych wyobrażeń postępowych. Jakich naturalnie wieki minione nie podzielały. Jest też ogólną cechą pism polskich historycznych i literackich, to uwłaczanie wprost, lub podjazdowe napadanie na katolicyzm. Podpadają temu zarzutowi nawet ludzie dobrej wiary, jak Walery Wielogłowski, jak Szajnocha i jeżeli się nie myle, p. Szujski¹⁾. Nie schodząc z mylnego stanowiska, jakie raz zajęto, zmarnowały się najznakomitsze talenta, bezowocnymi, owszem szkodliwymi stały się prawdziwie olbrzymie prace Lelewela. Poszukiwania historyczne i badania przeszłości narodowej, jak już raz na początku powiedziałem, utrudniono w ten sposób nad miarę — tembardziej, że przez pół wieku powtarzane najmylniejsze zdania przeszły w powszechne przekonanie, a ludzie piszący w złej wierze lub dla korzyści materyalnych na nie się odwołują. Bo wiedzieć też należy, że jak za króla Stanisława utworzyła się u nas nowa szkoła literatów z profesyi, tak i temi czasy nie brak nam owych „uczonych“, którzy uważając naukę za rzemiosło szlachetne a zyskowne, nie tyle dbają o prawdę i sumiennosc w opowiadaniu, o wzbogacenie literatury narodowej, jak raczej o zysk z wydawanych dzieł i dla tego wydają je coraz to w nowych formach, eksploatując tym sposobem dobroduszną społeczność polską. Długi czas Warszawa była główną siedzibą nowych rękodzielników, Lwów i Kraków koloniami — nie wiem, czy obecne stosunki w Królestwie nie przeszkodziły temu rzemiosłu pisarskiemu.

Z tych to powodów krytyka historycznych opracowań a nade wszystko historyi literatury nie mogła wydać jak tylko sąd bardzo niekorzystny dla Jezuitów. Jakoż nawet najobojętniejsi, rozczytawszy się w dziełach Wiszniewskiego lub Maciejowskiego, które przecie w swym rodzaju uchodzą za najznakomitsze, osądzili, że dostarczają one materyałów do historyi literatury, ale nią nie są. Wszyscy inni z nich wypisywali, dokładając coś ze swego, a co więcej, odwoływali się na nie jako na powagę i cytacyami całych nieraz ustępów, powiększali swoje kompendium. Takim wypisywaczem i kompilatorem jest przed innymi p. Wójcicki.

Rzecz naturalna, że w podobnym składzie historyczno-literackich studiów Jezuita musieli odnieść porządne cięgi. Autorowie stosownie do politycznego swego wyznania, powstawali to na magnatów i szlachtę, to na zbytęcną wolność i złą konstytucją — ale w pierwszym i drugim razie zawsze znaleźli się winnymi Jezuita — i jakżeż nie miałyby być tak, kiedy oni przecie uważani są za przednią czatę katolicyzmu?

Nie wchodzi w zakres mej pracy sprostowanie tych wielu mylnych pojęć, jakie, dzięki licznemu a interesowanemu autorstwu, rozpowszechniły się u nas o całej dawnej literaturze polskiej i jej pojedynczych epokach. Ale pisząc w kwestyi o Jezuitach, jest obowiązkiem

¹⁾ Powiedzieć to wypada o wszystkich pracach naukowych, z nielicznymi wyjątkami z porzbirowej epoki.

moim przedstawić w prawdziwym obrazie ów okres upadku, rznieć kilka promieni na epokę „ciemnoty i obskurantyzmu“ przezwaną z wielkiem upodobaniem „epoką jezuityzmu“, aby raz przecie w rzetelnym stanęła świetle.

Chętnie zgadzam się na to, że literatura nasza w połowie XVII wieku i dalej nie może się poszczycić ani tą żywotnością myśli, ani tą wszechstronną rozległością pomysłu, ani nadewszystko tym „metalicznym dźwiękiem“ stylu, jakim celował Skarga i wiek jego. Przyznaję, że Kochowski nie był Kochanowskim, Starowski Kromerem, ani kaznodzieja „Lojolowicz“ Skargą, ale wręcz przeczę najprzód temu, że to już był wiek egipskiej ciemnoty umysłu, wiek niewiedzy i szumnej głupoty, jak chcą literaci; powtóre przeczę temu, że przyczyną i to jedyną lub główną przyczyną tego jakiegobądź wstecznego zwrotu byli Jezuiti.

Pierwszą rzeczą, która każdego rozsądnego uderzyć powinna, jest owa granica, ów kres oddzielający wiek złoty literatury od wieku upadku. Nie mogli sobie panowie literaci wystawić wymowniejszego świadectwa ubóstwa wiedzy i dobrej woli, jak wyznaczające klótnie Jezuitów z akademią krakowską za ós zwrotną upadku. Dotąd rozumiano zawsze przez epokę pewien przeciąg czasu odgraniczony wypadkami, których doniosłość przeważny wpływ wywarła lub nowy kierunek rzeczom nadała. Takimi wypadkami w dziejach literatury było bezwątpienia wynalezienie druku, rozrost różnowierstwa — zjawienie się postaci znakomitych jeniuszem, usobiających niejako naród cały i wszystką jego myśl i całe czucie ześrodkowujących w sobie. Wypadki polityczne dla ściślej spójni dziejów politycznych z umysłową pracą i wewnętrznem życiem narodu, mogą także, nigdy jednak pojedynczo ale zbiorowo, stanowić epokę. Żeby zaś spory dwóch korporacyj naukowych stanowczo i to ujemnie miały wpłynąć na losy narodowego piśmiennictwa — o tem się nikomu nie przyśniło — pierwsi literaci polscy wynaleźli podobną niedorzeczność. Niedorzeczność, mówię — bo jest to doprawdy śmieszna, utrzymywać, że to, co samo przez się i z natury swojej zdolne jest do podtrzymywania rozwoju umysłowego, co gdzieindziej stało się istotnie dźwignią naukowego ruchu, to u nas w Polsce miało się stać główną sprężyną wstecznego zwrotu, wywołało i stworzyło epokę upadku!

Wszak to jest rzeczą zdrowego gospodarskiego rozsądku, pewnością niezaprzeczoną, wiekami stwierdzoną, że współzawodnictwo czyli rywalizacja jest główną dźwignią handlu i przemysłu, gospodarstwa, a nawet w wojskowości — czemużby tylko w naukach to współzawodnictwo szkodzić miało?

Za jedną z ujemnych stron domowej edukacji podajemy słusznie i tę także, że uczeń nie ma z kim współzawodniczyć, a panowie literaci i profesorowie dobrze wiedzą, jak skutecznym bodźcem do naukowej pracy jest dla porządnego ucznia ta obawa być prześcignionym od kolegi, ustąpić mu wyższej swojej lokacyi. Prawda, że przez źle zrozumianą szlachetność, współbieganie się w szkołach poszło w lekceważenie, ale i postępi naukowy i w ogóle wychowanie na tem cierpi —

co każdy przyznać musi. Pozostanie to na zawsze prawdą: że współzawodnictwo w każdej rzeczy dobrej i moralnie godziwej podtrzymuje to, co w niej jest dobrego i pomaga do jej udoskonalenia. Nawet panowie literaci zdają się holdować tej zasadzie, ale podobno tylko wtenczas, kiedy z niej da się coś wyciągnąć na niekorzyść Jezuitów. Czyż bowiem niedość powszechne między nimi jest zdanie, że Jezuitci w Polsce w XVIII wieku dla tego spadli z dawnej swej wielkości naukowej, a przynajmniej stali niżej od swych braci we Francyi, że nie mieli w Polsce z kim współzawodniczyć, gdyż wszystkie szkoły „zagarnęli“ oni sami? ¹⁾ Jeżeli więc brak emulacji uważamy za jedną z przyczyn nieuctwa Jezuitów — to chciejmy być loicznymi i przyznajmy, że współzawodnictwo z akademią stałoby się dla obojej strony pożytecznem, i że strona unikająca współzawodnictwa jest winniejszą.

Oslawiona albowiem kłótnia Jezuitów z akademią krakowską nie była czem innem jak tylko współzawodnictwem ale między nierównymi zapaśnikami. Jeden z nich młody i świeży występował do walki z całą pełnią siły i wewnętrznego o niej przeświadczenia — drugi przeżyły już trochę, zwątlaty, nie czuł w sobie ani ochoty ani sił dosyć, aby móżdż przyjąć wezwanie i stanąć w szranki: pobocznemi tedy drogami starał się powalić swego przeciwnika. Jeżeli Jezuitom zarzucić można nporczywe napieranie się szkół własnych w Krakowie, to akademii koniecznie zarzucić potrzeba brak odwagi i determinacji z jednej strony, a z drugiej obwinić ją o zazdrość i nieużytość przeżyłego starca.

Nie jest to jedyny przykład w dziejach zakonu Jezuitów ta przeprawa z akademią. Naliczyłoby ich można kilkanaście. Nie pochodziły te spory bynajmniej z swarliwości i kłótniwości Jezuitów, jak głoszą literaci, ale miały swe źródło w tej prostej prawdzie: że każdej nowości i wyższości opiera się stary porządek. Jezuitci przychodzili z nową energią, lepszym systemem edukacyjnym i nierównie bogatsi zasobem wiedzy, jak dawne miejscowe akademie i zakłady szkolne. Lękano się więc, aby to nowe nauczycielskie grono nie zdarło wawrzynów lat tyle z taką chlubą i wyłącznie zbieranych, nie wyrwało z rąk wyłącznego przodownictwa w ważnej sprawie wychowania, a nareszcie aby nie odkryło braków i usterków starej metody i nie przyćmiło blasku wrzekomej uczoneści. Ta opozycja ludzi, jak mówią, starej daty i dawnych zużytych już instytucyj przeciwko każdej nowości jest naturalną i zwyczajną; bez względu czy nowość wprowadzona przez Jezuitów, czy przez Kollątaja lub nawet konstytucyą ma-

¹⁾ Wypowiada to otwarcie między innymi Bandtke: „W Niemczech stan kwitnący szkół niekatolickich utrzymywał zakon jezuitcki w ruchu jakim takim, a to było powodem do tego, że tam bywali Jezuitci uczeni i wydawali dzieła niezłe n. p. Atanazy Kircher, Jakób Gretser, Piotr Kanizy. We Francyi zaś ubieganie się o pierwszeństwo z uczonymi oratoryanami... a o wyższość nauki z uczoną kongregacyą Benedyktynów św. Maura od r. 1621, sprawiło to, że Jezuitci francuzcy ledwie że nie najuczniejsi byli tam literaci owego wieku.“ Dzieje król. pol. II. 303. *Habemus confitentem reum.*

ową. Tylko więc złość i wyraźna niechęć może zajścia z akademią włożyć na karb namiętnej chęci wicherzenia Jezuitów.

Niedorzeczniejszemi jeszcze stają się twierdzenia panów literatów z tej przyczyny, że w krajach innych, mianowicie we Francji podobne zajścia z akademią paryzką wręcz przeciwnie wywołały skutki jak te, które nam opisują panowie literaci. Otworzyli w Paryżu Jezuici zwyczajem swoim szkoły publiczne. Sorbona nie chciała ścierpieć, podobnie jak akademія krakowska tuż pod okiem swoim szkół zupełnie od siebie niezależnych. Podniosła więc krzyk w niebogłosy, skarżąc na pogwałcone przywileje swoje a wspomagana przez partję antykatolicką ¹⁾ nie tylko wymogła na Henryku IV zamknięcie tych szkół — ale dokazała tego, że Jezuitów z całej Francji wygnano ²⁾. Sądowe procedury, pienianie się po grodach i senackich izbach, które literaci zarzucają Jezuitom krakowskim, były praktykowane i tam, jeżeli nie w wyższym, to pewnie w równym stopniu. Jezuici sprawę przegrali. ośm całych lat nie mieli prócz w Bordeaux i Tuluzie ani jednej szkółki w całym francuzkiem państwie — i rzecz dziwna — Sorbona i szkoły po prowincjach zaczęły jawnie chylić się ku upadkowi. Henryk IV, król działający z taktem i zasadą, podobny pod tym względem do naszego Batorego, po kilkoletniem śledzeniu spraw i postępów Jezuitów, postanowił bądź co bądź przywrócić ich do swego państwa i nie wahał się wystąpić przed parlamentem w roli ich patrona. Cały przebieg tej sprawy opisany dokładnie nie tylko przez Juvencjusza i historyków zakonu, ale przez innych autorów uniwersalnych dziejów przynosi chlubę zakonowi, a na obronę Jezuitów w wielu punktach nawet dzisiaj nie] da się więcej i prawdziwiej powiedzieć, jak to uczynił król francuzki, którego zacność charakteru przez historję już oceniona, każe nam kłaść wielką wagę na jego świadectwo ³⁾.

¹⁾ Każdemu z historją choćby powierzchownie obznajomionemu wiadomo, że atak na życie króla, którego dopuścił się Jan Chatel r. 1594, koniecznie chciano włożyć na karb Jezuitów, i pomimo, że najokropniejsze tortury nie zdołały z nieszczęśliwego młodzieńca wydobyć najmniejszego zeznania na Jezuitów, zostało dwóch Jezuitów profesorów niegdys owego Chatela OO. Gueret i Guignard śmiercią ukaranych — a inni Ojcowie z wszystkich swych siedzib prócz Bordeaux i Tuluzi wygnani. Z tych okoliczności korzystała Sorbona, aby się od niebezpiecznych rywalów uwolnić. (Czytaj o tem w rozdz. I. gdzie o królóbójstwie Jezuitów mowa).

²⁾ Na trzysta z górą lat przed Jezuitami też akademія sorbońska wiodła zajadłe spory z Dominikanami i Minoritami, wzbraniając im uczenia szkół. W obronie zakonników stanęła Stolica Apostolska i św. Tomasz z Akwinu, który dziełem „*Contra impugnantes religionem*“ polemizował z paszkwilantami Sorbony.

³⁾ Skoro stanęła przed Henrykiem IV delegacja parlamentu z przyzwoitym Harley na czele, a żądając skasowania wyroku przywracającego Jezuitów do Francji, przedłożyła królowi raz jeszcze zarzuty na Jezuitów, król między innymi dał w odpowiedzi te słowa: „Przekonałem się, że skoro tylko nieco dobitniej za przywróceniem Jezuitów odezwałem się, zaraz dwojakiego rodzaju

Otworzyli więc Jezuici zakłady swoje naukowe nie tylko na prowincyi ale w samym Paryżu, dając pole współzawodnictwa Sorbonie. Doświadczenie przekonało, że obydwom stronom rywalizacya wyszła na dobre. Zachodziły wprawdzie ze strony akademii częste żale i skargi, u potężnego ministra Richelieu próbowano, czy nie uda się wyprzec Jezuitorów przynajmniej z Paryża — ale mądry kardynał nalegającym na to dawał odpowiedź: „Niechaj uniwersytety i Jezuici nauczają każdy ze swojej strony, ażeby współzawodnictwo prowadziło do cnoty, a nauki miały licznych stróżów.“

ludzie temu najsilniej sprzeciwiali się, hugenoci, i osławieni dla luźnych obyczajów kapłani, ale właśnie to tem większą miłość i szacunek budzi we mnie ku Jezuitom. Jeżeli zakon nie miał dotąd stałej siedziby we Francyi, to dziękuję Bogu, że mi zostawił ten zaszczyt, że temu zakonowi stałe tutaj i pewne mieszkanie opatrę, a jeżeli dotąd tylko tymczasowo mieszkali we Francyi, to w skutek mego rozkazu żyć w niej będą jako obywatele; słowem, jeśli moi poprzednicy tylko cierpieli Jezuitów, to moją wolą jest zachować i ustalić ich pobyt w mem państwie. Powiałacie, że akademia z nimi w zgodzie żyć nie może, ale przyczyna tego była ta, że Jezuici daleko uczeszszymi mężami byli, i dla tego wszystko cisnęło się do ich katedr szkolnych, gdy tymczasem sale akademii pustką stały... Jeżeli u Jezuitów nie można się czegoś więcej nauczyć jak gdzieindziej, zkądże poszło, że nawet wtenczas, gdy ich z Francyi wypędzono, przecież wszystkie inne szkoły mało były uczęszczane, i pomimo wazszych wyroków parlamentarnych udawano się raczej do „Douay“ i Jezuitów nawet za granicą wyszukiwano, ażeby tylko ich nauki i edukacyi nie być pozbawionym? Wabią, powiadacie, wszystkie dobre głowy do siebie, ale właśnie to daje mi nowy powód poważania ich. Kiedy armię swoją urządzam, to żądam, aby wybierano ludzi, którzy do wojska najwięcej są zdatnymi... Gdybyście w zakonie Jezuitów znaleźli nienumiejnych profesorów i lichych kaznodziejów, tobyście nimi pomiatali i gardzili, teraz gdy na tych posadach znajdziecie wielce uzdolnionych mężów, chcecie to zakonowi poczytać za występek. Co się tyczy bogactw, które, jak wy powiadacie, Jezuici posiadali, to jest to wielka potwarz. Nikt tego nie może lepiej wiedzieć jak ja. Ich majątki przyłączone zostały do moich posiadłości, i tu się pokazało, że w Bourges n. p. i Lyonie ledwo 7 czy 8 profesorów opłacić można było z tego, z czego przecież 30—40 Jezuitów utrzymywało się.

„Równie niesprawiedliwie jest, nazywać ich wicherzycielami dla tego, że stali po stronie ligi świętej (za Henryka III.). Leżało to w ówczesnym duchu czasu. Iluż to innych, którzy podobnie w zamieszki owych lat wplątani byli, mieli to przekonanie, iż na sumieniu obowiązani są tak a nie inaczej działać? Względem ich zdań i przekonań co do władzy Apostolskiej Stolicy, to również nie jest mi niewiadomą, że wielkie ku niej żywią uszanowanie, to uszanowanie i ja z nimi dzielę. Co do zasad, o które ich obwiniają, jakoby duchownych z pod posłuszeństwa monarchów wydobyć chcieli, albo mord królów, jako dozwolony uczyli, to należy przedewszystkiem ich prawdziwe zasady zbadać dokładnie a potem uważać, czy istotnie takowe zasady w młodzież wpajają. Mamy dziś mężów stanu, którzy u nich się uczyli i już jako nowicyuszowie w ich zakonie żyli. Czemu do tych się nie udacie, ażeby o sposobie życia i uczenia Jezuitów

Teraz pytam każdego bezstronnie rzeczy sądzącego, czy słów kardynała Richelieu nie należałoby powtórzyć w sprawie Jezuitów z akademią krakowską? Miała akademia kilkadziesiąt szkół pod swym bezpośrednim zarządem zostających — zawitali Jezuita, zapragnęli otwarcia szkół — należało nie przeszkadzać im, dozwoić aż się rozwinię system ich edukacyi, aż zbiorą się pierwsze owoce „z owocu ich poznacie ich“. Wtenczas wykazałaby się albo szkodliwość albo zbawienność edukacyi jezuickiej. Akademia pilnując obowiązku swego, troskliwa o naukową świetność nauczycielskiego grona i postęp uczniów, mogła w pierwszym razie bez żadnego pieniania się, z wielką chlubą swoją wykazać całą zdrożność jezuickiego wychowania, a szkoły ich, jako szkodliwe Rzeczypospolitej zostałyby bezwątpienia wolą sejmu zniesione, jak to się wydarzyło szkołom aryańskim; w przeciwnym zaś razie powinna była podwoić usiłowania, aby siebie utrzymać na raz zdobytem wysokiem stanowisku, a Jezuitom pokazać, że wiele jeszcze muszą pracować na polu naukowem, jeżeli nie chcą w tyle pozostać.¹⁾

Postępowanie takie było nie tylko stosownem i odpowiednem godności akademii, ale stało się jej obowiązkiem, od którego żadne przywileje uwolnić jej nie mogły. Raz, że te przywileje, gdyby nawet były,

od nich powziąć wiadomość. Wszak spodziewać się należy, że powiedzą na zakon tyle złego, ile będą mogli, choćby tylko dla tego, aby się uniewinnić, że do zakonu nie wstąpili.

„Rozpuszczono wieści o Chatelu i jego porozumieniu się z Jezuitami — męczarnie, tortury nie mogły ani jednego słowa wydobyć, któreby Jezuitów w ten proces wplątało. Jeżeli istotnie tak nie było — czybyście choć jednego Jezuitę wypuścili żywo? A gdyby nawet jaki Jezuita odegrał rolę w tym zamierzonym mordzie, czyż nie byłoby najwyższą niesprawiedliwością za to cały zakon karać, wszystkich apostołów potępić, dlatego że jeden Judasz znalazł się między nimi?... Jezuita urodzili się we Francyi, są więc mymi naturalnymi obywatelami, przeciw którym nie chcę dać miejsca żadnym podejrzywanom lub uprzedzeniom. Troskliwość wasza, aby snąć moich tajemnic nie zdradzili, jest zbyt zbyteczną, gdyż niczego się odemnie nie dowiedzą, czego ja nie chcę. Już nierównie trudniejsze rzeczy załatwiłem, dozwołcież mi więc i tę — a starajcie się tylko o spełnienie tego, co ja wam polecę lub rozkażę.“ Czytać o tem możesz w każdym niemal kompendyum uniwersalnej historyi. Ja tę rzecz tłómaczyłem dosłownie z Crétineau-Joly t. III str. 40.

¹⁾ W ten sam sposób przemawiali Jezuita do akademików w czasie owych sporów: dowodzili jak bezzasadne są obawy akademii, że uczniów liczba się zmniejszy, „gdyż ci, którzy się będą chcieli promowować w akademii, lekcyi tam słuchać *pro gradu*, jako jest zwyczaj, powinni będą. O tyle więcej przybędzie za otwarciem szkół jezuickich, bo wielu uboższych zjedzie razem z paniami, których są domowymi pedagogami z innych miast do stolicy Krakowa. Inni znowu pragną w krótszym czasie ukończyć studia słuchać będą wykładów i u Jezuitów i na akademii. Z samych uczniów jezuickich wielu w godzinach wolnych uczęszczać może do akademii, jakoż już ich wielu chciało, ale rektor akademii zabronił. Nareszcie ci, którzy w bursach utrzymanie mają, na akademii a nie gdzieindziej uczyć się muszą.“ *Gratis plebański wyćwiczony* str. 252.

już od 70 lat prawie gwałcono bez reklamy akademii; różniewiczcy bowiem magnaci, otwierając szkoły po swoich miastach i włościach, nie pytali akademii o laskawe pozwolenie. Wiadomą zaś jest rzeczą, że prawo i przywilej przez długi przeciąg czasu gwałcony i naruszany, bez protestu uprzywilejowanej strony, traci swoją moc obowiązującą.¹⁾

Akademia więc, występując przeciw krakowskim Jezuitom z przywilejem, że „bez jej zezwolenia nie można żadnych szkół ani w Koronie ani w Litwie otwierać,“ była w sprzeczności sama z sobą, bo apelowała do praw, których już nie posiadała; a to tem bardziej, że samym Jezuitom, dozwoliła bez żadnej reklamy z swej strony, bez żadnego opowiedzenia się ze strony Jezuitów, założyć seminarya, kolegia i szkoły po różnych Rzeczypospolitej miejscach.

Powtóre, gdyby nawet ów przywilej trwał w całej swojej sile, tedy uporczywe przy nim obstawanie w wieku XVII nie może być jak tylko ujmą dla akademii. Monopol wychowania otrzymały wszystkie niemal akademie od swoich założycieli monarchów. Był to jeden z owych przywilejów średniowiecznych, które w tamtych czasach miały cel i pożytek, bo podnosiły, uwydatniały znaczenie rodzin lub korporacji dla dobra ogółu, ale które zniszczyła reformacja, a nowy w wieku XVI wprowadzony porządek zcierpieć ich nie mógł. Proszę sobie przypomnieć, z jaką satysfakcją, pociechą niemal opowiadają historycy owe spory w Polsce z duchowieństwem o sądy duchowne. Powiadają, takie sądy nie były już na czasie, nie zgadzały się z wyobrażeniami o wolności religijnej, a przecie naturalną jest rzeczą, żeby w sprawach duchownych nie rozstrzygał król, wojewoda lub starosta, ale biskup. Teraz pytam, odpowiadałóż duchowi czasu XVI wieku i pojęciom o swobodzie oświaty to zmonopolizowanie wychowania, oddane przywilejem Jagielly akademii krakowskiej? Czasy zmieniają się — ustąpić tym zmianom muszą i najdawniejsze przywileje.

Monopol jest szkodliwy w handlu, w przemyśle, nawet w rządzeniu państw, tem bardziej w wychowaniu młodzieży. W wiekach XI do XV taki monopol wychowania mógł być pożytecznym a nawet koniecznym, ile że przy powszechnem naukowem niemowlectwie, akademie były jedynem źródłem światła rozumowego i w ogóle tego, co nazywamy wykształceniem, należało więc podnieść je, o ile można w opinii wszystkich, nadać im jak najwięcej uroku i powagi, co się stało właśnie przez podobne przywileje.

Ale skoro w wieku XVI pojawił się nowy olbrzymi rach umyslowy, przywileje te w żaden sposób ostać się nie mogły — jakoż widzimy, że już w drugiej połowie XVI wieku nikt się o nie nie troszczył. Mało na nie dbała akademie krakowska, zdała się je zapomnieć, dopiero przypomniała sobie, gdy szło o Jezuitów.

¹⁾ Opiera się ten wniosek o preskrypcyi czyli przedawnieniu i na prawie kanonicznem: *Leges instituuntur quum promulgantur — firmantur cum moribus utentium comprobantur.*“ Zatem gdy poszły w zapomnienie „*infirmantur*“ t. j. tracą moc swoją.

Jeżeli więc akademія krakowska chciała działać w duchu czasu, chciała być, mówiąc językiem literackim, „postępową“ — tedy powinna była dobrowolnie zrzec się swoich przywilejów, lub, trwając przy dawnych tradycjach, należało jej zdobyć sobie w świecie naukowym takie stanowisko, aby zainponować i godnie przewodniczyć mogła wszystkim jezuickim czy różnowierczym, zakonnym czy świeckim szkołom. Inaczej obstawając uporeczywie przy swoim, biorąc na siebie cały ciężar odpowiedzialności za wychowanie publiczne, naukę i oświatę krajową, a nie mając i nie czując sił po temu, aby dopisać tak trudnemu zadaniu, działała nieszlachetnie.

Uczyniłaż co z tego akademія? Pojmuję, jak nadto wielkie stawiam wymagania względnie do ówczesnego stanu wszechnicy Jagiellonów.

Utworzyło się przekonanie, a przynajmniej panowie literaci zgodnie utrzymują, że akademія krakowska upadła przez Jezuitów. Pocięsznie wcale wyglądają wyrzekania ich w tej mierze: „biedna akademія opuszczona, upadała coraz więcej, a z nią światło prawdziwej nauki“¹⁾.

Ale „biedna“ akademія była już „biedną“ daleko przed klótnią z Jezuitami i rozwielenieniem ich edukacyi, a jeżeli p. Szujski bolejący nad losem akademiei, a Jezuitom, może dla tego właśnie, tyle niechętny, powtarza w swych dziejach Polski na wielu miejscach, że naród polski chociaż upadł, to upadł własną winą, tedy temu bardziej winę upadku przypisać będzie musiał samej akademiei, która przecie nie popadła w obroty literackie Fryców lub Katarzyn.

Pozwolę sobie podać kilka niezbitych dowodów, które każdego przekonać potrafią, że ruina jagiellońskiej akademiei nie z Jezuitami się poczęła i nie przez nich dokonana została.

Już 1609 r. pisze Piotr Myszkowski biskup krakowski i kanclerz akademiei do Pawła V, od którego osobnem brewe do zreformowania akademiei wezwany został: „Od wielu lat o zreformowaniu akademiei tej tak uchwały prowincjonalne, jako też prawo sejmowe ustanowione są: niedawno także na synodzie prowincjonalnym Ichmość biskupi i całe duchowienstwo zażądali odemnie, ażebym reformy tego zakładu od dawno ubiegłych lat zaniedbanej dopelnil.“²⁾ Jeżeli więc już 1609 roku reforma akademiei od wielu lat przez synody i sejmy uchwaloną została³⁾ — to doprawdy wniesć koniecznie należy, że jej

¹⁾ Szujski t. III. str. 246.

²⁾ *A multis annis de reformatione academiae hujus tum statuta provincialia tum comitorum leges sancitae sunt, nuper etiam in synodo provinciali Domini Reverendissimi Episcopi, clerusque universus a me requisivit, ut quae anteactis annis reformatio studii hujus intermissa est, ipsam perficiam.* Thein. Mon. Pol. t. III. 30.

³⁾ Zamilezałem o dwu innych reformach akademiei podjętych przez biskupa Gamrata, o czem świadczą akta synodu Piotrkowskiego, i przez prymasa Łaskiego r. 1523. (stat. Januszewskiego fol 223). W dekreście synodu Łęczyckiego (1523) odnowionym na synodzie warszawskim r 1542 przez Gamrata,

upadek już w XVI wieku począł się, a w przypisku umieszczone cytaty dowodzą, że właśnie te wołania o reformę akademii przypadają na epokę, w której różnowierstwo do nas zawitało. Bo przeciw reformy instytucyj naukowych nie zapadają przy pierwszym lepszym objawie upadku, ale dopiero, kiedy ten upadek stał się widocznym, doszedł do pewnego, znacznie wysokiego stopnia. Biskup pisze, że takie reformy postanowione były już od lat wielu „*a multis annis*“, nie od lat kilkunastu, ale wielu, a inne źródła wskazują, że od lat przeszło sześćdziesięciu Wiennej zkądinąd, że już Batory zamyslał o ulepszeniach akademii, starał się przedewszystkiem o nauczycieli głośniejszych w Europie, ale (jak niedorzecznie twierdzi Wiszniewski a za nim Maciejowski) Jezuitci mieli mu w tem przeszkodzić¹⁾.

Dalej przypuścić koniecznie wypada, że upadek, który 1609 r. musiał być ogromny, kiedy doszedł aż do wiadomości Stolicy apostolskiej i ta do ratunku wzywała, że taki upadek nie stał się w jednym roku — ale potrzebował także „lat wielu“. Bo instytucje naukowe, zwłaszcza te, które miały za sobą wiek cały świetności i europejskiej sławy, nie schodzą ze szczytu swego w jednej chwili, ale jeżeli nie wieków, tedy przynajmniej kilka lat dziesiątków potrzeba, aby zgasł ich urok, zmalała ich wielkość. Nie bez słuszności więc utrzymuję, że początek upadku akademii krakowskiej na połowę XVI w. położyć należy, kiedy Jezuitów jeszcze nie było w Polsce²⁾.

czytam słowa: „*Quoniam universitas s. schola generalis Cracov. propter nonnullas novas et acre tolerandas consuetudines e pedetentim decrescere videtur . . . placuit synodo ut Reverendissimi in Christo PP. Domini Archiepiscopi Gnesn. ac Crac. et Prem. Episcopi Cracoviam descendentes reformationem faciant.*“

Na sejmie 1562 r. król Zygmunt August zalecił tym, do których to należy, reformę szkół krakowskich, pułtuskich i poznańskich. Rokiem przedtem synod warszawski zaleca ogólną reformę szkół, ale przedewszystkiem akademii krakowskiej: „*Imprimis universale studium Cracoviense juxta dispositionem statutorum Reverendissimus Dominus Episcopus Cracoviensis una cum suo venerabili Capitulo reforment.*“ (*Constit. Synodor. Metrop. Eccl. Gnesn. provincialium. Cracoviae 1630 p. 263.*)

¹⁾ Istotną przyczynę nieprzeprowadzenia planu Batorego wskażę niżej.

²⁾ Tu pominąć nie mogę najfałszywszego stanowiska, z jakiego kwestyę tę rozbiiera Sołtykiewicz, który panom literatom służy więcej jak za powagę, za wyrocznję, bo dosyć im przytoczyć pierwsze lepsze zdanie wspomnianego autora, aby najsporniejszy punkt jednym zamachem rozstrzygnąć. — Mówię o dziele, którego tytuł: „O stanie akademii krakowskiej od założenia jej w roku 1347 aż do teraźniejszego czasu, Najjaśn. Panu Frydrykowi Augustowi królowi Saskiemu, Księciu warszawskiemu etc.“ na posiedzeniu publicznem szkoły głównej dnia 10 maja r. 1810, podane przez J. Sołtykiewicza NN. WW. i F. D. w Krakowie 1810.

W przemowie do Frydryka Augusta Księcia Warszawskiego wypowiada autor całe swoje wyznaczenie polityczno-literackie. Zasada, z której wychodzi, jest ta: „Na całą Rzeczpospolitą powinna być jedna szkoła główna, ażeby wszystkie

Upadek jej poczety w niedalekim czasie po zjawieniu się u nas nowinek religijnych stawał się coraz widoczniejszym w miarę jak urok nowości i chciwość zagranicznej mądrości, coraz znaczniejszą liczbę

umiejętności i nauki wyzwolone z jednego wypływały źródła, a tem samem nie mogły wprowadzać żadnego poróżnienia w opinie filozoficzne, religijne i polityczne.“ Tak było „aż do wprowadzenia zakonu jezuickiego do Polski.“

Jezuici rozerwali tę jedność wychowania i wznowili „gorszące“ kłótnie z akademią. „Od tej to epoki zaczęły upadać nauki w kraju naszym.“ (str. 60) Niezgoda od szkół zaszczerpiona przechodziła do wszystkich władz i dostojęństw krajowych i wzniecała ogień anarchii póty, póki cały naród pożarem powszechnego zamieszania ogarniony nie postawił się w tak opłakanym stanie, że go potem największe dowcipy ani pogodzić ani uratować nie zdołały.“ (str. 68.)

I zasada fałszywa i wnioski nieliczne. Jakież państwo na przestrzeni 13.000 kwadrat. mil rozległe czerpało w XVII i XVIII wieku naukę wiedzy i oświaty z jednego źródła, z „jednej szkoły głównej“? Dzisiaj w każdym cywilizowanym państwie jest kilka takich „szkół głównych“, z których wychodzi światło nauki — a przecież nikt nie powie, że to jest zgubą dla literatury i oświaty. Owszem wiek XVI tak wynoszony od naszych literatów dla olbrzymich postępów na drodze duchowego rozwoju, ten wiek właśnie namnożył „szkół głównych“ odrzucił z lekceważeniem, że nie powiem ze wgardą, monopol wychowania. Najwięcej zaś przekonującym dowodem mylności zdania p. Sołtykiewicza jest obecny stan wychowania we Francyi. Ową wyższość umysłową Francuzów nad inne cywilizowane narody bez wątpienia tej wolności wychowania przypisać należy, którą się cieszy Francya od 1850, a do której wzdychają z upragnieniem Galicya i ludy Austrii.

Niech mi wolno będzie przytoczyć słowa znakomitego publicysty francuskiego (*Méditation sur l'état actuel de la Religion chrétienne par M. Guizot. Paris 1866.*), w których zatwierdzenie wielu uwag przezemnie wyżej uczynionych bacznym czytelnik znaleźć może. „Wyniesiony w grudniu 1848 r. wyborem nieprzewidzianym i zręcznym na ministra wychowania publicznego i wyznań w pierwszym gabinecie złożonym przez księcia prezydenta Rzeczypospolitej (później Napoleona III) pan de Falloux poświęcił się natychmiast głównemu dziełu, które przedsięwziął już od r. 1830 kościół katolicki: t. j. zupełnemu i legalnemu ugruntowaniu wolności wychowania. Postępował w tem z śmiałością rozsądną; ażeby przygotować projekt prawa, złożył wielką komisję do której powołał najznakomitszych reprezentantów zasad i interesów najrozmaitszych, świeckich i duchownych, katolików, protestantów i filozofów, republikanów, legitymistów, orleanistów i bonapartystów, p. Thiersa i księdza Dupanloup, pana Cousin i p. Montalembert, p. Saint Marc Girardin i p. Cochin, p. Cuvier i księdza Sibour.

Pan Thiers przewodniczył tej komisji, która odbywała posiedzenia przez pięć miesięcy, rozbierając wszystkie kwestye organizacyi wychowania publicznego z zapalem namiętnym i prawdziwym pragnieniem porozumienia się szczerego... Czyniąc sobie wzajemne ustępstwa reprezentanci różnych systemów, oświadczały jak najstaranniej, że zachowują każdy swoje własne zasady, a takie mowy nadawały często ich uchwałom pozór ugód powierzchownych i nie mających spójni, aby ponad ten pozór wzniosła się charakterystyka powszechna

uzdolnionej i bogatej młodzieży wyprowadzała do Wittenbergu, Genewy, i wszecznie heretyckich. Najznakomitsze postacie w literaturze. Kochanowski i Orzechowski, poza akademią krakowską kształcili się. Inni

i praktyczna projektu, wzgląd na prawa rozmaite i wolne współzapaństwo państwa, kościoła i indywidualnego przemysłu w przedmiocie wychowania publicznego. Kiedy wniosek ten rozbiegano w sejmie prawodawczym, p. de Talloux już nie był ministrem, ale popęd już był dany a dziełu jego żadne już niebezpieczeństwo nie groziło: po dyskusyi, która zabrała 27 posiedzeń, sejm ogromną większością uchwalił prawo bez żadnej znacznej poprawki. Wolność wychowania została ugruntowana. Istnieje ona od 15 lat; Państwo, kościół, instytucje prywatne, świeckie i duchowne współzawodniczą żywo o lepsze od lat 15, kongregacye zakonne, Lazarystów, Dominikanów, Filipinów, Jezuitów rozwinęły w tej walce cały zapal ducha wiary i ducha ciała. Jezuiti założyli od r. 1850 dla nauk średnich ze dwadzieścia kolegiów, a w Paryżu otworzyli dla studiów przygotowawczych do szkół fachowych zakład, którego postępy ściągnęły uwagę rządu i publiczności, ponieważ wysyłał co roku do szkół wojskowych, politechnicznych, marynarki i szkoły centralnej (jedyna w swym rodzaju w Paryżu) znaczną liczbę elewów wyszłych z honorem z pośród licznego współzawodnictwa i po złożeniu surowych egzaminów.

Wszecznicca (Sorbona) spotkała wszędzie licznych i zagorzałych rywalów; w tym samym czasie wystawioną była na przykre przejścia w łonie swoim; w skutek fałszywych pojęć o wrzekomej korzyści nauk scjentyficznych i praktycznych, studia klasyczne i filozoficzne zarzucono i upośledzono w tej samej chwili, gdy wszecznicca straciła swój przywilej na zewnątrz, wewnątrz ujrzała zachwianą swoją zasadę i swoje urządzenie. Wierna swoim przekonaniom i tradycyom, dotrzymując pola wszystkim próbom i walkom, które jej nałożono — pokonała niebezpieczeństwa wewnątrz i współzawodnictwa zewnątrz; z jednej strony weszła powoli na drogi wielkiego i gruntownego wychowania klasycznego; z drugiej strony po znaczniejszych jej koloniach podniosły się nauki i liczba uczniów wzrosła; licea liczyły ich 19.300 w r. 1850, dzisiaj liczą więcej jak 30.000. Państwo dało kościołowi wolne pole, podwajając tymczasem samo starania i postępy; kościół postępował tutaj, nie napadając ani nie przeszkadzając państwu; wolność wychowania uspokoiła odrazu obawy religijne, które się jej domagały i obawy cywilne, które ona wywołała; tak w państwie jak w kościele przyniosła pokój zarazem i emulacyą z postępem. Wobec świadectwa europejskiej sławy pisarza a do tego protestanta, które stwierdziło 20-letnie doświadczenie, jak się zdoła utrzymać doktryna p. Sołtykiewicza, że jedność wychowania wychodząca z jednej szkoły głównej jest rękomią jedności politycznych przekonań zgody obopólnej a nadewszystko kwitnącego stanu nauk? Ustęp dopiero co przytoczony nie potrzebuje komentarza. Sorbona zostawała w tem samem położeniu, co akademia krakowska, należało tej jak uczyniła tamta „dać pole próbom i walkom i pokonać niebezpieczeństwa i rywalów.“

Ale wszecznicca Jagiellonów nie miała owych przekonań i tradycyji wyniesionych z ciągłych zapasów jak Sorbona i miasto dać pole Jezuitom, wycofała się z szyku a wewnętrznych odmian na lepsze nie spróbowała nawet. Za to zawodziła głośne skargi na Jezuitów usprawiedliwiane i powtarzane przez literatów, że nie mieli litości nad „bi dną“ akademią i śmieli, wyżsi od niej

jak Modrzewski z zasobami wiedzy przynieśli nową wiarę i owej różnicy w opiniach religijnych, na które naród (jak mówi p. Sołtykiewicz) był już wtenczas podzielonym, w pobieraniu edukacji za granicą szu-

i nauką i systemem wychowania, wzięść górę. W taki jednak stronnicy sposób historia nie ocenia wypadków.

W końcu czy argument p. Sołtykiewicza nie da się zwrócić przeciw niemu? Przynajmniej inni panowie literaci stawiają historyografa akademii w kłopot niemaly, gdy twierdzą, że dlatego upadła literatura, dlatego wychowanie szkolne nie odpowiedziało swemu zadaniu, że „Jezuici wszystkie szkoły zagarnęli pod siebie.“ (Maciejowski t. II — Szujski t. III 246: „Ogarniając w ten sposób wyłączny ster wychowania, nie o mieszkali“ etc.) Jakżeż, to jedność wychowania wychodząca od Jezuitów miała szkodzić, zaś narzucona od akademii miała zbawić i literaturę i ojczaynę? Rozumiem p. Sołtykiewicza, on utrzymuje, że system wychowania jezuicki był nieskończenie gorszym od systemu akademii, kiedy tak straszne wywołał skutki, ogarniając cały naród pozarem powszechnego zamieszania.“

Wykazałem w rozdziale drugim system edukacyjny Jezuitów; każdy może o nim sądzić, czy był zdrożnym lub nie — że nie ustępował w doskonałości systemowi akademii, na to wystarczy ta prosta uwaga, że wszędzie wobec szkół jezuickich kolonie akademii upadały. — Sam p. Sołtykiewicz naliczył szkół 40 (liczba przesadzona), które przeszły pod rząd Jezuitów (str. 66). Czemuż upadały, czemuż przechodziły pod rząd Jezuitów? Snać musiały stać niżej od szkół jezuickich, snać system ich nie musiał przewyższać a przynajmniej dorównywać systemowi Jezuitów. Inaczej niepodobna sobie tego wytłumaczyć. Złożymy więc na nowość, na protekcyę i wpływy. — Dobrze, ale czemuż nowość szkół pijarskich, tyle wynoszonych od literatów, popieranych przez króla Władysława IV i stany, nietylko nie nadwęgzyła w niczem wziętości szkół jezuickich ale owszem wywołała współzawodnictwo, które dla oświaty pomyślnie rezultaty wydało? Czy może nowość i protekcyę tylko Jezuitom nadaje jakiś urok i moc niewypowiedzianą, a OO. Pijarom nie? Doprawdy, ci Jezuici muszą posiadać jakiś lep, że tak starzy Polacy Ignęli do nich. Tak, bezwątpienia — jest nim cnota połączona z prawdziwą nauką i pewnym taktem, który im nie dozwala ani drugim ani sobie ubliżyć.

A jeżeli zasada jest, jak powiedziałem, fałszywą — to tem fałszywsze, owszem wcale niedorzeczne są wnioski z niej wyprowadzone. Któryż z pisarzów polskich, jakkolwiek najbardziej niechętnych Jezuitom, śmiał twierdzić, że spory Jezuitów z krakowską akademią i jej koloniami (jak chce p. Sołtykiewicz a co jest wierutnym fałszem) stały się przyczyną „niezgody władz i dostojęństw krajowych“... „wzniciły ogień anarchii,“ postawiły naród w tak oplakany stan, że go potem największe dowcipy ani pogodzić ani uratować nie zdołały. Doprawdy dziwić się wypada, że takie nonsensa pisze autor, na którego powagę odwołuje się nieraz młodsza generacya literatów. Zawsze u nas narzekano na brak „władzy“. P. Sołtykiewicz deklamuje, że niezgodę między władzami, których nie było i dostojęstwami wzniciły „gorszące między akademią i Jezuitami kłótnie.“ Jeżeli słowo „władza“ ma znaczyć „urząd“ to dzisiaj każdemu wiadomo, że urzędy i dostojęstwa były uważane raczej za zyskowne posady, aniżeli za obowiązek dla Rzeczypospolitej, że więc źródłem kłótni o „władze

kać należy. Zgadza się w tem nie tylko pisarze ultramontańscy (jak ich zowią literaci) ale nawet autorowie postępowi jak p. Szujski. Oto, co powiada w tomie II. str. 240 Dziejów Polski: „Drugim punktem

i dostojęństwa“ była prywatna lub ambicya. Ów „ogień anarchii“ (ciekawa przenośnia) wzniecony został daleko pierwej, nim Jezuiti przyszedli do Polski. Wykazałem to dowodnie, a w szkołach ich można się było nauczyć wszystkiego złego prędzej, jak anarchii. Ostatnie słowa są częzą deklamacyą nic nie dowodzącą — przyczyn „opłakanego stanu“ daleko po za sporami szkolnemi szukać należy.

Ale bo p. Sołtykiewicz, wcale nie skrupulatnie rachuje się z słowami. Jest to charakterystyką wszystkich pisarzy przeciw Jezuitom, że ilekroć idzie o upośledzenie i sponiewieranie tego zakonu, nie obliczają się sumiennie z sobą, zdają się słów swych nie brać na seryo, jakby ten zakon był zgniłym trupem na którego roztoczenie wypuścić wolno roje najpaskudniejszego robactwa. Widzieliśmy to na księciu Adamie Czartoryskim i p. Szujskim, autorach, których ja zkądinąd prawdziwie szacuję. A przecież tak nie jest. Jezuiti są kapłanami, zakonnikami, posiadają prawo obywatelstwa, nikt ich faktycznie o zbrodnię nie przekonał, zasługują więc z wielu miar na oględniejsze przez panów literatów traktowanie.

Wracając do prawdomowności p. Sołtykiewicza, pozwolę sobie przytoczyć krótki ustęp, z którego niech czytelnik wartość całego dzieła osądzi: „Działo to się wtenczas (t. j. czasu założenia akademii Zamojskiej) kiedy naród polski dzielił się już na wielorakie opinie religijne; lecz pokolenie podówczas żyjące w jednej dotąd wychowane szkole, dalekiem jeszcze było od podziału w opiniach politycznych (str. 64). Jest to wstęp do pochwał konfederacyi warszawskiej 1570 r., a wyrzekani i lamentów na komisją toruńską, lecz ileż tu sprzeczności, ile fałszu. Naród i pokolenie podówczas żyjące, wzięść tu należy za synonima inaczej nie ma sensu: otóż ten naród czyli to pokolenie natenczas żyjące było dalekiem od podziału w opiniach politycznych. — Czemu? Bo w jednej wychowane szkole. Jeżeli źródłem jedności przekonań politycznych jest jedność wychowania, czemuż ta jedność wychowania „podzieliła naród na wielorakie opinie religijne“? Niech rozwiąże zagadkę, kto może. Dalej czy to jest prawdą, że „wtenczas“ żyło pokolenie w jednej szkole wychowane? Już Zygmunt Stary zmuszony był wydać edykta, zabraniające wyjazd do akademij zagranicznych, zwłaszcza heretyckich. Między temi edyktami a owem „wtenczas“ upłynęło dobre lat 60 — wiemy zaś, że pokolenia co lat 25 zmieniają się, jakżeż więc można twierdzić, że „pokolenie podówczas żyjące w jednej chowane było szkole“? To kłam oczywiste. Nie pojmuję i tego, że wtenczas t. j. pod koniec XVI wieku społeczność polska „była daleko od podziału w opiniach politycznych.“

Wiemy przecie, że jedni z episkopatem polskim na czele „pchali“ Polskę, jak się wyraża p. Szujski, w objęcia Austryi, spodziewając się tym sposobem uratować katolicyzm; inni z polityką antykatolicką przekładali cara nad księcia z domu rakuzkiego. Co do pojęcia wolności i samej elekcji tworzyły się mnogie, chociaż nie tak wybitne, partye, gdy jedni zniesienia elekcji *virilitim* domagali się — drudzy żrenić wolności, której naruszyć nie godzi się. w tem właśnie prawie mieć chcieli. Jeżeli zaś przez opinie polityczne ma się

godnym uwagi jest ciągle stosunek Polaków z zagranicznym ruchem oświaty. Młodzi ludzie senatorskich i szlacheckich rodzin jeździli w wielkiej liczbie do niemieckich uniwersytetów, niemniej jak do włoskich. Zakaz wydany w r. 1534 musiał tylko zaostrzyć ciekawość, jakoż poznano jego bezużyteczność i zniesiono go w r. 1543. " Nawet Bentkowski tyle względny dla akademii krakowskiej „zupełnie przytłumionej od Jezuitów“ uważa za jedną z przeszkód nauki, niewczesne podróże. Epokę tych podróży kładzie on na wiek XVIII ale dowiedzioną jest rzeczą, że praktykowano je na wysoką skalę już w XVI wieku ¹⁾.

Okoliczność ta spowodowała bez wątpienia upadek świetności akademii krakowskiej, która będąc katolicką, powinna była jak inne akademie, w Bononii, Ingolstademie, Wenecyi a nawet w Paryżu, zajmować wyższość wykładanych nauk akademiom zagranicznym akatolickim. Był to los wszystkich naukowych zakładów katolickich w owych chwilach reformatorskiego szalu, że nie inaczej byt swój uratować mogły, jak tylko zdobywając się na jak najwyższy stopień nauki, w przeciwnym razie zginąć musiały.

Przy ówczesnej niechęci a nawet wzdargzie, której podpadało wszystko, co katolickie, owa „plama“ katolickiego charakteru zatartą być miała rozgłosem uzdolnionych profesorów i świetnością wykładanych nauk; na wszechnice akatolickie, tem samem, że akatolickie, uczęszczała młodzież nierównie chętniej, chociaż te nie dorównywały co do naukowości akademiom katolickim.

rozumieć tolerancja i nietolerancja, to doprawdy już wtenczas była wielka różnica opinii — bo przeciw owej zgodzie warszawskiej tyle wynoszonej, protestowali biskupi polscy, wyjąwszy jednego, a z nimi znaczna liczba katolików. W następnym rozdziale wykażę, że pod tym względem różnicy politycznej w narodzie nie było nigdy, boć przecie mała okrucha narodu protestująca przeciw uchwałom jednomyślnym sejmów 1717, 1738, 1764 i 1766 r., zdrażczych środków chwytająca się, nie jest zdolną do stworzenia i reprezentowania opinii narodowej.

Z tego krótkiego ustępu przytoczonego dla próbki, każdy bezstronny wnieść może, jak niesumiennie opisał nam stan akademii krakowskiej, p. Sołtykiewicz. Podobnych przesad niedozwolonych historykowi, w pracy p. Sołtykiewicza jest więcej, dzieło jego jednostronnie napisane usuwa winę upadku zupełnie od akademii a zwala ją przeważnie na Jezuitów. I na taką pseudo-historją odwołują się jakby na pismo św., na dokument najpewniejszy, panowie literaci. Cóż mam sądzić o ich pracach na tak chwiejnej podstawie oprartych.

¹⁾ Adam Jocher w dziele: *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polsce* t. I. str. LXV. LXVI dowodzi, że reforma Lutera i wyjazd młodzieży za granicę, stały się „przyczyną z główniejszych zapewne, co się do wczesnego pochylenia akademii krakowskiej w wieku XVI i XVII przyczyniły.“

Józef Łukaszewicz w swej historii szkół rozprawia na 9 stronicach (t. I. str. 56—65) o upadku akademii w drngiej połowie szesnastego wieku.

Panowie literaci, kiedy chcą, umieją trącić o prawdę — ale zapominają o niej natychmiast, skoro o Jezuitów rzecz idzie.

Podobne zjawiska nie powinny dziwić nikogo; są one wynikiem młodzieńczego usposobienia, które goni za nowością, za tem co w modzie i ówczesnego ducha czasu, tyle wstrętne dla katolicyzmu.

U nas w Polsce emigracya młodzieży do akatolickich wszechnic zageęciła się w ostatnim dziesiątku lat panowania Zygmunta I. Pod ostatnim Jagiellonem doszła kulminacyjnego szczytu. Upadek akademii krakowskiej już wtenczas był widoczny. Batory, który pojął od razu zgubność wychowania za granicą nietylko w przedmiocie wiary, ale nawet w politycznym względzie, a w różnowierczych szkołach tak gęsto po Rzeczypospolitej rozrzuconych, więcej stroniczej dążności i namiętności, niż prawdziwej nauki widział podpórę: postanowił bądź co bądź uratować od upadku katolicką wszechnicę Jagiellonów, nieprzysądając jej bynajmniej monopolu wychowania, gdyż równocześnie protegował i otwierał uczelnie jezuickie.

Żaden z naszych historyków nie dotknął dotąd tej wielkiej zalety wielkiego króla. Na co dopiero po trzech niemal wiekach, po tylu starciach i parlamentarnych walkach, zdobyła się Francya r. 1850, to zamierzał uskuteczyć w Polsce Batory. Dźwigając naukowość zakładów dawnych, otwierając pole pracy zakładom nowym — i utrzymując szlachetne między nimi współzawodnictwo, ugruntował Batory ową wolność wychowania *la liberté d'enseignement*, którą dopiero niedawno wywalczyła sobie Francya a której dobijają się z taką wytrwałością Polacy w Galicyi. Istotnie za czasów Batorego wychowanie publiczne postawione było w tych samych korzystnych warunkach, owszem w korzystniejszych jeszcze, jak znajduje się dzisiaj we Francyi.

Komuż u nas zabroniono było otwierać szkoły? Obok zakładów najwybredniejszych sekt heretyckich dźwigały się szkoły jezuickie; obok kolonij akademie istniały uczelnie zakonne. Akademia jagiellońska zrzekała się *de facto* przywileju, który ster wychowania w jej ręce oddawał, a do zarządu tymi rozmaitymi zakładami nie potrzeba było, jak jest potrzeba we Francyi stopnia bakalaureatu w szkole rządowej otrzymanego, dla tego powiedziałem, że warunki wychowania były u nas jeszcze korzystniejsze, jak są dziś we Francyi. Ale żeby te krocie szkół stały się prawdziwie źródłem nauki i wiedzy, należało obudzić współzawodnictwo, stawiając przynajmniej niektóre z nich po nad poziom mierności. Uskuteczniając to Batory, pragnął przywrócić akademii krakowskiej dawne znaczenie, właśnie przez środek, jaki wskazałem za jedyny ratunek upadających uczelnie katolickich wobec życia i wziętości akatolickich wszechnic t. j. przez imponującą wyższość naukową, któraby zdołała ściągnąć na siebie uwagę nietylko Polski ale całej Europy. Dlatego szukał przedewszystkiem biegłych mistrzów, mających sławę i rozgłos w świecie uczonym. W Polsce ich nie znalazł, bo koniecznym warunkiem profesora wszechnicy był katolicyzm nie tylko co do formy i inienia, ale co do ducha i przekonania — takich ludzi a przytem uzdolnionych i wysoce ukształconych u nas napróżno kto szukał; wszystkie zdolniejsze talenta kupiły się koło Lutra lub Melanchtona. Z zagranicy trudno było otrzymać mężów odpowiadających

podwójnemu warunkowi gorącości wiary i gruntowności nauki. Dobijano się o nich, wydzierano sobie wzajemnie, ujmując darami i podwajając myta.¹⁾ Cóż zresztą tych ludzi miało ściągnąć do Polski, gdzie dopiero wywalczyć należało dla akademii to stanowisko, jakie oddawna zajmowały wszechnice, na których z chlubą i chwałą uczyli; któż niepewną wygraną nad dzierżone zdobycze wygranej przekłada? Z tej przyczyny próżne były starania Batorego. Jaśniał podówczas w Rzymie erudycją sławny Muretus — nie puścił go od siebie Grzegorz XIII; akademii w Ingolsztadzie szczyliła się uczonym teologiem Grzegorzem z Walency, ale Batoremu sprowadzić go do Polski nie dozwoliła; słychać w Hiszpanii biegły prawnik Papiusz a w Rzpltej weneckiej Zabarelli; i tym, mimo starań Batorego, wyjazdu do Polski odmówiono. Nie było więc ludzi, którzyby ratowali wszechnicę Jagiellonów od upadku, akademii mogła mówić z owym chorym nad sadzawką Siloe: „*hominem non habeo*“ nie mam człowieka, i ten brak „człowieka“ jest drugą walną przyczyną upadku akademii²⁾.

Panowie literaci przyznają prawdziwość tych wypadków a przecie, chociaż one wyprzedziły daleko przyjsie Jezuitów i ich rozwiemo-

¹⁾ Próba zakonu Skargi w kazaniu wiślickiem str. 150. „Do akademii krakowskiej za mojej pamięci biskupi krakowscy, Włochów i Hiszpanów dla nauki rozsiewania przyzywali i tysiącami im na rok myta postępowali. A naszym (pyta Skarga dalej) co dajecie? wiele was kosztują? tyle ile wół i koń; a pewnie w nauce z onymi zrównają“ itd.

²⁾ Jocher. *Obraz bibl. hist. Literat. i nauk. w Polsce tom. I. str. LXV.* Że tylko tendencyjni historycy „literaci z rzemiosła“ przypisują upadek akademii krakowskiej wyłącznie Jezuitom, przekonałem się nie raz jeden. Pomijając Bartoszewicza i Mecherzyńskiego, przytoczę autora rozprawy paryskiej: „O przyczynach słabości polskiego rządu.“

„Przyczyniła się do złego ciemnota. Już ze złotym wiekiem Zygmunto w począł się upadek nauk. Różnowierstwo powiodło uczonych na tór marnych sporów... Już też akademii krakowska najświetniejsza na północy po upadku pragskiej, traciła ze swego blasku „rdzewiała“. Z odkryciem kopalń amerykańskich, zniżyła się wartość grzywny. Profesor żyjący z dziesięciu grzywien lichej wartości „równać się nie mógł w nauce mężom Sorbony.“ Zmniejszył się dochód i z ziemi, którą niszczyli dzierżawcy. Ci zaś z profesorów, którzy byli opatrzeni duchownym chlebem, patrząc dwóch obowiązków, żadnemu zadość nie uczynili. Zygmunt August grozić musiał profesorom.

Obaliwszy powagę królów wszechmocne sejmy i sejmiki powinny były wziąć w opiekę „studnicę nauk.“ To nie stało się, tylko gdy układano *pacta conventa* zrzucano obowiązek na królów, których, ile doczesnych mniej następne pokolenia obchodzili. Tytu obowiązkowi, które na nie wkładano, czyż zresztą mogli poddać? „Upadła więc akademii, upadły jej kolonie.“ Autor jak już wspomnieliśmy, przypisuje upadek nauk także Jezuitom, ale dodaje, że „większa odpowiedzialność spada na akademii krakowską, bo w jej ręku było berło nauk, bo była tem, czem są dzisiaj ministerstwa oświecenia.“ (Rocznik hist. lit. r. 1870. str. 35, 36.)

znienie, nie mogły więc mieć swych sprawców w Jezuitach, przecie winę upadku akademii przypisują namiętnie, zjadliwie i co bardziej jeszcze zadziwia „powszechnie“ Jezuitom? Któż tu nie dojrzy stroniczości i brzydkiej zawziętości?

Wertując pisma najgłośniejszych historyków literatury, wyczytać można rzeczy, które doprawdy, nie wiem jakim czołem mogły być piórem historyka nakreślone. Któż np. uwierzy, że Batorego plany względem reformy akademii rozbiły się o przewrotność Jezuitów? A jednak twierdzi to, nie podając wszelako najmniejszego dowodu pan Wiszniewski.

Jeden z jego kolegów (Bartoszewicz) zbil niedorzeczność twierdzenia, znalazł się trzeci (Maciejowski), który stanął w obronie pana Wiszniewskiego, dowodząc bez dowodów, że Jezuitom dosyć było opóźnić wykonanie planów Batorego, aby mogli bez trudności podkopać wielkość krakowskiej akademii. I to się nazywa pisać dzieje literatury?

Ponieważ myśl wzniesienia akademii po nad wszystkie szkoły w Rzpltej a nawet po nad zagraniczne wszechnice, nie dla „przewrotności Jezuitów“ ale dla niedostatku mężów, którzyby jej godnie przewodniczyli, nie mogła być przeprowadzoną, a z drugiej strony potrzeba wyższości szkół jednych po nad drugie stawała się z dniem każdym widoczniejszą: postanowił Batory zadanie akademii złożyć na szkoły jezuickie, z właściwą więc sobie energią otworzył im jedne, dopomógł do otwarczenia i protegował drugie. Ludzie tego zakonu, których on poznał, zdali mu się dla swej nauki, konsekwentności i poświęcenia najzdolniejszymi do wypełnienia trudnego zadania; a to tem bardziej, że widział jakie zbawienne dla wiary, Rzpltej i naukowości owoce szkoły jezuickie w sąsiednich Niemczech przynosiły, wszczepiając w młodzież przywiązanie do wiary, zamiłowanie jakiegoś porządku i ładu i przytem wzbogacając ją gruntowną wiedzą.

Dzisiaj uważają historycy polscy za prawdziwe nieszczęście tak dla ludów jak i dla oświaty owo oddawanie edukacji publicznej w ręce Jezuitów. „Królowie i rządy na własne zło nadto zaufali Jezuitom, a niechęć ludów i rewolucye nie doszłyby do takich rażących ostateczności, gdyby przeszłych pokoleń wychowanie spoczywało w innych, nie jezuickich rękach. Polska wzięła udział w tej nieszczęsnej manii królów i rządów i dla tego upadła.“ Przyznam się, że podobne wyrzekania znalazłem tylko w tej szkole pisarzów, którą reprezentują pp. Wiszniewski i Maciejowski, ale nigdzie w poważniejszym dziejów naszych lub obcych badaczu. Nie zatrzymując się dłużej nad kwestyą, która tylko zdaleka zakresu tej pracy dotyka, pozwolę sobie postawić pytanie: czy było inne lekarstwo na uleczenie ran, jakie zadała społeczności chrześcijańskiej reformacya, jak właśnie oddanie wychowania wzrastających pokoleń w ręce Jezuitów? Po owem strasznym zwątpieniu, które przeczyło wszystkiemu a nic nie potrafiło postawić nowego; po owej luźności politycznych i społecznych zasad, która wywołała najkrwawsze z najsprzeczniejszych pobudek i interesów zajścia; po owem znikczemieniu charakterów całych ludów i zamieszaniu zdro-

wych pojęć słuszności i prawa — chcąc ratować Europę, jakież można było znaleźć skuteczniejszy środek, nad wychowanie nowych generacyj w silnej wierze, w karbach posłuszeństwa i zasadach zdrowego rozsądku i sumienia? Zamiast przypisywać bezmyślnie smutne katastrofy XVIII wieku Jezuitom, lepiej zapytajmy się, co by się stało z społecznością Europy, gdyby wychowanie młodzieży miasto w jezuickie ręce, przeszło w XVI wieku do ludzi takich jak Melanchton lub Wolter? Jeżeli ich wpływy na młodzież ledwo kilkanaście lat wywierane, tyle zamieszania w świecie politycznym i socyalnym (a temu nikt przeczyć nie może) wywołały — cóżby się dopiero stało, gdyby dwa całe wieki tacy mistrzowie obrabiali społeczność? Do jakich fatalnych rezultatów doszłaby wtenczas Europa?

Nie błdził Batory, jak to naiwnie, śmiesznie nawet utrzymują literaci, oddając część wychowania publicznego Jezuitom — owszem, myśl jego w tem była prawdziwie wielką i jeniálną, gdyż nie Jezuitom wyłącznie dostało się kształcenie młodzieży. Nie myślę się, gdy twierdzą, bo wielki duch Batorego usprawiedliwia zdanie moje, że oddając Jezuitom akademię wileńską a z nią ster wychowania na Litwie, nie zamyslał Batory upośledzenia akademii krakowskiej, ale jej wywyższenia pragnął, rozumiejąc, że podupadły jej duch ocuci się nowością i świeżością swej współzawodniczki, a ta znowu wyteży wszystkie siły, aby nie dać się wyprzedzić.

Istotnie, oceniając rzeczy bezstronnie, do tego wniosku przyjść się musi. Akademii zarówno jak Jezuitom zostawione było wolne pole do naukowych prac i popisów — oddano tę i tamtych swemu losowi i własnym siłom, a jeżeli Jezuici znajdowali patronów i dobrodziejów, to i akademia nie była z nich obraną zupełnie.

Wyrzekania literatów na zakon jezuicki, jakkolwiek powszechnie i namiętne, zdradzają tylko wewnętrzną niedołężność akademii i są wymownem świadectwem jej naukowego ubóstwa. Bo koniec końcem, nie potrafiono dowieść Jezuitom żadnej istotnej winy, której się dopuścić mieli względem akademii, tylko chyba tę jedną, jeżeli to winą nazwać się godzi, że rozwinęli odrazu wielkie siły duchowe, a pracując wytrwale i zjednoczonemi siłami, zaciemnili ostatki blasku akademii i podali ją w dyskredyt.

Akademia postępując dalej na drodze upadku, na której ją postawiła emigracya utalentowańszej młodzieży i niedostatek uzdolnionych a sławnych mistrzów, mało zważała na pierwsze prace Jezuitów koło wychowania, jak mało ją obchodziły uczelnie różnowiercze zjawiające się i niktające jak te błędne ogniki w różnych stronach Rzpltej. Nawet utworzenie akademii litewskiej, nie czytamy aby znalazło opór. Nie było to dowodem jej wspaniałomyślności, jak chcą w nas wmówić literaci, ale symptomem słabości; boć jeżeli czuła się na silach, jeżeli w całej pełni życia naukowego przyświecać chciała narodowi, czemuż dała się wyprzedzić właśnie na tej Litwie nie tylko przez Jezuitów ale przez różnowierców nawet, którzy pierwaj tam swoje szkoły pozakładał, nim akademia pomyślała o tem.

Czul moc tego zarzutu p. Soltykiewicz i uniewinnia naiwnie dosyć akademią „błędami politycznymi rządu polskiego“ (str. 59). Ależ wiemy, że błędy te, jakiegokolwiek one były, zostały zatarte na wieczne czasy, już 1569 roku, tj. na lat 15 przed akademią wileńską, a na całe pół wieku przed ową klótnią z Jezuitami, która szalę kierownictwa wychowaniem przeważyc miała na korzyść tych ostatnich. Było więc aż nadto czasu jeżeli nie do spełnienia to przynajmniej do rozpoczęcia swej misji naukowej na Litwie. Zresztą jeżeli stosunki nie były ustalone, jeżeli jedność wychowania jak chce p. Soltykiewicz jest tak potężną dźwignią politycznej jedności, czy nie było obowiązkiem akademii rozrzucić swoje kolonie po Litwie, wszelkich katolickich szkół pozbawionej i przygotować tym sposobem umysły do ścisłej jedności politycznej? Ale akademiamy wołała wyczekiwać, aż się stosunki ustalą i przyjść do gotowego. Nie jestże to oznaką niedoleżności?

Przykro mi bardzo, że rehabilitując Jezuitów, obarczać muszę zarzutami akademią. Upadek jej był koniecznym wynikiem zbiegu wypadków, ani ją winić o to można wiele. Ale czemuż nachylona do upadku nie ratowała się środkami, które miała pod ręką i miasto wystąpienia czynnego na polu naukowem, miasto wmięszania się do ruchu umysłowego, obudzonego przez Jezuitów, zamknęła się w roli czysto biernej, a ile w niej było, stłumiła wszelki ruch naukowy? . . . Zda się to komu może paradoxem. Tak jednak nie jest. Literaci wystawiają Jezuitów jako najezdców na cudzą własność, jako opresorów i tyranów wdzierających się w prawa i przywileje obce — akademii zaś każą występować w roli „biednej“ uciśnionej, pokrzywdzonej istoty, ale słabej, niezdolnej odeprzeć napad i obronić swe prawa. Jest-to największa krzywda, jaką wyrządzić mogli akademii. Jeżeli gdzie, to tutaj zastosować należy wiersz Owidiusza: „*Causa patrocínio non bona peior crit*“. Już za Batorego czasów obowiązkiem akademii było, przyjmując otwartemi rękami nowych towarzyszków w trudnej pracy wychowania, a zachowując z nimi stosunki przyjaźni i zgody nie dozwolnić wyprzedzić się od nich — jeżeliby zaś to nie było możebnem, tedy nie przeszkadzać ich pracom upornem obstawianiem przy prawach dawno zapoznanych i zapomnianych, ale owszem stymulować i zagrzewać ich do coraz większych wysiłen przez własne naukowe wyteżenia. Powiemy, Jezuitci klótnliwi i swarliwi, byłiby nadużyli łagodności akademii i rozpanoszyli się na dobre z zupełnem akademii upośledzeniem. Dobrze, ale czemuż ci „klótnliwi i swarliwi Jezuitci“ nie doprowadzili do upadku i ostatniego upośledzenia akademię sorbońską? Okoliczności dane, były te same, czemuż rezultat zupełnie różny? . . . Bo Sorbona nie założyła rąk za pas jak akademiamy krakowska, nie zachowała się w roli biernej — ale podniosła rękawicę współzawodnictwa rzuconą przez Jezuitów i stanęła w szranki. Tak należało uczynić akademii krakowskiej, byłoby to jej obowiązkiem, nie „wspaniałomyślnością“ a ocaliłaby i swoją świetność i dopomogłaby do rozwoju szkół jezuitckich, które nie mając z kim współzawodniczyć, straciły ten ważny czynnik naukowego postępu. Nie uczyniła jednak tego, i to niedopisanie swemu obowiązkowi, jest, mem zdaniem, ciężką winą akademii, tem cięższą,

im głośniejsze są narzekania literatów na upadek oświaty w naszym kraju.

Milczenia więc akademii przy pierwszych zawiązkach¹⁾ jezuickiego wychowania nie można kłaść jak tylko na karb jakowegoś znękania i niedoleżności i przypisać je należy owemu fatalnemu postawieniu się w roli biernej. Jezuici tymczasem rozwinęli na ogromną skalę swoją działalność naukową: do 10.000 młodzieży²⁾ pobierało wychowanie w ich szkołach na Litwie i w Koronie, przez królów, biskupów i panów założonych: a jak każdej prawdziwej wielkości znamieniem jest nie zasklepić się w sobie samej i nie spoczywać na zdobytych wawrzynach, ale szukać coraz to nowego pola pracy i wysługi, zapragnęli w nowo fundowanem przez Zygmunta III okazałem kolegium św. Piotra otworzyć szkoły w Krakowie. Pan Soltykiewicz przesądza złośliwie, że „na wzór krajów austryackich chcieli wytepić zupełnie zwyczaj powierzenia publicznej edukacji nauczycielom świeckim, a w samym Krakowie opanować „wszystkie“ nauki (str. 65, 66). Ale na to historia najmniejszych nie podaje wskazówek.

Teraz współzawodnictwo z Jezuitami już było zapóźnem — akademii już za daleko posunęła się ku przepaści upadku. Jezuici już nadto ugruntowali swoje znaczenie, aby mogli być zwalczeni. Nie „wtenczas“ jednak, jak mylnie twierdzi p. Soltykiewicz, „zaczęły się gorszące między akademią a Jezuitami kłótnie“. Początku ich na lat dziesięć pierwiej szukać należy.

W Poznaniu zaraz po zaprowadzeniu swoim przez biskupa Konarskiego, otworzyli Jezuici szkółkę, rodzaj progimnazjum. Szkołę tę, ponieważ dochody ich znacznie się powiększyły, podnieśli do stopnia akademii o dwóch fakultetach, filozoficznym i teologicznym, a na sejmie 1611 roku uzyskali królewskie zatwierdzenie³⁾. Protestowała przeciw temu akademii krakowska osobnem pismem, wręczonem Pawłowi V, skarżąc, że „Jezuici, którzy po większej części u nas zakłady naukowe pootwierali, mieli tę śmiałość uzyskać sobie na sejmie ostatnim od króla JM. przywilej otwarcia nowej akademii w mieście Poznaniu. Która to rzecz obraca się wielce na szkodę szkoły naszej i łamie odwieczne prawa tak Stolicy Apostolskiej jak królów naszych i przynosi zamieszanie karności i nauk zamęt.“⁴⁾

¹⁾ Proszę te słowa brać w ścisłem znaczeniu, gdyż jak to zaraz zobaczymy, spory akademii z Jezuitami nie rozpoczęły się dopiero z otwarciem szkół jezuickich w Krakowie.

²⁾ *Argenti de rebus soc. Jesu ad Sig. III.*

³⁾ *Qui magna ex parte hic apud nos litterarum tirocinia posuerunt, in proximis Comitibus privilegium, novae academiae in civitate Poznaniensi erigendae a Sigismundo Rege Domino N. impetrare praesumpserint, quae res in damnum scholae nostrae plurimum vergit, et privilegia antiqua tum sedis ap. tum regum nostrorum infringit, ac perturbationem disciplinae studiorumque importat Mon. Pol. et Lith. Thein. t. III. 50.*

⁴⁾ Łukaszewicz twierdzi, że te dwa fakultety istniały oddawna, a na sejmie 1611 r. domagali się Jezuici prawa wydawania dyplomów na bakalaureaty i doktoraty. Hist. szkół t. I. str. 130.

Lucya po „dokładnem rozebraniu rzeczy“ wypadła na niekorzyść akademii. Literaci powtórzyliby tu oklepaną zwrotkę: papież lękał się Jezuitów i dla tego napisał: „W sprawie waszej z ukochanymi synami kapłanami Societ. Jesu, sądziliśmy, że na teraz nic nie należy zmieniać“¹⁾.

Utrzymali się więc Jezuiti przy owym przywileju²⁾, ale gdy akademia podała rekurs do papieża Pawła V, i sprawa ta stawała się drażliwą, generał Jezuitów Aquaviva polecił Ojcom poznańskim pozostać przy dawnym składzie szkoły. Niebawem rozpocząć się miały ważniejsze, z większą nierównie namiętnością prowadzone spory z akademią o szkoły krakowskie.

Historyk zakonu, Juliusz Cordara, rozpoczynając opowiadanie tych sporów, pisze: „Smutne to rzeczy — a Jezuiti polscy tylko z żalnością o nich wspominąć mogą“³⁾. Jakiem prawem utworzyli Jezuiti szkoły u św. Piotra? na mocy jakich przywilejów sprzeciwiła się temu akademia? Dwa te pytania wyjaśnia rzecz całą. Odpowiadam na pierwsze.

Ponieważ jednym z przedniejszych zadań Jezuitów jest nauczanie młodzieży, przeto najobszerniejszymi przywilejami opatrzyli ich papież rzymscy, mocą których wszędzie wolno im było otwierać szkoły, mimo przywilejów jakichbądź istniejących już korporacyj lub wszechnic. Te nadania Pawła III, Juliusza III i Piusa IV zatwierdził na nowo papież Pius V bulą wydaną 10 marca 1571 r. a okoliczność do tego podały niektóre wszechnice na podstawie swoich dawnych przywilejów, Jezuitom uczyć zabraniające: „Gdy na niektórych wszechnicach, słowa są bulli, pod pozorem pewnych przywilejów zakazuje się niekiedy szkolarzom (*scholaribus*), ażeby na takowe lekcyje (w kolegiach jezuickich, o których wyżej bulla mówi) pod karą wykluczenia od stopni i innymi może karami nie uczęszczali, a gdy to obraca się na wielką szkodę uczniów, na lekceważenie i przykrość nauczać i pracować pragnących: My... powagą apostolską niniejszem pismem decydujemy i oznajmiamy, że profesorowie tego Towarzystwa mogą w kolegiach swoich, a nawet w miejscach gdzie wszechnice istnieją, swobodnie i wolnie wyklądać publicznie tak humaniora jak nauki wyzwolone, teologią albo jakiegokolwiek z tych umiejętności, i że wszystkim uczniom pozwolono jest uczęszczać do tych kolegiów na wykłady i inne szkolne ćwiczenia. Rektorom wszechnic i wszystkim innym zabraniamy pod karą ekskomunikacji większej, ażeby nie wazyli się kępować i przeszkadzać w czemkolwiek rektorom kolegiów jezuickich i ich uczniom.“⁴⁾

¹⁾ *In negotio quod vobis est cum dilectis filiis presbiteris Soc. Jesu nihil innovandum modo existimavimus. Ibid. III. 355.*

²⁾ Czemu jednak akademia poznańska utrzymać się nie zdołała, powiem niżej.

³⁾ *Molesta sane haec et Polonicae Societati semper cum luctu memoranda. Hist. Soc. Jesu pars 6 t. 2. pag. 36.*

⁴⁾ *Cum in quibusdam universitatibus, quorundam privilegiorum praetextu. interdum scholasticis prohibeatur, ne hujusmodi lectiones sub poena ex-*

Z tym przywilejem w ręku mogli Jezuici otwierać szkoły wszędzie a więc i w Krakowie. Dzisiaj wydaje nam się opacznie, jak papież w Rzymie może decydować o szkołach w państwie obcym, ale nie zapominajmy, że wtenczas i jeszcze długo potem rzeczy dotyczące się szkół i wychowania uważano za jedne z tych, które należą wyłącznie do Stolicy Apostolskiej, tak dalece, że najabsolutniejszy monarcha katolik w swoim kraju nie śmiał bez przyzwolenia Stolicy św. zakładać szkołę lub akademią. Kiedy na Zygmunta Augusta nalegano na sejmie 1562 roku, aby krakowskie, poznańskie i pułtawskie szkoły reformować kazal, odpowiedział król i do konstytucyi to włożyć polecił: „Aczkolwiek to należy na urząd Ich M. księży biskupów, którym to. prawa pospolite i przodkowie nasi zwierzylu jako fundatorowie i nadawce tych to szkół, wszakże My w tej mierze księża biskupy i rektory napominamy“ etc. Jan Kazimierz skoro wydał przywilej na akademią lwowską 1661 r., zaraz pokornem pismem prosił papieża o zatwierdzenie swej erekcyi¹⁾. Na sejmiku Proszowskim 1625 roku, na którym akademią namawiała szlachtę²⁾, aby na walnym sejmie w obronie jej praw stanęła, odezwał się do sejmikujących Marcin Szyszkowski, biskup krakowski a kanclerz akademii: „My ani na sejmiku ani na sejmie danin papieżkich posadzać nie możemy. Niema tu tedy ta sprawa co czynić, nie będzie miała i na sejmie miejsca. Żaden z biskupów i z dobrych katolików nie będzie jej chciał tknąć, jeno ją do Rzymu odeślą, do którego że sami akademikowie *pro decisione* udali się, dziwno mi zaprawdę temu, że się tu teraz w pośród WMościów udają. *implorando auxilium Reipublicae*, która nie wiem *in quo subsellio iudiciorum* miałaby tę sprawę sądzić, czy w grodzie, czy w ziemstwie, czy na trybunale, czy na sejmie, zgola nigdzie ta sprawa forum nie

slusionis a gradibus et aliis forsitan censuris audiant, in magnum inibi proficere studentium detrimentum et legere ac laborare satagentium vilipendium et gravamen: Nos... autoritate Apostolica per praesentes decernimus et declaramus quod praeceptores hujusmodi societatis tam literarum humaniorum quam liberalium artium Theologiae v. cujusvis earum facultatum in suis Collegiis, etiam in locis ubi universitates extiterint suas lectiones etiam publicas legere libere et licite possint, quodque quibuscunque scholasticis liceat in hujusmodi Collegiis lectiones et alias scholasticas exercitationes frequentare. Districtius inhibentes universitatum quarumcumque Rectoribus et aliis quibuscunque, sub Excommunicat onis majoris aliisque arbitrio nostro moderandis infligendis et imponendis poenis, ne Collegiorum hujusmodi Rectores et scholares in praemissis, quovis quaesito colore molestare audeant vel praesumant. Inst. Soc. Jesu t. I. p. 39. 40.

¹⁾ *Mon. Pol. Thein. III.*

²⁾ Józef Łukaszewicz twierdzi, że sejmikująca w Proszowie krakowska szlachta „złożona była w wielkiej części z dyssydentów nie cierpiących Jezuitów.“ (*Hist. szkół t. I. str. 140.*) Nic więc dziwnego, że do żądań akademii się przychyliła, to dziwniejsza, że akademicy do dyssydentów o pomoc się udali.

ma i przez żaden sąd odprawioną być nie może, jeno przez sąd Stolicy Apostolskiej“¹⁾.

Jasne więc jest stanowisko, z którego Jezuici wychodzili. Mając przywilej otwierania szkół po wszystkich miejscach od władzy najwyższej i najbardziej kompetentnej do udzielania podobnych przywilejów, nie potrzebowali troszczyć się o trudności, jakie im stawiała akademia. Ich przywileje były świeższe niż przywileje akademii, a tem samem, że Stolica Apostolska nadała je tak rozległe i nieograniczone, ukróciła przywileje akademii, nie wyrządzając jej przeto najmniejszej krzywdy, gdyż zawsze prerogatywy jednego ścieśniają dawne przywileje drugich.

Z drugiej strony, akademia, ażeby mogła na legalnej podstawie oprzeć swój protest, potrzebowała koniecznie wykazać przywilej, „że w Krakowie obok niej żadne inne szkoły istnieć nie powinny. Takiego przywileju akademia wykazać nie mogła²⁾, chociaż domagał się tego, rozjemca w tej sprawie Nuncyusz Jan Lancelloti a wyrok roty rzymskiej, do której akademicy apelowali, wyraźnie powątpiewa o takim przywileju, „bo dajmy nawet na to, że akademia jest jakby w wyłącznem posiadaniu nauczania, przecież nie wynika ztąd, że jest nią względem samych Ojców Societatis“.

Jak więc Jezuici mieli za sobą jasne a nie dwuznaczne przywileje, tak akademia takowych pozbawiona, nadrabiać musiała krzykliwością i chwytać się środków, które nie zawsze pochwalić można. I tak już 1614 roku włożono w przysięgę zapisujących się do akademii uczniowi słowa: „Przysięgam, że jak długo w Krakowie zostaną, nie będę używał innych profesorów, jak tylko tych, którzy są pod posłuszeństwem rektora“³⁾. Klauzula ta, której w rocie przysięgi aż

¹⁾ Gratis plebański, gratis wywiczony przez Pięknorzeckiego (Frydryka Szembeka) str. 127. Odwołuję się tem chętniej na to dzieło, że Bentkowski w swej hist. lit. p. t. II. str. 328 pochwała je, „jako przytaczające w oryginałach pisma do sprawy Jezuitów z Akademią należące — ma więc swoją wartość dla chcącego się dokładnie obznajomić z tą sprawą.

²⁾ Bo go nie miała. — W dyplomie restauracyjnym króla Jagiełły czytamy: *Ut ordo debitus et rigor ordinatus observetur, volumus ut omnes scholares et studentes Cracoviam accedentes, ibidem causa studiorum moraturi proprium rectorem habeant qui in civilibus causis ipsos iudicet etc.* (Cod. Dipl. univ. stud. gen. Crac. pars. I. Crac. 1870 pag. 27.) Dosłownie powtarza to buła Jana XXIII zatwierdzająca przywileje Jagiełły (tamże str. 89). Akademicy z tego: *proprium rectorem habeant*, zrobili: *unum rectorem habeant*, i wnosili ztąd: jeden rektor a więc jedna szkoła. — Czytaj o tem Gratis plebański Brosciusza, część II. — Podobnież w erekcyjnej bułi Urbana V stoją te tylko słowa: *Autoritate ap. statuimus atque ordinamus ut in dicta Civitate Cracov. de caetero sit studium generale illudque perpetuis temporibus inibi vigeat — ibid. pag. 7.* Nie ma zaś żadnej mowy, że nie wolno otwierać szkół innych.

³⁾ *Juro quod quamdiu Cracoviae manebo, non utar aliis praeceptoribus nisi his, qui sunt de obedientia Rectoris.* Wspomina o tem i Brosciusz w swym *Gratisie*.

do 1614 r. nie czytamy, wymierzona była wprost na Jezuitów, co też wyraźnie wypowiada Nuncyusz Lancelotti w liście do Marcina Szyszkowskiego, biskupa krakowskiego, obligując go, aby klauzulę tę z rotę przysięgi wymazać kazał. „To, słowa są listu, sprzeciwia się jawnie Ojcom Soc. Jesu i ich przywileje zgola znosi“¹⁾. Biskup zastósował się do słusznego żądania nuncjusza i przysięgę takową ogłosił za nieważną, gdyż uczynioną „*in illicitum*“²⁾.

Udano się potem do innego równie nieszlachetnego środka. Jezuitzi pragnęli zgodę zachować z akademią, unikając processów i pieniactw, postanowili więc mimo swych przywilejów zniżyć się do rokowań z akademią. Studenci do ich szkół uczęszczający, mieli być wpisani do albumu akademii, wykonać zwyczajną przysięgę a nawet podlegać jurysdykcji rektora we wszystkich sprawach pozaszkolnych.

Otóż ażeby raz na zawsze przeciąć drogę układom i na żadne ustępstwa nie zgodzić się, zawiazali akademicy rodzaj konfederacyi między sobą, obowiązując się wszyscy i każdy z osobna, że w żadne z Jezuitami rokowania wchodzić nie będą³⁾. Taka nieużytość aka-

¹⁾ *Id aperte Patribus Soc. Jesu adversatur eorumque privilegia de medio tollit.* Gratis pleb. wyćw. str. 231.

²⁾ Na złe nigdy przysięgać się nie godzi, a gdyby nawet kto uczynił przysięgę, takowa jest żadną. Tak nieważną była przysięga Heroda dana swjej córce „że czego zażąda da jej“, zażądała „głowy św. Jana“. Ojcowie Kościoła idąc za głosem zdrowego rozumu, nauczają, że Herod do zabójstwa niewinnego człowieka nie mógł być danem swem słowem obowiązany. Otóż i ta wyż wspomniona klauzula wymierzona na obalenie przywileju papieżkiego była przysięgą „*in illicitum*“ (na niegodziwe) i dlatego z natury swojej nie mogła obowiązywać.

³⁾ *Gratis pleb.* Broszcusza, może posłużyć za wyraz opinii akademików w tej mierze: „Nie radziłbym żadnej unii czynić jako Jezuitzi pragną... Do Moskwy z unią.“ Na dowód podobieństwo: „Gdy kto chce wino z olejem pomieszać, niech je jako chce ubije i umiesza, że się już jakby jedno będzie zdało, jako trochę postoi, olej przecie na wierzchu a wino u spodku.“ *Gratis pleb.*: część III. Konsens. — Oto i mądrość akademicka. — Rzecz doprawdy ciekawa, że na to pamfletarskie pisemko, uczonego zresztą i poważanego akademika odwołują się literaci jakby na powagę. Nietyko wszystkie swoje zarzuty o celach i chciwości zakonu o „żakach wąsatych“ i dubeltowanych klasach ztamtąd czerpali, ale nadto wypisują całe ustępy. Prawda, że jest tam wiele staropolskiego dowcipu i jowialności — czego tym panom niedostaje, ale jest też wiele pociesznych i dziecinnych rzeczy, które w dziełku mającym uchodzić za źródło historyczne miejsca mieć nie powinny. Tak n. p. pleban poucza ziemianina, że celem zakonu „aby jednego pana świata wszystkiemu na kark wsadzili.“ Tym panem ma być król hiszpański. Pod koniec drugiej części, czyli dyskursu plebana z ziemianinem wchodzi Jezuitzi. Wita ich pleban: „*Salutem ex inimicis nostris*“ — Jezuitzi odpowiadają: „*Et de manu eorum qui oderunt nos.*“ Pleban na to: Wierzę, przecz W. M. chcecie cokolwiek „*de manu*“, to znaczy jesteście chciwcami, Zabawne to, ale czy mądre?

demii obok braku przywilejów, gwarantujących wyłączne nauczanie w Krakowie, w żaden sposób pochwaloną być nie może.

Nie dosyć tego. Widząc, że w nuncyaturze spraw swoich przeprowadzić nie potrafią, zanieśli skargi do roty rzymskiej, najwyższego trybunału w Kościele, od którego już apelacyi nie ma. Uczciwość a nawet sama przyzwoitość nakazywała zachować się spokojnie i po żadnych już sądach i trybunałach nie pukać, dopokąd decyzja roty rzymskiej nie zapadnie. Tymczasem na sejmiku proszowskim r. 1626 widzimy akademików agitujących między szlachtą i na Jezuitów podżegających, co nie mało zadziwiło obecnego tam kanclerza akademii, biskupa krakowskiego, i zmusiło do uroczystej protestacyi. „Tu teraz tak powiadam Wmościom i tem informuję, że sądy wszystkie, które jeno *oriuntur inter Academias, cum de libertatibus et privilegiis certant*, nie mogą być jeno *in foro spirituali* rozstrzygnięte“¹⁾. A nie przestając na tem, wnieśli tę sprawę na sejm walny. Równocześnie burdy przez akademików i przykrości Jezuitom wyrządzane, musiały być częste, kiedy nuncyusz Lancilotti uważał za rzecz stósowną osobnym listem wezwać czujności i roztrpności rektora i profesorów akademii. „Ponieważ stać się może, że niepomiarkowany zapał uczniów, o ile że młodzieńców, do gwałtów ich pobudza, drażniąc wspomnianych Ojców, przeto panów upominam, ażeby wspomnianych uczniów wszelkimi sposobami w ryzach utrzymywali i dowiedli, że w szkołach tych (tj. w akademii) nie mniej uczą umiejętności jak skromności, pobożności i winnego zakonnikom a to w sprawie chrześcijaństwa dobrze zasłużonym, uszanowania“²⁾. Żeto nie były próżne obawy, fakta w przypisku umieszczone nauczą³⁾.

¹⁾ Gratis pleb. wyćwiczony str. 125. Protestacya biskupa umieszczona tam dosłownie od str. 124 – 128.

²⁾ *Verum quia fieri potest, ut immoderatus discipulorum, utpote juvenum ardor, eosdem ad violentiora compellat, dictos Patres lacessendo, eosdem Dominationes vestras hortor, ut dictos discipulos modis omnibus coerceant, idque agant, ut manifestum sit non minus in hisce scholis scientias quam modestiam, pietatem et debitam erga religiosos viros et quidem de Re-publ. christiana bene meritos reverentiam edoceri.* Tamże str. 206.

³⁾ Skoro tylko kolegium św. Piotra ukończone zostało, Jezuitci na mocy wspomnionego wyżej przywileju otworzyli szkoły r. 1624, a tymczasem toczyła się sprawa z akademią. Obustronne stosunki były naprężone, jak to zwykle w drażliwych sprawach bywa. Ale Jezuitci nigdy nie tracili krwi zimnej, ufni w czystość swej sprawy i znając wyraźną wolę króla, który raz powziętej decyzji nie zmieniał łatwo. Akademicy zaś rzucili się do pisania paszkwilów, a nawet rektor i profesorowie obojętnie patrzyli na zuchwałość i swawolę swych uczniów, którzy kilka razy okna kolegium kamieniami wytlukli, a potem, gdy sprawa do Rzymu odesłaną została, stając tłumami na ulicy Grodzkiej, nie tylko sztychli do przechodzących uczniów jezuickich, nie tylko, zwyczajem ulicznej zgrai, potrącali ich, czapki rzucali, książki wydzierali itp., ale z kamieniami i zbroją w rękę zastępowali im drogę, mianowicie gdy ze szkoły wychodzili. Rektor kolegium, świętobliwy ks. Łęczycki, wyznaczył dwóch Ojców, którzyby młodzież przez zastawioną ulicę przeprowadzili, rozumiejąc, że powaga Ojców

Obiegały też po całej Koronie najwybredniejsze paszkwile na Jezuitów. Akademia pociągana od biskupa Szyszkowskiego do odpowiedzialności, wypierała się uczestnictwa w tej brudnej robocie. Szereg tych pism na Jezuitów rozpoczynają owe głośnie na cały świat, przez wszystkich ich nieprzyjaciół wyzyskiwane i rozsiewane „*monita privata*“, które jeszcze Piotr Tylicki 1615 r. potępił i publicznie w Krakowie spalić kazał. W dwa lata potem, pojawiła się broszura „*Katedra*“ i „*Deklaracya niewinności*“, które wraz z Monitami potępił i położył w indeksie biskup Szyszkowski. Trzecią z kolei była „*Responsio ad famosum libellum a Patribus Societatis in academiis Cracoviensem scriptum et nomine reprotestationis vulgatum*“. Ów „*famosus libellus*“ była zjadliwie nieco przez jednego przyjaciela Jezuitów nakreślona w ich obronie książeczka „*Proca*“, którą tenże Marcin Szyszkowski

uskromi zuchwałość napastników. Tymczasem „słuchacze akademii“ rzucili się na przechodzących „tak że drzwi domów i warsztatów, do których byli tak Jezuitów jako uczniowie ich ustąpili, siekli, a szlachcica jednego jezuitckiego w ramię cięli; innym kijmi, drugim kamieniami dostało się.“

Jezuitów zanieśli skargę do biskupa, kanclerza akademii, a król dowiedziawszy się o burdzie, nakazał staroście krakowskiemu, Gabryelowi hr. Tarnowskiemu, aby bezpieczeństwo uczniom jezuitckim i Ojcom opatrzył. Sąd akademicki wziął tę sprawę lekko, nazywając ją „*concertatio puerilis*“, a rektor w odezwie corocznej do akademików napominając, aby się zwad strzegli, dodał klauzulę „*si id fieri potest*“, jakby chciał tem dać do zrozumienia, że są ludzie, z którymi spokoju mieć nie można, t. j. Jezuitów. Stało się więc, co stać się musiało. Rozhukana młodzież akademicka, drażniona widokiem hajduków, którym hr. Tarnowski utrzymanie spokoju na ulicy Grodzkiej poruczył, umówiła na dzień 13 czerwca 1625 walną wyprawę na jezuitckich uczniów i hajduków. Od kamieni na uczniów przyszło do strzałów na straż. Hajducy grozili, aż widząc, że akademicy nie żartują, ognia dali, kilku ranili, jednego na miejscu ubili. Był to plebejusz Bartłomiej Przepiórka, uczeń dawniej jezuitckiej w Poznaniu. Tego uszlachcono natychmiast, i Ptaszkowskim z Przepiórki nazwano. Dopieroż w gwałt wołać na Jezuitów, że oni hajduków namówili i złotem przekupili, aby akademikom łaźnię sprawić. Najobelżywsze skargi posyłały się do wszystkich sądów nawet do Stolicy Apostolskiej. Tymczasem w Krakowie przez siedm dni odbywały się festyny pogrzebowe onego Ptaszkowskiego z Przepiórki, na rogach ulic i publicznych miejscach wynoszono zasługi bohatera praw akademii, chlępieno się szlachetną ofiarą zemsty jezuitckiej. Nareszcie przeszedł ten szal młodzieńczy, tą razą wcale nie chlubny. Zygmunt III kazał złożyć na Jezuitów „*iudicium compositum*“. Zasiadli w nim imieniem grodu podstarości, od sądu miejskiego prokonsul i sekretarz, dwóch kanoników imieniem kapituły a dwóch od akademii.

Wyrok złożonego sądu odesłano do króla, który niebawem (3 kwietnia 1626) wydał uniwersał uwalniający Ojców *Societatis* od winy i cienia nawet winy (umieszczony jest w *Gratis pleb. wyów.* str. 260). Miały jeszcze miejsce inne zajścia pocieszne dosyć, ale które na wielką obelgę i krzywdę Jezuitów wyzyskiwano. Dwaj „niegdys mistrzowie akademicy, ale z akademii wyrzuceni dla swych obyczajów niedobrych“ podpiwszy sobie, zaczęli imię *IHS*, które

drukować i czytać zabronił.¹⁾ Niebawem wyszło nowe pismo „Obżalowanie przeciwko Jezuitom“. Biskup krakowski i poznański Jędrzej Koroniewicz i Litwie ogłosili „Koronę i obżalowanie jako bezbożne, krzywdzące, zgubne, ohydne, kłamliwe, potwarcze“ itd. i wszystkim przechowywać, drukować lub czytać pod kłatwą zabronili. Zygmunt III restryktem z dnia 3. maja 1622 publicznie je ręką kata spalić kazał. „i tak egzekucya tego dekretu w Warszawie na czterech rogach rynku stała się, i książka ta ręką katoską spaloną była.“²⁾

Nastąpiła dwuletnia cisza przerwana na chwilę nieroztropnością Jezuitę Krzysztofa Angeli.³⁾ Dopiero kiedy rektor domu ks. Łęczycki

zwykle znajduje się na bramie koleгии, rąbać i do drzwi stukać, miotając obelgi na Ojców. Zakrystyan braciszek, który stał w drzwiach kościoła, widząc co się dzieje, przybiegł z dobrym drągiem, i jednego z panów exmistrzów nim uderzył. Wybiegli wnet inni bracia zakonni, a jeden poczciwiec, który niegdyś służył wojskowo, przypomniał sobie czasy dawne, i dopadłszy u wyrostka, który natenczas tam stał przypadkowo, karabeli, nużę płazem okładać uciekającego. Na nieszcześnie, czyto przestraszony, czy odurzony winem uciekając p. exmistrz uderzył głową o mur i zakrwawił się. „Z tej tedy okazji zaraz bij zabij na Jezuitę, krzycząc, onych krzyżakami, buntownikami i krwi rozlewcami nazywając i listy o tem rozpisując, nie dowiedziawszy się co i z jakiej przyczyny i jako się stało. Głosili jedni, że ten uderzony od Jezuitów umarł, drudzy, że go Jezuitci porabali i pobili tak że na śmierć leży... Żywym był i jest, nie zmarł ale z łóżka powstał.“ — Porywczosć zakonnej braci została ukarana od starszych, biskup owe niespokojne exmistrze powołał przed sąd swój, ale krzyki na Jezuitów nie ucichły prędko, zwłaszcza, że scena ta wydarzyła się zaraz w trzy miesiące po wypadku „Ptaszkowskiego z Przepiórki.“ (*Hist. Soc. Jesu. Autore Julio Cesare Cordara, Romae 1859 pars. IV. tom II. p. 39—41. Gratis pleb. gratis wyćwicz. str. 150—155, 164—166. Józef Łukaszewicz, hist. szkół t. I. str. 140—143.*

¹⁾ *Equidem futeor. primum illum libellum „Proca“ titulo insignitum, pro Societatis defensione acerbiori stylo Polonice editum minime nobis fuisse probatum* Słowa listu biskupa do rektora akademii. *Gratis. pleb. wyćwiczony str. 263. Patr. u Jochera: „Obraz bibl. hist. nauk i literatury.“ t. I. str. 241.*

²⁾ *Gratis. pleb. wyćw. str. 272.*

³⁾ Ks. Angeli w domówieniu kazania, które miał na dzień św. Ignacego w kościele św. Piotra, dotknął niepotrzebnie tych krzywd, które Jezuitci od akademików cierpieć musieli. Mianowicie wspominał, że jak wiadomo okna kolegium powybijali, Ojców publicznie hajali i kamieniami obrzucili. Nieroztropne swe wystąpienie drogo przepłacić musiał. Kilku akademików przytomnych na kazaniu, pognało co tchu do wikaryusza biskupiego, gdyż samego Szyszkowskiego nie było w domu. W przeciagu trzech godzin miał się stawić kaznodzieja przed sądem wikaryusza, co gdy nie nastąpiło, rzucił nań wikaryusz kłatwę *in contumaciam*. Wnet przyjechał biskup, który rzecz tę uspokoił, ale nuncyusz ostro zgromił wikaryusza za takową porywczosć. *Hist. Soc. Jesu Cordarae p. VI t. 2 p. 38. pod tytułem imprudentia nostri Concionatoris et ejus absolutio ab Eppo.*

widząc, że w odwłokę rzecz idzie, otworzył 1624 r. szkoły, gotów każdej chwili zamknąć je, jeżeli taki wyrok Stolicy Apostolskiej zapadnie, posypały się z większą namietnością i żółcią napisane paszkwile, między którymi *Gratis plebański* sławnego Brosciusza ¹⁾ i *Actio equitis Poloni* napisana przez mistrza akademii Rogala Zawadzkiego. Podniesiono przytem najdrażliwszą kwestyę, „sfalszowania przez Jezuitów konsensu“. Rzecz tak się miała. Do kościoła św. Barbary, która 1583 Stefan Batory oddał Jezuitom, miała prawo patronatu także akademja. Prawa swego wyrzec się nie chciała jak tylko pod warunkiem, że Jezuiti zobowiążą się nie otwierać szkół żadnych w Krakowie. Jezuiti na taki warunek, obalający jeden z najistotniejszych ich przywilejów przystać nie mogli, ale zgodzili się na to, że w razie, gdyby kiedy w Krakowie szkół uczyć mieli, uczniowie ich we wszystkim podlegać będą rektorowi wszechnicy, wyjąwszy rzeczy szkolnych i wpiszą się do album akademii, akademja w zamian za to przyrzekła, że Jezuitów niepokoić w otworzeniu szkół nie będzie. Obustronne ustępstwa spisał notaryusz publiczny nuncjatury Stanisław Szydłowski, wobec trzech od akademii deputatów. Czytamy w tym akcie wyraźnie: „Ażeby wspomniani panowie z wszechnicy złożyli jakiś dowód pobożności swojej do Stolicy Apostolskiej, dali się przywieść do tego, że pozwolili, aby Ojcowie szkołę także albo kolegium założyć mogli, byleby tylko samych Ojców uczniowie do wszechnicy wcieleni, teje rektorowi natenczas istniejącemu podlegali i poddani byli według praw i przywilejów teje wszechnicy.“ ²⁾ Wnet po spisaniu tego

¹⁾ Jan Brosciusz doktor teologii i profesor akademii a potem kanonik krakowski i proboszcz międzyrzecki i staszkowski, najślynniejszy czasn swego matematyk, jest autorem pisma na Jezuitów: *Dyskurs plebański*, *Gratisem* nazwany. Jest to rozmowa plebana ze szlachcicem, popularna, bo w celu poinformowania braci szlachty przeciw Jezuitom napisana a wymierzona na wyrócenie szkół jezuiickich w Krakowie. Podzielona na 3 części; pierwsza dowodzi szkodliwości szkół jezuiickich bezpłatnych — ztąd „gratis“; druga „przywilej“ podaje w wątpliwóść i szykanuje przywileje jezuiicke, mianowicie ów Piusa V. mocą którego wszędzie nawet gdzie wszechnice istnieją, szkoły zakładać i uczyć im wolno; ostatnia „konsens“ rozwodzi się nad pofalszowaniem aktów przez Jezuitów. Porozrzucane są tu i tam jakby dla okrasz najrozmaitsze przeciw Jezuitom zarzuty, które ze sprawą szkół najmniejszej nie mają styczności.

Paszkwil ten wyszedł drukiem bezimiennie, ale drukarz paszkwilu heretyk przybrane imię Piotrkowczyk noszący, został według praw na paszkwilantów u pręgierza wychłostany. Dla tej okoliczności Jezuita Szembek (alias Pięknorzecki) intytuował odpowiedź na *Dyskurs plebański*: „*Gratis plebański, gratis wyćwiczony*.“ Chociaż tytuł sarkastyczny, całe dzieło napisane poważnie bez żółci i jadu i obfite w dokumenta, które całą tę sprawę wyjaśniają, dla tego często na nie odwoływałem się.

²⁾ *Nihilominus ut praefati de universitate, aliquod praestent argumentum devotionis suae erga sedem Apostolicam, ad hoc sese adduci passi sunt, ut permittant etiam scholam aut collegium a Patribus institui posse, dummodo ipso-*

aktu, niektórzy z akademików nie chcieli uznać ważności jego, nie dla pofalszowania przez Jezuitów, ale jakoby deputaci nie od wszystkich upelnomocnieni zostali. Sprawa raz jeszcze odniesioną została do nuncjusza Bolognetti z dodatkiem, że nie tylko uczniowie, ale samiż profesorowie Jezuiti rektorowi akademii podlegać będą. Nuncyusz wezwał do siebie rektora akademii natenczas ks. Jakóba Górskiego z sześciu innymi mistrzami akademii, zapytując o ważności wspomnianego aktu, a zarazem oświadczając, że nowej klauzuli ani nie wypada przypisywać, ani Jezuiti przyjąć takiego warunku na siebie nie mogą. Rektor imieniem akademii uznał ważność aktu, od klauzuli odstąpił, i na wystawienie nowego publicznego instrumentu przez nuncjusza zezwolił. Ten drugi dokument nosi datę 4 lutego 1583 r. pierwszy spisany był trzema dniami pierwej. I to jest ten sławny konsens, który Jezuiti pofalszować mieli.¹⁾

rum quod patrum scholares, Universitati incorporati, ejusdem Universitatis Rectori, pro tempore existenti pareant et subsint secundum ipsius universitatis jura et privilegia. Grat. pleb. wyw. str. 200.

Była to ugoda w myśl akademików, którzy opierając się na przywilejach Jagielly, że akademia ma mieć *proprium rectorem*, koniecznie ztąd wywnioskować chcieli, że na cały Kraków ma być tylko *unus rector*.

¹⁾ Inaczej trochę opisuje tę rzecz Brosciusz w swym *Gratisie*. Rektora akademii, księdza Górskiego odwiedziło kilku Jezuitów z krakowskiego domu, jego niegdyś kolegów na akademii, i rozmawiali, jakimby sposobem szkoły swoje otworzyć mogli. „Mieli, mówi Brosciusz, przy tej rozmowie *Szydłowium notarium publicum*, który przyszedłszy do domu *praecipua* onej rozmowy spisał *in forma instrumenti publici*. Znowu po kilku dniach legat papieski Bolognetus zaprosił do siebie kilku akademików, uczęstował, potem rozmowę wniósł o Jezuitach. Także akademicy powiedzieli rozmaite *inconvenientia*, które miały na stołeczne miasto i akademię prawy koronnemi obwarowaną, nastąpić. Przed się oni kartę sobie taką spisali, którą teraz pokazują... Dla tego oni natenczas nie zaczęli szkół, że to skrypt był fałszywy, zmyślonny. Jeszcze żyli ci, których to podpisy pokazują, pokazałyby się była zaraz ich praktyka... Niech jako świętobliwi ludzie na świadectwo wskrzeszą tamtych kolegiatów, których podpisy tu na karcie ukazują“ (*Gratis pleb. część III konsens*). Dla ugruntowania zarzutu opowiada Brosciusz, że niedawnemi czasy Jezuiti wyłudzi u pewnego pana skrypt na szkoły, któreby dopiero po jego śmierci okazać mieli. Że to nie nowina, tym Ojcom dopuszczać się pofalszowań, w nowem bowiem wydaniu epigramatów Kochanowskiego roku 1612 postarali się o to, aby w wierszu na cześć ks. Górskiego miasto: *Tantus tu Herbesto*, wydrukowano *Tantus tu Helvidio*, chcąc tym sposobem zatrzeć pamięć kłótni Górskiego z ich Herbestem. Że sam Górski złą miał o Jezuitach opinię, gdyż pisze o „Frankonie“ że z ich zakonu *tanquam ergastulo elapsus*, więc wnosi uczony akademik, ich kolegia *ergastula* nazwał.“ (Tamże.) Trudno się nie rozśmiać na takie wywody, literaci nasi biorą je za dobrą monetę. Łukaszewicz jednak wyznaje „że trudno wierzyć, aby Jezuiti układ z akademią, w sposób taki, o jaki m tu Brosciusz powiada, zmyśleli.“ *Hist. szkół tom I str. 134.*

Bo gdy po 40 prawie latach od zamieszkania swego w Krakowie publicznie uczyć chcieli, akademia zaś przeciwiała się temu, wydobyli Jezuici ów konsens, dopominając się, że kiedy oni warunków umowy dopełnić pragną, akademią zrzucić się z ugody i danego słowa zrywać wcale się nie godzi. Akademia zażądała zrazu onych dokumentów, odwołując oddanie tychże, ale na szczęście Jezuici mieli je na dwie ręce spisane, przeto udano się do potwarzy, jakoby ów konsens był podstępnie przy biesiadzie u nuncjusza Bolognetti spisany, a podpis ks. Górskiego podrobiony. Tymczasem skoro owe dokumenta nuncjusz Lancilotti oglądał, uznał je za ważne osobnym instrumentem datowanym 8. kwietnia 1626 r. „Gdy wspomnianego już na szkoły *Societatis Jesu* w Krakowie od akademii konsensu, publiczny instrument formalnie sporządzony, prawdziwy a nie zmyślony, nietknięty, cały

Nie raz to jeden zarzucano Jezuitom pofalszowanie aktów. P. Szujski n. p. pisze: „Jezuici nie wahali się popelić sfalszowania w ustawach synodalnych piotrkowskich r. 1589 na rzecz swojej sprawy (tom III 246). Jaroszewicz zaś w tomie III swego obrazu Litwy twierdzi, że umieli zmyślone konfirmacye do zbioru praw weiskać. P. Szujski nie podał żadnych źródeł ni dowodów. Jarosz. zacytował *Vol. leg. V, 488, 536.*

Otwórzmy zacytowane miejsce: „Fundacya teologii i *pro educatione* dzieci szlacheckich *Colleg. Varsov. Soc. Jesu* na wszystkich dobrach swoich przez przewielebnego ks. Stanisława Święcickiego biskupa Chełmskiego *exceptis Milanowo et Herodyszczce Jure inchoato vindicandis.*“ Otóż sejm zatwierdza wszystkie dotacye biskupa. „Wyjąwszy jednak *Donationem* Milanowa i Horodyszczca *cum attentis* od urodzonego Mik. Firleja starościca lubelskiego *in personam* pomienionego przewielebnego ks. biskupa zezpaną, którą my *praesentibus cessato etiam privato scripto* urodzonemu starościcowi *dato in suo robore* zostawiamy. *Ea* jednak *conditione*, że gdy pomienione dobra... tenże przewiel. biskup *vindicabit, post fatu* tegoż biskupa chełmskiego mają *cedere.*“ Starościcowi lub jego proli... itd. *Vol. leg. V 488.* A więc 1-o nie Jezuici, ale biskup chełmski kupił te dobra, 2-o konstytucya nie przesądza że biskup windykować może te dobra — nie zatwierdza jednak ich darowizny, bo jeszcze były w procesie. Jakimże tedy prawem wyprowadzić ztąd sfalszowanie aktów przez Jezuitów. Druga konstytucya t. V. str. 536 brzmi tak:

„Warunek prawa Justyny Sopockównej Rukiewiczowej.

„Ponieważ urodzony Stanisław Rukiewicz *cum praejudicio* urodz. Justyny Sopockównej Rukiewiczowej i braci swej przyrodnych OO. Jezuitom majątność Hołowacze sprzedał i konstytucyą roborował. Tedy urodz. Justynę Sopockównę Rukiewiczową sędzinę grodzką Grodzieńską, z postonstwem przy prawach na część majątności Hołowaczów, tak samej jako jej potomstwu służących *in toto* zachowujemy i dwór onej w mieście Grodnie *ab oneribus* miasta excypujemy.“

A więc 1-o nie była to darowizna ale kupno, 2-o nie Jezuici, ale jak to często bywa, brat sprzedał z pokrzywdzeniem rodziny, a konstytucya windykuje tylko część majątku. Że zaś Jezuici maczali palce w tej robocie, tego z konstytucyi nikt nie dowiedzie. Jakimże tedy czołem śmiały literaci cytować te konstytucye jako dokument? To już loicznie postąpił p. Szujski, bo rzucił potwarz, a niezgo nie zacytował.

niepopsuty, oglądaliśmy i czytali i jako prawdziwy i autentyczny uznaliśmy ¹⁾ itd.

Po takim kroku nuncyusza, akademicy żądali najprzód zwłoki, a potem oświadczyli, że w żadną ugodę z Ojcami *Societatis Jesu* wchodzić nie chcą, ²⁾ i do Rzymu apelują. Jakież przecie dowody podali akademicy, zarzucając Jezuitom tak ohydny postępek, sfalszowanie aktów? Oto: że akt ten do ksiąg akademickich nie jest wciągnięty, że Jezuitci odwołują się na świadków już zmarłych.

Na pierwsze nie ma co odpowiadać, bo niechętny Jezuitom registrator ksiąg akademickich mógł naumyślnie tego dokumentu nie wpisać, zresztą zdrowy rozum świadczy, iż nie wynika wcale fałszywość dokumentu jedynie z tego, że kopia do ksiąg instytucji niekompetentnej ³⁾ nie została przepisana i wcale ciekawie wyglądać musiał argument akademików; nie mamy tego aktu w księgach naszych, a mieć go powinniśmy, więc jest podrobiony.

Na odparcie drugiego punktu żył jeszcze jeden z naocznych świadków tego, co się działo u nuncyusza dnia 1. i 4. lutego 1583 roku. Byłto ks. Stanisław Zberowski, kruszwicki i wieluński kanonik. Jezuitci raz 1610 r. a drugi raz w 15 lat później przedłożyli starcowi wspomniane dokumenta, a zacny starzec uznał je za prawdziwe i autentyczne, i osobnem piśmie na żądanie Ojców to stwierdził ⁴⁾. Dodać jeszcze wypada, że na dokumentach konsensu nie znajduje się podpis ks. Górskiego, ale cały jest spisany notaryusza ręką, opatrzony podpisem samego notaryusza i pieczęcią notaryatu; jakżeż tedy Jezuitci mieli udawać rękę ks. Górskiego.

Nie przeto jednak ustaly krzyki na Jezuitów o sfalszowanie aktu, a sławny Brosciusz w paszkwilu *Gratis* plebański poświęcił osobną część trzecią tej sprawie, z której wyjątki w przypisku wyżej

¹⁾ *Quae jam dicti in Scholas. Soc. Jesu Cracoviensis ab Academia consensus publica instrumenta, rite confecta, vera et non ficta integra, salva, et non corrupta cum vidissemus et legissemus, eaque vera ac legitima autenticaque agnorissemus: eosdem etc. Ibid str. 210.*

²⁾ „*Significantes nobis se nullam concordiam cum Patribus Soc. Jesu inire vele.*“ *Słowa Nuncyusza. Ibid. 211.*

³⁾ Akademia nie jest przecie instytucją rozstrzygającą o dokumentów prawdziwości.

⁴⁾ Przytaczam dosłownie ten reskrypt: „*Ego Stanislaus Zberowski Civitatis Wielumensis Canonicus et Officialis, praesenti manus meae scripto, Deum in testem vocando testor me praesentem interfuisse et audivisse, consensum esse Patribus Societatis Jesu ut scholas erigere possent, ita tamen ut scholares Patrum sub obedientia Magnifici D. Rectoris Academiae sint et ei pareant in nullo Academiae jura violando. Haec ita esse, et fuisse factae, ego idem qui supra attestor, et majoris roboris et certitudinis causa Sigillum apposui et manu propria subscripsi. Datum Wieluni die 9. Jul. a. d. 1625.*“

Pismo z d. 20 St. 1610 tej samej treści, tylko że wyrażnie wspomniane jest imię Nuncyusza Bolonetti i jego notariusza Szydłowskiego. *Vide Grat. pleb. wyćw. str. 213, 214.*

umieścilem. Tradycya tych zarzutów przechowała się między nieprzyjaciółmi Jezuitów długo, gdyż jeszcze p. Szujski śmie twierdzić, bez połamania jednak najmniejszych wskazówek: że „Jezuici nie wahali się popelnić sfalszowania w ustawach synodalnych piotrkowskich r. 1589 na rzecz swojej sprawy.“¹⁾ Nie mogłem się nigdzie doczytać o tem, ale słusznie wnoszę, że jest to potwarz jak inne; Jezuici bowiem mając jasny jak słońce przywilej Stolicy Apostolskiej, w niczem, wyjąwszy udzielania aprobaty, od biskupów niezależni, nie potrzebowali się oglądać na żadne uchwały Piotrkowskie, gdyby nawet takowe na ich niekorzyść zapadły. Przywilej otwierania szkół wszędzie, nawet w miejscach, gdzie istnieją akademie, nadany od Stolicy Apostolskiej, władzy najbardziej kompetentnej do udzielania podobnych prerogatyw nie mógł być zniszczony lub osłabiony jakimibądź uchwałami synodów czy sejmów.

Pytano się wtenczas i potem, czemu Jezuici, mimo tak jasnego przywileju starają się o zgodę z akademią, i tłumaczono sobie złośliwie, że pragnęli układów i przyjaźni, aby tem łatwiej i niepostrzeżenie złowić w swą sieć panów akademików, i starą Jagiellonów uczelnię o upadek przyprawić.²⁾ Tymczasem każdy bezstronny przyznać musi, że Jezuici zaraz przy pierwszym wstępie do Krakowa r. 1583 trudno mieli stawać kozłem przeciw akademii, niechcącej im dozwolić wprowadzenia w życie jednego z najistotniejszych zakonu przywilejów. Zniżyli się więc do ustępstw największych, do jakich zniżyć się mogli.

Gdy znów w 40 lat potem tenże sam przywilej od akademii w spór został powołany, gdy z tej przyczyny poruszono grody, sejmiki i sejmy; Jezuici przekładając słomianą zgodę nad złoty niespokój, okazali się gotowymi do tychże samych ustępstw, a większych uczynić nie mogli. Zgoda i przyjaźń z akademią była im tem bardziej pożądaną, im więcej przykrości doznawali od akademickiej młodzieży — im goręcej pragnęli moralnym swoim wpływem (na samychże profesorów) umiarkować zbytnią licencyą akademicką, wprowadzić miłą i drogą młodzieży, jak to wszyscy widzimy, ale wielce szkodliwą.

Obawy o przyniesienie akademii jak są płonne i bezzasadne, dowodzą fakta. Obok kwitnącej Sorbony istniały kolegia Jezuitów;³⁾ co więcej na wielu wszechnicach, jak w Ingolsztadzie, jak dzisiaj jeszcze w Insbruku, uczyli Jezuici razem z akademikami,⁴⁾ teologiczny i filo-

¹⁾ Tom III. str. 246. Dziejow Polski.

²⁾ Tak Józef Łukaszewicz hist. szkół. t. 1. str. 134.

³⁾ W Komplucie, w Walencji, Kolonii, Bononii, Perusinum, Firmanum, Sennie, Wlacieracie, Ferrarze i Neopolu uczyli także Jezuici, a istniejące od dawna w tych miastach akademie żadnego nie poniosły uszczerbku.

⁴⁾ Tak było na akademiach w Salmantyce, rywalce Sorbony, dalej w Ingolsztadzie w Bawaryi, Wirtembergu, Moguncyi, Trewirze, Konimbrycy, Burdygału, Kardurze, Reines, Kadumie, Piktawie, Biturze, Awenionie, Dolonie i w Lowa-

zoficzny fakultet do nich należał, a nawet w kolejnym wyborze rektorów co trzeci lub czwarty rok „Jezuita“ dzierzył berło akademii. A przecież te akademie nie upadły, istnieją po dziś dzień świetniej i jaśniej jak krakowska, czemużby tylko w Krakowie Jezuici mieli być odmiennej natury.

Kiedy tak piórem i słowem szarpano sławę Jezuitów, sprawa z akademią toczyła się w Rzymie i w Warszawie na posiedzeniach roty rzymskiej i na walnym sejmie.

W drugiej połowie 1626 r. zapadły w trybunale papieżkim trzy decyzje, przysądzające sprawę Jezuitom. Akademia niezadowolniona z pierwszej decyzji roty (zapadłej 19 czerwca) prosiła o powtórne roztrząśnienie tej sprawy. Ale i druga decyzja (z 6. listopada) nie mogła ją zadowolnić. „Znowu jednozgodnie zadecydowano, słowa są roty, że nauczycielom *Societatis Jesu*, wolno jest publicznie uczyć oprócz humaniorów, także nauki wyzwolone, teologią i inne umiejętności, chociaż w temże mieście Krakowie znajduje się szkoła powszechna. Gdyż to jest im wyraźnie dozwolone z apostolskich konstytucyj, a szczególnie z słów przywileju św. Piusa V. pod dniem: Rzym 10. marca 1571, że „nauczyciele tej *Societatis* mogą tak humaniora jak nauki wyzwolone teologią albo jakąkolwiek z tych umiejętności w swoich kolegiach nawet w miejscach gdzie wszechnice istnieją publicznie uczyć wolno i swobodnie.“¹⁾

Jeszcze trzeci raz suplikowała akademia u Stolicy Apostolskiej aby nowy trybunał złożyć dozwoliła, że wyroki poprzednio otrzymane były przez Jezuitów „*in contumaciam*“ a prokurator akademii nie był dobrze w tej sprawie poinformowany. Otrzymałszy zezwolenie papieżkie wyprawila akademia ks. Uścińskiego kolegiata wielkiego, na któ-

nium. (Wyjęte z hist. zakonu Orlandina i Kordary.) Wprawdzie kilka akademij, jak w Dylindze, Pradze i Wiedniu dostały się potem prawie wyłącznie Jezuitom, ale to dla tego, że albo profesorowie zheretyczeli, albo wdawszy się w politykę, głowę ściągnęli pod topór, jak było w Pradze; albo też już takie było rozprzęganie obyczajów i zaniedbanie nauki, że *ab radice* reformować należało, jak uczynił Ferdynand z wiedeńską. To pewna, że na wielu akademiach takie zepsucie panowało, iż je nawet rozpustny Luter „*lupanaria*“ nazywał; z tej przewaźnie przyczyny monarchowie i panujący wprowadzali Jezuitów na akademie.

¹⁾ *Fuit iterum unanimiter resolutum, quod praeceptoribus Soc. Jesu liceat in eorum Collegio Cracoviensi, ultra humaniores literas legere etiam liberates artes, theologiam et alias facultates, licet in eadem civitate Cracoviensi adsit studium generale. Quia hoc est eis expresse indultum ex Apostolicis constitutionibus et praesertim S. mem. Piae Pii V. sub Dat. Romae 10 Martii 1571. ibi: quod praeceptores hujusmodi Societatis, tam literarum humaniorum, quam liberarum artium, theologiae v. cujusvis earum facultatum in suis collegiis, etiam in locis ubi Universitates extiterint, suas lectiones etiam publicas legere et libere et licite possint. Grat. pleb. wyćw. 318. — Cordara pars 6. t. 2. p. 39.*

rego żądania i prośby, dodano jej trzech przednich prokuratorów dla jak najdokładniejszego poinformowania sędziów roty. Niestety i tą razą wygrali Jezuiti.

Wtenczas odezwala się akademia z tem, że od niepamiętnych czasów posiada prawo i przywilej „*per consuetudinem*“ (przez zwyczaj) otrzymany, mocą którego nikt nie może szkół otwierać bez jej dozwolenia. Rota zażądała wykazania przywileju, a akademia wykazać się nim nie mogła, odwołując się tylko na „*consuetudinem*“ tj. zwyczaj. Zapadła więc czwarta i ostatnia decyzja (20 maja 1627) przysądzająca sprawę Jezuitom, bo owemu przywilejowi gdyby nawet był pisany, a nietylko na zwyczaju uzasadniony, dereguluje i znosi go najwyraźniej breve Piusa V, które zatwierdza wspomniony przywilej jezuicki uczenia wszędzie nawet w miejscach gdzie są wszechnice: *non obstantibus praemissis etc. et aliis apostolicis constitutionibus . . . ac quibusvis etiam juramento, confirmatione Apostolica, vel quavis firmitate alia roboratis statutis et consuetudinibus,*“¹⁾ tj. mimo jakiegokolwiek innych Stolicy Apostolskiej przywilejów, lub jakimkolwiek bądź sposobem wprowadzonych i uświęconych zwyczajów.

Po tych dopiero decyzjach, które niczem innym nie są jak zapowiedzeniem po czyjej stronie prawo, zapadł dnia 27. maja 1527 r. ostateczny wyrok Stolicy Apostolskiej. Powiadamy, ogłaszamy, wyroknjemy, postanawiamy i oznajmiamy, że rektorowi i kapłanom, i nauczycielom albo profesorom wspomnianego Towarzystwa Jezusowego wolno było i wolno jest w ich kolegium krakowskiem, oprócz humaniorów publicznie i swobodnie wykładać także nauki wyzwolone, teologię i inną umiętności, dla wszystkich do wspomnianego kolegium uczęszczających według, treści, przywilejów apostolskich temuż Towarzystwu udzielonych; a wszechnicy tegoż miasta nie było wolno i nie jest wolno rzeszkadzać, albo w jakikolwiek sposób naprzykrzać się rektorowi, kapłanom i profesorom w wolnem i publicznem nauczaniu, itd.²⁾

Nie lepiej powodziło się akademii na sejmie Warszawskim. Wspomniałem już, że na sejmiku proszowskim 1626 r. wysłani od akademii wzywali szlachtę, aby się ujęła wrzekomej krzywdy starodawnej Jaglelly szkoły, że biskup kanclerz akademii protęstował uroczyście przeciw podobnym agitacyom, dowodząc, że sprawa ta już odesłana do Rzymu w żaden sposób ani na sejmiku ani na sejmie rozbiekana być

¹⁾ *Instit. Soc. Jesu t. 1 pag. 41.*

²⁾ *Dicimus pronunciamus, sententiamus, Rectori ac Patribus et Praeceptoribus seu Professoribus praedictae Societatis Jesu, licuisse et licere in eorum Collegio Cracoviensi, ultra humniores literas, publice ac libere legere etiam liberates, artes, theologiam et alias facultates, quibusvis ad dictum Collegium accedentibus, juxta formam privilegiorum Apostolicorum eidem Societatis concessorum. Ac Universitati ejusdem civitatis non licuisse neque licere impedire nec ullatenus molestare eosdem Rectorem, Patres et Praeceptores in tali facultate libere ac publice legendi etc.*

Tamże, str. 384.

nie może, i że w całej Polsce nie ma kompetentnego trybunału na jej rozszdzenie. Tymczasem burdy i niespokoje wszczynane i powtarzane przez akademicką mlodziez, które do tego stopnia już wygórowały, że ulicą Grodzką nikt spokojnie przejść nie mógł; ¹⁾ odmieniły umysł wielu, i miasto stawania w obronie akademii posypały się na sejmie warszawskim 1626 r. gorące prośby, aby J. K. Mość raz polozył koniec niesnaskom akademii z Ojcami *Societatis*, które tumultem i zamieszaniem napelnić mogą całą rzpltą. Król Zygmunt decydować w tej mierze nie mógł, raz że ta sprawa wychodziła po za obręb królewskiej władzy, powtóre że już do Rzymu odniesioną została, ale mógł pośredniczyć zgodę przed rozstrzygnięciem tej sprawy w Rzymie. W tym celu złożył sąd polubowny z czterech biskupów ²⁾, którzyby obie strony zawezwawszy, przywiedli umysły do zgody. Poparł usilowania królewskie, legat Lancilloti osobnym grzecznym listem wzywając akademików do zgody. — Dnia 16. Listopada t. r. zasiedli owi komisarze (dwaj tylko krak. i kij. bo tamtym napad tatarski przeszkodził zjechać do Krakowa) na polubowny sąd, ale delegaci akademii zgodnie odpowiedzieli, że w żadne układy wchodzić nie chcą, lecz wyroku Stolicy Apost. wyczekiwać i doń się będą stósować.

Tymczasem oskarżono Jezuitów u Stolicy św. jakoby oni sprawę tę na sejm wprowadzili, uwlaczając widocznie władzy Apost. Stolicy. — Urban VIII. zażądał od nuncyusza Lancilloti osobnej *ad hoc* odpowiedzi, tak się tem czuł obrażonym. Odpowiedział Nuncyusz jak było prawdą, że dwaj od akademików mieli rzecz do izby poselskiej, instygując na Jezuitów, ci zaś żadnych na sejmie kroków nie przedsięwzięli. Nie dość na tem, na sejmiku w Opatowcu ajencji akademii pracowali na nowo nad poruszeniem tej sprawy na sejmie walnym 1627 roku zebrać się mającym. O czem uwiadomiony od niektórych senatorów Nuncyusz, natenczas już Antoni Sanctacrucius osobnym listem przestrzegł rektora i akademików, iż on wprawdzie tym pogłoskom wiary dać nie chce, ale wielką wyrządziliby ujmę i obrazę Stolicy Ap., „gdyby sprawę tę, do rozstrzygnięcia świętej rocie poleconą, gdzieindziej rozbierać dozwolili“ ³⁾. Mimo to, podniesiono sprawę tę, acz bezskutecznie, na sejmie walnym.

¹⁾ *Cordara* p. 6. tom 2. pag. 373.

Nawet protestancki Łukaszewicz gorszy się tem postępowaniem akademii. „Tocząc sprawę swoją w sądach krajowych i rzymskich, zużyła się akademia do pism obelżywych przeciw Jezuitom i wylicza ich siedm (hist. szkół I. str. 140.) I niecej na str. 142. „Akademia nie mogae nie wskórać ani w sądach krajowych ani w Rzymie przeciw potężnemu zakonowi... chciała gwałtem i samo wolnie przymusić Jezuitów do zamknięcia szkół u św. Piotra.

²⁾ Byli nimi Marcin Szyszkowski, b. Krak., Achacy Grochowski b. Przem. Bogust. Radoszewski b. Kijow. Mac. Łubiński b. Chełmski. Dotyczący (reskrypt królewski umieszczony jest w Grat. pleb. wyów. str. 329, stoi tam wyraźnie: *Nos tam pro ratione muneris nostri regii, quam ad instantias et petitionem Ordinum in his Comitibus. 1616. congregatorum.*

³⁾ List Nuncyusza umieszczony w Grat. pleb. wyów. str. 392.

Jezuici mogli już teraz bezpiecznie otworzyć swoje szkoły z filozofią i teologią, nie dając im jednak nazwiska akademii. Niedługo przecież cieszyli się swą wygraną. Akademicy czekali tylko bezkrolewia, gdzie to, czyniąc wzajemne koncesye, najsporniejsze sprawy załatwiano, a potem gotowe królom do zatwierdzenia w pakta wkładano. Skoro Zygmunt III. oczy zawarł, łatwo było akademikom przeprowadzić w izbie poselskiej na konwokacyi uchwałę zniesienia szkoły Jezuickiej w Krakowie. Władysław IV. jak inne uchwały konwokacyjnego sejmku tak i tę zatwierdzić musiał¹⁾ i czytamy konstytucyę koronacyjnego sejmku pod tytułem: „akademia krakowska.“ Ponieważ Jus Patronatus akademii krak. wszyskziej mere rzpljtj. należy, a pewne dekreta *Rotae*

¹⁾ Uważam za rzecz potrzebną odpowiedzieć na zarzut, który w umyśle czytającego te karty mógł powstać. Dlaczego Stolica Apostolska pozwoliwszy raz, i tak stanowczo oświadczywszy się za Jezuitami, ferowany w 1627 roku dekret w lat 8 skazowała? Niech mi tu wolno będzie wypowiedzieć, że tak powiem, politykę Stolicy św. — Otwieranie szkół i akademii, jest równie jak nominacya kardynałów jedną z tych rzeczy, które należą do stosunków między państwowymi, gdzie Stolica Apostolska nie działa, jak tylko w porozumieniu z władzą świecką. W szkołach i akademiach rozróżnić należy stronę duchową, wykształcenie w naukach pod wpływem religii i moralności, stronę materyjalną czyli fundusze i odpowiednie tych szkół utrzymanie, nareszcie stronę polityczną, czyli jakiej doniosłości jest ta szkoła wobec państwa. Dla pierwszego względu szkoły należały w pojęciu XVII. a nawet XVIII. jeszcze wieku wyłącznie do atrybucyi Stolicy Apostolskiej, dla tego żaden monarcha katolicki nie mógł bez dozwolenia papieżkiego szkół żadnych zakładać: ale znowu dla drugiego względu, jakoteż i dla tej przyczyny, że szkoły i akademie są instytucyami obywatelskimi t. j. kształcą na obywateli wolnych jak w rzpljtach, lub poddanych jak w monarchiach: Stolica Apostolska nie urządza w obcych państwach żadnych szkół bez dolożenia się i wyraźnej woli istniejącej władzy świeckiej. W sprawie Jezuitów z akademią ta władza świecka oświadczyła się z gorącym pragnieniem drugiej szkoły w Krakowie pod zarządem Jezuitów. Król Zygmunt wyraźnie po kilkakroć tego żądał, a naród na żadnym sejmie nie wypowiedział swego veto. Dla Zygmunta miała Stolica Apostolska inne jeszcze obowiązki. Był to jeden z królów najbardziej katolickich, sprawie chrześcijaństwa cały oddany, i jedyny między monarchami, który szczerze pracował nad skojarzeniem św. ligi przeciw potędze otomańskiej — jemu więc zadosyć uczynić pragnęła Stolica Apostolska we wszystkim, gdzie prawo i słusność nie stanęło na zawadzie. Tutaj przeszkody prawnej nie było żadnej; król pragnął, żeby Jezuici uczyli w Krakowie, naród nie uczynił żadnego wyraźnego protestu. Stolica Ap. była w najzupełnijszem posiadaniu władzy nietylko rozstrzygnięcia w sporach z Akademią, ale nawet derogowania i zniesienia przywilejów, jeźliby jakie były, Akademii, a nadania nowych, gdyby ich nie mieli, Jezuitom — i dla tego z taką stanowczością i wytrwałością wystąpiła za Jezuitami. Skoro Zygmunt umarł, a syn jego Władysław. czy to z własnego popędu. czy to jak chcą inni, naglony petycyą narodu na sejmie 1633, zażądał tych szkół zamknięcia; skoro więc władza świecka oświadczyła się przeciw szkołom Jezuickim w Krakowie, Stolica Apostolska skasowała dawny dekret, nie, jakoby był podstępnie uzyskany lub

Romanae w sprawie *inter aliam Academiam Crac. et Patres Societatis* o fundowaniu szkół zaszyły: Tedy my, jakośmy się *in Pactis conventis* obligowali, *procurando* uspokojenie tej akademii do Ojca św. włożymy się, aby *causa in integrum restituta*, do decyzji naszej i rzpl'tj tę sprawę odesłać raczył. Gdzie i Jus Patronatus reipl. i *Jura Academiae* wcale zachowywać obiecujemy, które im jako od ś. p. Jagiela króla i inszych Antecesorów naszych nadane są i między insze rzpl'tj. prawa *in volumen legum* inserowane, *tam in toto quam in parte* approbujemy. *Vol. leg. t. III. p. 798.* Jerzy Ossoliński z woli sejmu koronacyjnego 1633 r. do Rzymu w legacyi wyprawiony, otrzymał w instrukcyi wyjednanie dla akademii krak. zniesienia wyroku papieżkiego z dnia 27 maja 1627 roku. P. Szujski opowiadając, ten fakt dodaje: „król i szlachta mocno się sprzeciwiali.“ Zaprzeczyć się nie da, że akademicy łowili w mętnej wodzie. Bezkrólewie po Zygmuncie wrzało swarami dysydentów, którzy wrzekomy ucisk pod zmarłym królem sowiec teraz wynagrodzić sobie pragnęli. Posiedzenia konwokacyi odbywały się

nieśprawiedliwy, ale tą samą kościelną władzą, którą dozwoliła Jezuitom szkoły otworzyć, tą samą władzą kazała im takowe zamknąć — i Jezuiti ani jednej chwili nie opierali się.

Tak samo było z akademią Poznańską i Lwowską. Na akademię Poznańską mieli Jezuiti przywilej królewski i zatwierdzenie papieżkie i już rok jeden w niej uczyli — ale gdy na żądanie sejmu 1613 r. król Zygmunt cofnął swój przywilej i stolicy Apostolskiej odmienną swą wolę oświadczył: wnet odebrali Jezuiti rozkaz z Rzymu zamknięcia szkoły. We Lwowie podobnie od lat kilku uczyli Jezuiti w swej akademii na mocy przywileju króla Jana Kazimierza r. 1661 wydanego spodziewając się, że przy statecznej woli króla naród nie będzie protestował a Stolica Apostolska zatwierdzenia nie odmówi. Ale u chwiejnego Jana Kazimierza nie było tej stanowczej woli; pisał wprawdzie do Klemensa, prosząc o zatwierdzenie swojej erekcyi, ale widać starania te wnet ustały, skoro na sejmach dały się słyszeć głosy przeciwne, i Jezuiti na rozkaz swego Jenerała do uczenia szkół średnich we Lwowie powrócili. Co tu jest godnem uwagi, to ta zapobiegliwość Akademii Krakowskiej, aby naród nie został mędrszym, gdyż sami obrońcy Akademii, jak p. Sołtykiewicz, wyznają, że na prośby i starania Akademii sejmiki i sejmy, chociaż tylko w małej liczbie, protesty zanosily. Któżby n. p. dziś uwierzył, że na całą szeroką Ruś, akademie Zamojska miała być jedyną szkołą główną. Maciejowski rozwodzi się nad nędznym i prawdziwie opłakania godnym stanem tej Akademii „ruskiej“; gdzie nigdy nie liczono więcej jak 100 uczniów, profesorowie nie mieli mieszkań, a lokal nauczania drewniany stał otworem zawiei i deszczom. Nie chcę odpłacać zło za zło, ale doprawdy trudno mi odpędzić tę myśl, która ciśnie się i naprzykrza mi: „kto słuszniej pomówionym być może o obskurantyzm i tamowanie oświaty, Jezuiti, którzy szukali pracy i pragnęli wznieść współzawodnictwo, czy Akademia, która poruszała wszystkie sprężyny, aby tylko w Rzplitej nowa żadna szkoła nie powstała.

Dla uzupełnienia historii dodać muszę, że Jezuiti r. 1759 otworzyli nareszcie Akademię lwowską. Niedostateczność akad. zamojskiej była uderzającą, a troskliwy o dobro Rusi Wacław Sierakowski, natenczas biskup przemyski,

burzliwie; a katolicy czynili koncesje nad miarę wielkie Łatwo więc było akademikom, korzystając z zwrócenia uwagi wszystkich na układy z dysydentami, przeprowadzić uchwałę przeciw Jezuitom.

Gdyby Władysław i szlachta z własnej dobrej woli zniesienia szkół zażądali, nie mogliby się sprzeciwić instrukcyi Ossolińskiego. Bądźcobądź r. 1636 odebrali Jezuiti *breve* tegoż samego Urbana VIII. nakazujące im zamknięcie krakowskiej szkoły. Akademia ujrzała się teraz swobodną i wolną od niebezpiecznej rywalki. mogła więc rozwiniąć całe bogactwo rozumu i wiedzy i blaskiem oświaty rozwidnić ciemnotę sprowadzoną przez jezuićkie uczelnie. Uczyniłaż co z tego?

Krzyczano wtenczas, powtarzano po tysiąc razy potem i teraz, że Jezuiti fundowali swe szkoły gwałtem — też sprawa ich, mianowicie ów konsens, nie musiała być całkiem czystą, kiedy tyle wywołała sporów, sądów, wyroków, poruszyła sejmiki, sejmy, grody, wciągnęła w swe kolo biskupów, naród, króla i papieża. Odpowiadam, że od pierwszej chwili istnienia miał zakon jezuićki zawsze i wszędzie wielu

wyjednał Jezuitom przywilej u Augusta III. na akademię we Lwowie, zatwierdzający dawny przywilej Kazimierowski i porównywający ją we wszystkim z akad. krakowską. Klemens XIII. osobną bułą uznał erekcyą Augusta III. za ważną i dał Jezuitom moc udzielania stopni akademickich. To niezmiernie obruszyło akademię i Piarów, mianowicie ks. Konarskiego, który właśnie zamyślał konwikt szlachecki otworzyć we Lwowie. Obie te obrażone korporacje znalazły obrońcę w prałacie kapitulnym ks. Głowińskim, administratorze Archidiecezyi Lwowskiej. Krzątał on się u króla i prymasa Zubińskiego o zniesienie przywileju. Gdy to nie pomogło, namówił kapitułę lwowską, iż ta 10 Września 1759 wniosła protest do Grodu przeciw otwarciu akad. Jezuićkiej. Równocześnie akademicy burzyli szlachtę województwa krakowskiego, wołyńskiego, ruskiego, księstwa zatorskiego i oświęcimskiego do protestu. Nic to nie pomogło; dnia 11 listopada Jezuiti otworzyli akademię lwowską uroczystością kościelną. Przyszło tam do głośnego skandału, który w swych pamiętnikach (str. 40, 41) opisał naoczny świadek Franciszek Karpiński — mianowany świeżo doktorem filozofii i bakałarzem teologii. Ks. Jan Kanty Jankiewicz rektor szkoły lwowskiej, na prawiony [od akademii krak. i zamojskiej, zawołał czasu procesyi donośnie: „Protestuje się nieważność tego aktu“. Jezuiti kazali go wyprowadzić z kościoła. Ale Karpiński berłem swoim doktorskiem potężnie uderzył go w głowę, inni podobnie berłami przygluszyć chcieli owego protestanta. Jezuiti płaszczami akademickimi zasłonili go od dalszych rąk — i wyprowadzili za drzwi kościelne w spokoju. Poczem obrzęd uroczysty hymnem *Te Deum laudamus* zakończono Kołtąj zrobił z tego bajkę, że za namową Jezuitów ks. Jankiewicz przez ich studentów został ubitym — i jeszcze za to przez Sierakowskiego, arcybiskupa (nb. Sierakowski r. 1759 był jeszcze biskupem przemyskim) do więzienia wtrąconym.

(Obacz żywot Wacł. Sierakowskiego str. 89—93.) Jednak usilnym zabiegom Stanisława Konarskiego i akademii udało się uzyskać pod koniec roku 1763 wyrok zamknięcia akademii lwowskiej. Jezuiti natomiast otworzyli konwikt szlachecki na ulicy Ruskiej, naprzeciw cerkwi wołoskiej w domu (dziś pod nr. 201) przez rektora konwiktu O. Glowera za 24,000 złp. wybudowanym. (Tamże str. 119.)

nieprzyjaciół, a to nie dla intryg podstępu i przewrotności, jak głoszą powszechnie, ale jak każda prawdziwa wielkość. Czegokolwiek się zakon miał, katedry czy ambony, pracował niezmordowanie z całą znajomością środków, i z tą nieubłaganą wytrwalością, która przeprowadzić musi raz zamierzone dzieło. Wszystko tedy, co mierne, poziome; wszystko, co słabe i mniej skore do pracy — ludzie, którzy nie chcieli być ani sami dobrymi, ani patrzeć na moralne zwycięstwa Jezuitów — wszystkie te namiętności i ułomności spięknęły się i powstawały razem, ilekroć Jezuici jakiegokolwiek dzieło rozpoczynali, kolegium czy misją, szkołę czy kapłańskie obowiązki. I to tak jest prawdą, że Jezuici smucą się i źle tuszą sobie o przyszłości dzieła, które bez trudności i przeszkód wielkich udało się wykonać — cierpieć prześladowanie stało się ich drugą naturą. Podobnież było tutaj. Akademia mając za sobą dwuwiekową złotą przeszłość obudzała uszanowanie. Łatwo więc mogła znaleźć między szlachtą lub nawet panami obrońców. Coż zresztą łatwiejszego jak odzywając się w imię ojczyzny i Jagiellonów przewieść sejmik lub izbę rycerską na swą stronę? Nadto mogła akademia rachować na sympatyę wszystkich, którzy Jezuitów zgubić a przynajmniej upokorzyć pragnęli. Takimi byli przedewszystkiem heretycy, dalej ci, których niełaska króla dosięgła; pierwsi widzieli w Jezuitach niechybną swą zgubę, drudzy pomawiając ich o wpływy i dworskie intrygi, czego u króla zyskać nie mogli, na Jezuitów winę kładli. Ztądto takie mnóstwo paszkwilów, do których akademia przyznawać się nie chciała i nie mogła, ztąd to te paszkwile drukowały się w heretyckich drukarniach. Co do mnie dalekim jestem od przypisywania burd i rozrzucanych paszkwilów akademii Jagiellońskiej; inicjatywa mogła wyjść od jednego lub kilku mniej roztropnych akademickich mistrzów, ale cała akademia w tych brudnych robotach rąk nie maczała, a nierozsądek jednego lub kilku nie może rzucić plamy na całe akademickie grono. Dla tego też współczesne pisma Jezuitów w swej obronie wydawane, wyrażają się zawsze oględnie i z szacunkiem o akademii, chociaż robotom w imię akademii dokonany ostrą dają nagane.

W tych okolicznościach Jezuici nie występowali nigdy zaczepnie, ale zawsze odpornie. Mając Stolicy Apostolskiej przywilej a wolę króla za sobą — a przeciw sobie tylko samej akademii niechęć, pragnęli szczerze zgody, układali się w dobrej wierze a sfalszowania aktów nie może im zarzucić jak tylko ten, kto nie pojmuje zgoła ducha jakiegobądź katolickiego zakonu. Skoro układy się rozbiły, a sprawę tę akademia pierwsza do Stolicy Ap a potem na sejmiki i sejmy odniosła, Jezuici przyjęli rolę odporną z tą wytrwałą konsekwentnością, jaka ich wszystkie kroki cechuje. Świętą rolę rzymską złożoną z najpierwszych książąt kościoła, sumienną i sprawiedliwą, jak żaden trybunał na świecie. Jezuici ani swym wpływem ani intrygą podejść skryć i podbić dla siebie nie mogli, i jedynie czystość i słuszność ich sprawy spowodowała po czterokrotnej niezmiennej decyzji, wyrok dla nich pomysłny. Jest to zwyczajny, oklepany przez naszych literatów frazes, że gdziekolwiek Jezuitom przyznana słuszność, tam nie rozstrzygała

sprawiedliwość, ale obawa przed potężnym zakonem; a nawet Papież lękali się Jezuitów. Nie inaczej było z przywilejami — jakby król wszystkim innym, tylko nie Jezuitom mógł nadać takowe, lub nadane cofnąć dla okoliczności. Według pisarzy polskich Jezuiti zawsze działają intrygą, podstępem i gwałtem, a nawet przywileje „wyludniają“ lub sami sobie takowe zmyślają. Ale i w potwarczych zarzutach jest pewna granica, którą kto przekracza, traci wiarę. ¹⁾

¹⁾ Inaczej nieco opisuje rzecz tę p. Sołtykiewicz w dziele: „O stanie akademii krak.“. Za główne źródło służy mu kronikarz akademii Radyński. Otóż według tej kroniki akademii rzekła się swego prawa patronatu do kościoła św. Barbary dopiero wtenczas, kiedy król i nuncyusz imieniem Jezuitów przyrzekli, że tu w Krakowie nigdy szkół zakładać nie mieli na uszczerbek przywilejów akademickich (str. 571 w kronice pod r. 1582.) Opowiada dalej p. Sołtykiewicz daremne usiłowania Jezuitów względem akad. w Poznaniu, chociaż wyrobili sobie na nią przez opaczne wystawienie rzeczy przywilej u Zygmunta III. (str. 572.) Gdy projekt ten upadł, uchliło wszystko przez lat 8, „prócz wojny piśmiennej i szkalowań“ (574.)... W tym także kilku lat przedciągu t. j. 1613—1623 usiłowali Jezuiti wciągnąć Akademią w jakowąś Unią, czyli połączenie razem nauk, kolegów i wspólność rządu nad stanem nauczycielskim, do czego, jak się pokazuje z dziejów akademickich, pomagał biskup krak. Marek Szyszkowski, uczeń niegdyś Jezuicki, używając powagi kardynała Jana Lancellota legata papieżkiego, jako świadczy Radyński pod r. 1623. — Lecz tę unią, jako krzywdzącą widocznie prawa i prerogatywy wszystkich szkół powszechnych, akademii krak. przez publiczną protestacją odrzuciła... Od tego czasu przez wiele lat ciągnął się proces w Rzymie z Jezuitami używającymi wszelkich sposobów utrzymania szkół publicznych, gwałtem otwartych w Krakowie, aż nakoniec Rzplta. za Władysława IV. przez konstytucją 1633 postarała się odwołać tę sprawę do sejmu, i po otrzymaniu skasowania dekretów trybunałów rzymskich, szkoły OO. Jezuitów r. 1635 w Krakowie zamknęła (str. 575.) W tem zbyt publicznem opowiedzeniu rzeczy popełnił p. Sołtykiewicz kilka grubych pomyłek. Jezuiti nie traktowali o unią nauk kolegów i wspólność rządu, oni chcieli mieć osobne szkoły z osobną jurysdykcją szkolną, pozwalając tylko na wpisanie się swoich uczniów do album akademii i podleganie władzy rektora akad. w sprawach po za szkołą; sami zaś ani chcieli mieszać się do rządu akademii, ani uznać nad sobą władzę rektora. — Unią, jakiej Jezuiti pragnęli, nie była „widocznie krzywdzącą“ dla akademii, gdyż jak wyżej wspomniałem, istniały mnogie na zachodzie akademie, gdzie Jezuiti wspólnie z akademikami miewali wykłady i kolejno berło akademickie dzierżyli. Z tych tylko trzy akademie zostały Jezuitom oddane całkiem: Wiedeńska dla zupełnego rozstroju i zdemoralizowania, w Delindze dla herezy mistrzów, w Pradze dla politycznych buntów. Na te pokazywała palcem akad. mówiąc: „co się tamtym wydarzyło nam się wydarzyć może“, chociaż warunki i okoliczności były zupełnie różne. — P. Sołtykiewicz przemilczał „rozumnie“ całą procedurę prawną, odwoływanie się akad. na sejmiiki i sejmy, burdy uliczne i paszkwile, i cały ten wiele lat ciągnący się proces zbyt ogólnikiem: Jezuiti używali wszelkich sposobów — na utrzymanie

Po tem krótkim a wiernem opowiedzeniu zatargów między akad. i Jezuitami każdy poznać może, na jak wątej podstawie opiera się ono utarte zdanie, że erę upadku literatury od 1622 r. liczyć należy. Otwarcie szkół Jezuickich w Krakowie, w lat potem 10 na zawsze zamkniętych, ma być wypadkiem, który zdolen stanowić epokę. Jezuici mieli tą krótką wygraną wzięść górę nad wychowaniem publicznem w Polsce. Akademia miała otrzymać ostatni cios śmiertelny — a literatura, oświata, postęp, cywilizacya dostały się w ręce obskurantów i nieuków. — Rzecz naturalna, że w tym kierunku badając dalej dzieje literatury XVIII. wieku, Jezuici na zatraciecieli piśmiennictwa i prawdziwej wiedzy wyjść musieli. Szukając wszędzie i we wszystkim *a priori* zgubnych wpływów, planów i celów zakonu, cóż dziwnego, że policzono na karb jego, wszystko złe, które się w Polsce stało, a więc i upadek literatury.

Niesumienność poszukiwań literackich jest tutaj prawdziwie oburzającą. Literaci nie mogli bardziej ubliżyć sobie jak występując tak bezmyślnie, tak namiętnie a zarazem tak cyniczne z potwarzami na Jezuitów. Wypowiedziawszy sami nie raz jeden, że literatura nie należy nigdy odłączać od dziejów politycznych narodu — że ona jest dopełnieniem tamtych, a znów te wywierają potężne oddziaływanie na ruch umysłowy; przyznawszy, że nieszczęścia polityczne kołu błędnych instytucyi przeważnie przypisać należy — co więcej uznawszy prawdziwe a wielkie zasługi Jezuitów w politycznym względzie ¹⁾, śmiało dzieje literatury tej epoki tak przedstawiać, że Jezuici wychodzą na głównych i wyłącznych sprawców upadku literatury, a tem samem upadku politycznego.

Wiernym reprezentantem szkoły tej literackiej, która zlaje się za jedno z głównych swych zadań położyła sobie: usposobić opinią publiczną jak najnieprzyjaźniej przeciw Jezuitom, jest P. Szujski. Boleję mocno, że historyk polski poważną swą pracę splamił owemi rozdziałami, które znaczenie Jezuitów i dzieje piśmiennictwa wyjaśnić miały. Czytając te namiętne wycieczki, trudno wierzyć, że wyszły z pod pióra poważnego pisarza, ale przypuściłby raczej wypadło, że pisemko jakiegoś paszkwilanta wszyto w „Dzieje Polski“, aby śnać łatwiejszą i pędzą znalazło wiarę. (D. n.)

szkół otworzonych gwałtem. Jakże to były sposoby, co za gwałt, nie raczył wspomnieć. — Oto próbka, jak się pisze o Jezuitach.

¹⁾ „Nie chcemy przeczyć, że zakon Jezuicki położył zasługi w wytepieniu herezyi, kraj politycznie zawichrzającej, chorobliwej i bez rezultatów postępu; w zaprowadzeniu tyle ważnej unii kościoła ruskiego.“ Szujski t. III. 247.

P. HIERONIMA KAYSIEWICZA
 LISTY
 Z DRUGIEJ PODRÓŻY AMERYKAŃSKIEJ
 DO BRACI I PRZYJACIÓŁ.

L i s t III.

St. Maria College, Kentucky, 15 września 1871.

Kiedym pisał list poprzedni, zamierzałem sobie dotrzeć aż do Texas; telegrafowałem do naszych Misyjonarzy, że ruszę ztąd pierwszych dni września po otwarciu collegium i zwolnieniu nieco upałów. Tymczasem ks. Barzyński przed otrzymaniem telegramu puścił się w drogę pod koniec lipca i przybył tu wielce utrudzony po dziesięciodniowej podróży. Wyraźnie Bóg tak rozporządził rzeczy, gdyż nie wiem czybym trud taki wytrzymał. Przez pięć miesięcy kropla deszczu nie spadła w Texas i wszelki zasiew spalony na polach, źródła powysychały, bydło powyzdychało w wielu miejscach z braku wody i paszy, zarażając powietrze zgnilimi wyziewami. Po wsiach trzebaby było poprzestać na kawałku starej słońiny: nie sądzę, bym to wszystko był przetrzymał. Ksiądz Barzyński zatem trudem swoim zachował mi życie, ale niestety przyspieszył rozwinięcie choroby piersiowej, którą brał, jak to zwykle suchotnikom, za katar zadawniony. Na początku tego lata towarzysząc księdzu biskupowi, zwiedzającemu polskie parafie, objechał pięćset mil na wozach wolarskich a 100 mil na koniu; i ta przejażdżka pod skwarem zwrotnikowym (prawie), wśród tumanów piasku (bardzo często), pewnie mu nie pomogła. Rozmówiwszy się z nim o stanie i potrzebach misyi, gdy ks. Bakanowski przywołany z Chicago przybył, zacząłem z obydwoma tygodniowe rekolekcyje. Obaj korzystali z nich sumiennie, a ksiądz Barzyński z tem uroczystem uczuciem, że to prawdopodobnie ostatnie; i wdzięczny był Bogu, że je mógł odbyć pod przewodnictwem swego przełożonego. A że, nie uważając już na panującą w Gólfie meksykańskim żółtą febrę i jakąś zarazę, nie czuł się na razie na siłach do odbycia zwrotnej podróży, przyjął zaprosiny ks. Bakanowskiego i udał się na leki i wypoczynek do „zimnego (względnie do Kentucky) ale gościnnego Chicago,“ jak się w swoim liście wyraził. Dzięki Bogu i trafnemu leczeniu pana doktora Piszczaka w Chicago, znacznie ma się lepiej.

Przechodzę teraz do opisanja moich wycieczek w okolicach, o których wspomniałem pod koniec ostatniego mego listu. Naprzód zwiedziłem opactwo Trapistów w Getsemani o kilkanaście mil angielskich ztąd położone. Jest-to kolonia opactwa francuzkiego z Meilleray w Bretanii, równie jak dwa inne w Nowej Szkocyi i w Wisconsin jeżeli mię pamięć nie myli. Zakonnicy w liczbie 60 są albo Francuzi albo Irlandczycy, ani jeden rodowity Amerykanin nie wstąpił do Trapy. Powiadają oni, gdyby dawano mięso i można mieć czasem konia do odwiedzenia krewnych i przyjaciół, to możeby się i namyślili. W Ameryce atmosfera ogólna protestancka, która i katolików obwiea, mało tu kto rozumie i ceni umartwienie. Nie dziwo zresztą: pomoc kapłańską w dozach tylko homeopatycznych dostają. Dwie parafie pobliskie przez całe lato obsługiwał ks. Głowalski, a trzecia sąsiednia opuszczona. A wiele jest dusz pięknych, dobrej woli do przyjęcia uprawy staranniejszej.

Jakkolwiek Trapiści cudów dokazali pracą swoją na krzemienistym i piaszczystym gruncie, mało to jest jednak ocenione niestety! znaczna część duchowieństwa jest im przeciwną. Utrzymują ci mnisi i szkołę dla okolicznej młodzieży; ale i to nie rozbraja wszystkich; cenią tu nadewszystko pracę czynną misyonarską. I dla tego nas duchowieństwo chętnie wita i ze względu na kollegium i w nadziei, że mogą u nas znaleźć pomoc. W rzeczy samej, pod czas rekolekcyj duchowieństwa (dyecezalnego), ks. Fennesy pracował przy katedrze w Luisville, jam zastąpił proboszcza naszego w niedzielę, a ks. Wołowski dał rekolekcyę zakonnicom obok Getsemani i przygotował rój dziewcząt do pierwszej komunii.

I klimat tutejszy uciążliwy dla Trapistów, chodzą jak cienie. Śpiew w chórze nie tak jak we Francyi, pełny i grzmiący, mianowicie wieczorne sławne *Salve Regina*, jeden tylko głos silny słyszałem, ale i ten już w połowie zużyty. Do tego mróz wiosenny zwarzył kwiaty drzew owocowych tak, że nawet jabłeczniku tego roku mieć nie będą. Na dobitkę, rychło po moim wyjeździe, pożar strawił im młyn kosztujący 14.000 dolarów, niezaasekurowany, a z nim jedyne może źródło dochodu. Krzątają się teraz za kwestą, by tę klęskę powetować. Sąsiednia ludność jest im jednak przychylna. Musiała ona przychodzić z hojną pomocą, gdyż ci Ojcowie wybudowali wielki klasztor na 200 zakonników z pięknym kościołkiem dla wiernego ludu, z własną fabryką gazu i t. d. co wszystko pewnie grubo kosztowało. Być może, że to właśnie za zdrowie obudza. Dla mnie widok Trapy zawsze budujący i miłe

obudzający wspomnienia. Odjechałem wdzięczny O. Opatowi za gościnność, z ochotą wrócenia po raz drugi, jeżeli mi czas pozwoli.

Drugi wielce zajmujący zakład religijny w dyecezyi, jest wspomniany już przezemnie klasztor żeński w Nazareth (o 30 mil od nas) z pensjonatem na 300—400 uczennic. Pociuszającą rzeczą jest, że choć to w Stanach Zjednoczonych, gdzie wszystko jak na drożdżach rośnie, zakład ten zaczął się na najskromniejsze rozmiary i rozwijał się powoli.

Roku 1812 kilka pobożnych niewiast zaczęło życie wspólne w domku z krągłaków zbudowanym (blockhouse), podług reguły Sióstr św. Wincentego à Paulo i uczyło panienki właścicieli okolicznych. Nie wiem już jaką drogą opatrzną się stało, że kilka panienek zamożniejszych przybyło z Louisiany, które przywiozły ze sobą od razu 500 dolarów gotówki. Nigdy pocziwie Siostry nie widziały tyle gotówki razem, uradziły zatem, że trzeba ten skarb odłożyć na zbudowanie kaplicy (trwa po dziś dzień ta kapliczka murowana, ale na inne cele użyta, bo stanęła nowa na większe rozmiary). Panienki z Louisiany zbudowane takim postępkim Sióstr, opisały go rodzicom swoim, i coraz więcej zaczęło przybywać pensjonarek z południa.

Południe biedniejsze w zakłady naukowe, podtrzymuje wiele zakładów męzkich i żeńskich w środkowych Stanach i rodzice radzi też wychowywać dzieci w mniej gorącym, względnie, klimacie. Z przybywaniem uczennic rozciągały się mury pensjonatu po prawicy i po lewicy i doszły dzisiejszych poważnych rozmiarów. W roku zeszłym Siostry wybudowały osobny gmach do rozdawania nagród (exhibition hall), który kosztował 30.000 dolarów. Dolne piętro stanowi jedną ogromną salę rekreacyjną, w czasie zimna lub słoty, a górna sala, opatrzona teatrzykiem w głębi, podnosząca się ku drzwiom, tak jest dobrze akustycznie urządzone, że obecni wszystko widzą i słyszą co się w głębi dzieje. Dormitarze i wszystkie porządki gospodarskie jak najlepiej utrzymane. Dzięki Bogu, zem zwiedzał klasztor podczas wakacji, gdy nie wielka liczba tylko pozostałych panienek brząkało na kilku fortepianach: w czasie roku szkolnego kilkadziesiąt instrumentów w kilkudziesięciu osobnych pokojach jest w ciągłej robocie. Co to być musi za kakofonia! Liczba Sióstr wszystkich po różnych zakładach i parafiach dochodzi już liczby 300. W domu głównym, licząc nowicyuszki, jest ich 100. Z tych tylko 10 jest mistrzyń i 10 dozoreczyń w takim olbrzymim zakładzie. Nauki nie muszą stać wysoko, dozór panien łatwiejszy niż chłopców,

ale w porównaniu do Europy jakież to mały personal uczący! Siostry tutejsze noszą kornet, choć już zmniejszony i spłaszczony, rodzaj czepca używanego przez stare niewiasty. Ten czepiec zachował Siostry w czasie wojny domowej od nieprzyjemności a może i ciężkiej zniewagi. Nowicyuszki klasztorne siedziały w sali grzbieciem obrócone do okna i zajęte szyciem. Jeden z żołnierzy włóczących się po dziedzińcu, zajrzał przez okno i powiedział do drugich: „Niema tu co robić, to same staruszki, wynośmy się.“ Pomimo że Nazareth zostało pensjonatem modnym, Siostry zachowały wiele prostoty. Przełożona, czwarta już z rzędu, przybyła wraz z asystentkami najprzód z powitaniem, a potem pożegnaniem i za każdym razem prosiła na kolanach o kapłańskie błogosławieństwo. Wizerunki jej poprzedniczek mają wyraz rozumu, prostoty i energii. Siostry te pokazują się wielce przychylnymi naszemu kolegium, a mogą nam wielu uczniów z pobożniejszych rodzin przyczynić przez korespondencye z rodzinami panienek

Muszę wspomnieć jeszcze o jednej wydatnej osobistości w tym zakładzie, tj. o jego dyrektorze, ks. Chambisy. Sędziwy ten kapłan rodem z Auvergne we Francyi, od lat 40 już pracuje w tej dyecezyi. Pierwszego roku objęcia kolegium przez OO. Jezuitów, ks. Chambisy, umiejący już po angielsku, był profesorem w kolegium (St. Mary's); jest-to jeden punkt zetknięcia więcej z tym poważnym, gościnnym i otwartym kapłanem.

Nazareth leży o parę mil angielskich od Bartstown, pierwszej siedziby biskupów w Kentucky. Było to naówczas dość przyzwoite miasteczko, kiedy Louisville składało się z kilku farm blisko siebie leżących. Bartstown skarłało, Louisville zolbrzymiało od tego czasu.

Ks. biskup obecny przeniósł do gmachów pojezuickiego kolegium swoje małe seminaryum, ale że było puste podczas wakacyi, nie widzieliśmy go nawet. W tymże gmachu odbyły się ćwiczenia duchowne dla księży po siedmioletniej przerwie.

Wracając do domu, mieliśmy podróż nieco dramatyczną. Chcieliśmy zajechać na objad do Dominikanów, mających tu swój alumnat, a potem odwiedzić Dominikanki, trzymające także mały pensjonat. Tymczasem po dwumiesięcznej suszy lunął deszcz ulewny i suche łożyska małych rzeczulek (creeks) w kraju tym górzystym nagle się wypełniły. Koń nasz, powolny zresztą, spotykając niespodzianą głębinię i widząc pływające drzewa, nie chciał iść naprzód, a cofając się, nie miał siły wypchnięcia koczka na brzeg.

Skoczyłem zatem w wodę, ulżywając ciężaru powozowi, a dodając całą siłę moją do wycofania się na ląd stały. Nie dość na tem, żeśmy zostali bez objadu; zdążając ku domowi, spotkaliśmy głęboki rów w świeżo nasypanej żwirówce, pędem wezbranego strumienia wyślóbiony; trzeba było znowu odprządz konia i przenieść koczyk na drugą stronę. O parę mil od domu, poczciwy sąsiad ostrzegł nas, że szosa przed nami zepsuta; ledwie że po ciemku, przez farmy sąsiednie dostaliśmy się do domu i o ósmej wieczorem zasiedliśmy do stołu.

Okrom tych wycieczek na zewnątrz, odbyłem małą wyprawę wewnątrz naszego terytorium, która mię zmusza do sprostowania małej niedokładności, popełnionej w zeszłym liście co do początków naszego kolegium. Wzmiankowany ks. Flaget był biskupem pierwszym tej diecezji i opiekunem szkoły, ale założycielem jej był kapłan irlandzki, William Byrne, którego grobowiec skromny odwiedziłem na smętarni kolegijskiej. Zaczął on w domu jakimkolwiek i był sam jedynym profesorem, posługując się starszymi i zdolniejszymi studentami do uczenia młodszych; jednym z takich pomocnikami, był dzisiejszy metropolita Kościoła katolickiego w Stanach, arcybiskup baltimorski, Spalding, należący do licznie rozgałęzionej tu rodziny; także mając zaszczyt znania osobiście tego wielce sławnego prałata, widząc jego przywiązanie do kolegium Panny Maryi, napisałem doń przed odjazdem, polecając nowo otwarty zakład jego modłom i błogosławieństwu. Ks. Byrne uczył się sam po grecku i powtarzał potem uczniom, czego się sam mniej więcej dokładnie nauczył. Co więcej, był on sam służącym swoich uczniów, zimną zrana sam im w piecach palił. Płacono go bydłem i zbożem: wypasał on bydło na darowanych obszarach, a potem sprzedawał je wraz z innymi płodami na większych targach. W końcu nabył opuszczoną gorzelnię i tę przerobił na użytek szkolny: tak powstało kolegium Panny Maryi. Pokój temu mężowi wielkiego poświęcenia! Nie wątpię, że się modli za nami. Grób jego, jak groby niektórych uczniów tu pochowanych, zarosły wybujałem zieliskiem; ale wkrótce smętarni będzie oczyszczony i w dzień zaduszny procesyonalnie odwiedzany.

Dowiedziałem się też od dawnych uczniów zakładu, że centrum gmachu zgorzało za czasów OO. Jezuitów i zostały tylko dwa skrzydła. Ostatnia administracja przygotowała materiały do odbudowania, i założyła podwaliny na gmach środkowy; ale dokonać

nie mogła: zobaczymy, czy nam Bóg pozwoli myśl tę z czasem wykonać.

Tymczasem dwa skrzydła pozostałe, dzięki wapnu i werniksowi, zaczęły przybierać nowy pozór; zwiedzający sąsiedzi nie mogli się nadziwić i nacieszyć z tej zmiany. Jako dowód spustoszenia, dosyć powiedzieć, że brakowało 200 szyb w oknach.

Zbliżał się 4 września, dzień otwarcia szkół, a wszystkiego mieliśmy dwanaście zgłoszeń się (*applications*). Z tych kilku tylko na czas przybyło i z dziesiątek niespodziewanych, bo tu się uczniowie złączą przez miesiąc cały, a nawet po Wielkiejnocy jeszcze przybywają. W obec tych kilkunastu uczniów i ich rodzin lub sąsiedztwa, odbyło się otwarcie roku szkolnego, poprzedzone mszą świętą i śpiewami wybornie wykonanymi przez kilku młodszych członków Zgromadzenia.

Następnie w sali głównej, O. Fennessy, jako Anglik rodowity i dyrektor nauk, miał piękną przemowę o ważności moralnego kształcenia młodzieży. Jeden z najsędziwszych kapłanów w diecezji, który w r. 1850 pracował był nad podźwignieniem kolegium, wyborne dał rady młodzieży i nam pomyślnie prorokował, wołając: „Na twarzach tych ojców czytam zapowiedź udania się przedsięwzięcia.“¹⁾ Ceremonię zakończyła kantata na cześć Maryi Panny. W dzień narodzenia M. B. (tu niema święta) zaczęły się klasy dla 30 uczniów. W kilka dni potem, w święto imienia Maryi Panny, (właściwe święto kolegium) było już 46 uczniów w kaplicy na mszy śpiewanej. O. Fennessy trafnie i pięknie podniósł w swej nauce tę koincydencję, niewywołaną sztucznie ale naturalną, początku roku szkolnego z temi dwoma świętami M. Boskiej, w zakładzie, który nosi Jej imię. Jako jeden dowód jeszcze opieki Matki Najświętszej nad tym zakładem, uważamy ten fakt, że ze dwóch profesorów świeckich dobranych do pomocy, jeden był naczelnikiem, drugi sekretarzem bractwa Maryi Panny, założonego dla uczniów w dawnym kolegium, o czem się później dowiedzieliśmy, szukaliśmy tylko ludzi zdolnych a szczerze pobożnych; obaj są Irlandczykami.

Obecnie, gdy piszę, jest już 60 uczniów. Wszyscy nam winszą, bo rok ciężki, brak pieniędzy wielki, i zakłady dawne, sławne jak sam Nazareth, mniejszy mają komplet uczennic niż lat

¹⁾ Przed przybyciem ks. Głowalskiego na zwiady, śuiło mu się, że jadą księża, którzy kolegium podniosą.

zeszłych. Wyraźna ręka Boża i opieka Maryi Panny, bo z nieznamo-
mości kraju nie jeden się błąd popełnił.

Uczniowie nasi, z wyjątkiem nie wielu, są to podrostki, a że mieszkańcy tutejsi są powszechnie wysokiego wzrostu, wyglądają raczej na uczniów uniwersytetu, i jako z takimi, trzeba się z nimi obchodzić. W domach rodzicielskich nawykli do zupełnej wolności, to też okrom środków przekonania, napomnienia i małych kar, niema innego nad oddalenie. Wszakże w ogólności, jakkolwiek w porównaniu do młodzieży europejskiej wielce nieokrzesani, są jednak dosyć powolni, i uszanowanie dla sukni kapłańskiej jest niepoślednie. O ile wiemy, w listach swoich do rodziców wyrażają zadowolenie swoje ze stołu i z nauczycieli, skarżą się jedynie na to, że dużo uczyć się trzeba — o co się pewnie rodzice nie gniewają.

Przyszłość w ręku Boga i zależy wiele od naszej cierpliwości i taktu.

Misyja tu moja właściwie skończona: radbym się tylko docze-
kać listów z Europy. Zanim nadejdą, opiszę jeszcze pokrótce Kentucky i sławną na świat całą jaskinię mamutów, *Mammoth Cave*, uciekając się o pomoc do mego przewodnika.

Kentucky stanowiło część obszarów Wirginii przed założeniem rzeczypospolitej amerykańskiej. Cały kraj po lewej stronie rzeki Ohio aż do Mississipi należał do niej nominalnie, ale mało mieszkańców pochodzenia europejskiego było się tam osiedliło.

Dzieje przechowały imię Daniela Boone, jako pierwszego czło-
wieka, który się przedarł w r. 1769 do tej części Wirginii, zamieszkałej przez Indian i dzikie zwierzęta jedynie. Wróciwszy ze swej awanturycznej wyprawy, puścił się tam napowrót w r. 1773 z oddziałem ochotników, z którego powstała milionowa ludność, zamieszkująca dzisiaj Kentucky.

W r. 1790 Stan Wirginii odstąpił rządowi federalnemu tę krainę, rządzoną zrazu jako terytorium, która jednak już w roku 1792 dotyla była zaludnioną, że ją kongres przypuścił do unii jako Stan niezależny.

Kentucky leży po lewej stronie rzeki Ohio, oddzielającej je od Stanów Ohio i Indiana na północ. Na zachód pasma Alleghanów i góry Cumberland z niego wyrastające, rozgraniczają Stan ten od Wirginii. Na południe graniczy on z Tennessee; na zachód Ohio i Mississipi. Grunt górzysty od południa-zachodu, od strony gór Cumberland, poprzęzynany jest głębokimi wązami, pagórkowaty w środku, roztacza się na wschód szerokimi stepami, które tu

ówdzie naturalne łąki przepłatają. Na północ i na północ-zachód pasma gór od 15—20 mil szerokie, odrywające się od Alleghanów pod kątem prostym, wznosi się nad lewym brzegiem Ohio; zaokrąglone jego grzbiety, głębokie doliny, lasy cieniste, tworzą cudne krajobrazy, upiększone jeszcze wspaniałem łożyskiem Ohio, które Francuzi nazwali *la belle rivière*. Cały ten grunt słynny ze swej żyzności, rodzi w obfitości kukurudzę, pszenicę, owies, konopie, tytoń i chmiel, główne produkta tego kraju. W stronach górzystych i w pobliżu łąk hodowla koni, wieprzów i bydła dochodzi szerokich rozmiarów. Konie kentuckie wielce są cenione w Stanach, wywóz bydła wszelkiego rodzaju, wieprzowiny i wołowiny solonej tworzy podstawę wielkiego handlu.

W chwili gdy to piszę, właściciele skarżą się na zahaczenie wszelkich transakcyj, przypisując to zemście kapitalistów republikańskich północy i zachodu, za wybory demokratyczne w tym Stanie.

Mnóstwo rzek, wpadających do Ohio, przepływa terytorium, ułatwiając stosunki handlowe. Tryskają one w stronie południowo-zachodniej, przerzynają się przez ziemie przejściowe, podtrzymując obfite pokłady węgla ziemnego i rudy żelaznej, użytkowane na szeroką stopę.

Rzeki te krążą następnie po formacji starego wapiennika, głęboko podziurawionego; zkaąd tryskają źródła słone, w części obrócone na zakłady balneologiczne. Część gliniasta tej formacji poprzerynana jest licznymi jaskiniami, a najslawniejsza z nich mamutowa, którą poniżej opiszemy. Stan ten ostatni z tej strony, posiadający dawniej niewolników i stykający się całą granicą północną, ze Stanami o ludności wyłącznie białej, często miewał zatargi z filantropicznymi spekulantami po obu stronach Ohio, a właścicielami upominającymi się o zbiegłych murzynów. Dziś ta kwestya jest rozwiązana a raczej rozcięta mieczem. Stan Kentucky nie przystąpił był do secesjonistów w czasie ostatniej wojny, ale trzy czwarte młodzieży kentuckiej walczyło w szeregach południowców, i sympatye ludności miejscowej białej, są dla południa, nie dla północy.

Bezstronny badacz, patrząc na obie strony Ohio, musi uznać wyższość pracy wolnych ludzi nad pracą niewolniczą. Rolnictwo w Kentucky jest zaniedbane. Drogi żelazne teraz dopiero zaczynają się upowszechniać w tych stronach w kierunku południowym. Wszakże mieszkańcy Kentucky pełni są energii i czynności, choć nie taję, że bardziej przedsiębiorczy ludzie wynoszą się ztąd, po-

zostawiwszy na miejscu miększe charaktery. Gościnni są, ale wskutek wspomnianych zatargów granicznych.

Gorąco się zajmują polityką generalną. Żywi w dyskusji, posuwają się nieraz do ostateczności. Wraz z sąsiadami swymi w Tennesy, gotowi zawsze pierwsi puszczać się do nowych krain za zachód Mississipi... Suche, żylastej, silnej budowy, celni strzelcy, koloniści odważni, prawdziwymi są potomkami tego Daniela Boone, który pierwszy ze szczytu Alleghanów wskazał głęboki wschód (*the great West*). Żywi i bardziej towarzyscy od sąsiadów swoich południowych i północnych, zdradzają krew przodków swoich w Wirginii. Dbają bardzo o staranne wychowanie swoich dzieci. Uniwersytet w Lexington jest jednym z najbardziej cenionych w Stanach.

Powiedzmy teraz nieco o sławnej jaskini mamutów. Odległa jest ona o 90 mil tak od Louisville jak od Nashville (Tennesy) a o 130 mil od Lexington i od Frankforth. Pomędzy Mundsforville i Threeforks znajduje się droga prowadząca do jej otworu. Kilka dni czasu musi poświęcić, kto ją chce dokładnie zwiedzić i wyczerpnąć wszystkie wspomnienia mitologiczne do niej przywiązane. Zbliżając się do wejścia, czuć ciągi zimnego powietrza; wchodzi się otworem wystarczającym za ledwo na dwie osoby.

Kilka schodów i kurytarz naturalny, wskazują przy blasku pochodni podziemie bez granic. Przechodzi się z kolei Rotundę, kościół, wydrążenie przypominające wnętrze świątyń gotyckich, zdolne pomieścić 5000 osób, a o trzy ćwierci mili od wejścia ulica gotycka, wiedzie dalej do izby upiorów, do kaplicy gotyckiej, do krzesła djabelskiego, i doprowadza o $2\frac{1}{2}$ mili od wejścia do kopuły Ammett. Schodzi się potem do kopuły Goram o 620 stóp niżej od poziomu i spotyka się studnię bezdenną, gdzie mało kto się zapuszcza. Potem odsłania się wydrążenie nowe, służące za łożysko Martwemu morzu, jezioru wewnętrznemu, stykającemu się ze Styx River, strumieniem krążącym sobie spokojnie we wnętrzościach ziemi, tak że nikt nie wie, zkąd przybywa i dokąd dąży. Łódź przewozi podróżnego na drugi brzeg. Ciąg przejść, kopułę i wydrążeń prowadzi o dwie mile poniżej do Winicy Marty, potem do jaru kul śnieżnych, pokrytego wyrostami gipsowemi. Przechodzi się góry Skaliste blisko Strasznej Dziury i przybywa się nareszcie do portu Serena, miejsca, na którym poprzestają zwykli podróżnicy. Jest się wtenczas mniej więcej o siedm mil od wejścia, ale daleko od kresu tych wydrążeń, rozciągających się w innych kierunkach.

Pomimo ciągłych zwiedzań, i to od tak dawnego czasu, granice tych podziemi nie są jeszcze znane. Niektórzy jednak zapuścili się o 20 mil w głąb. Sprawdzono 200 kilkadziesiąt kopuł, wiele jezior i rzek wewnętrznych, z dziesiątek katarakt, ze trzydzieści studni albo raczej jam, a w liczbie ich niektóre obwodu i głębokości nie do uwierzenia. Opisywać w szczegółach najdziwniejsze kształty tych pieczar podziemnych i świetnych stalaktyków wszędzie porozwieszanych nie naszą jest rzeczą. Dostyć nam było zwrócić uwagę polskiego czytelnika, aby jeżeli dostanie się kiedy do środka Stanów Zjednoczonych, mając czas potemu, nie omieszkał zwiedzić tego podziemia jedyne go w swoim rodzaju, w którym Bóg stworzył ryby bez oczu, do zaludnienia tych rzek bez światła. Mumie indyjskie znalezione w Izbie Upiorów, dowodzą, że miejscowość ta była znaną pierwotnym mieszkańcom tej ziemi. Za dni naszych zwiedzają je nie tylko ciekawi i uczeni, ale chorzy i kalecy, mianowicie też suchotnicy, na których atmosfera ta podziemna zdaje się wywierać wpływ zbawienny.

KALEJDOSKOP.

PRZEZ

BERLICZA SASA.

.....*λαμπάδια έχοντες δωδωκείων αλλήλων.*

I.

Pół wieku nazad. — Stan kraju. — Umysły i serca, — Rolnictwo i przemysł. — Zalety i przywary. — Zwyczaje społeczne. — Pani starościna horodelska. — Przybory do drogi. — Goście. — Portrety.

Cofnę się pamięcią o całe pół wieku. Postaram się odtworzyć obraz zamierzchły tego co było u nas na Ukrainie, w sensie społecznym, przemysłowym i moralnym. Będzie to malowidło rzetelne i sumienne, choć nie mistrzowskie. Nie znajdzie w niem czytelnik ani barw efektowych, ani świetnych draperyj; lecz znajdzie za to prawdę surową, niemiałą, wiem ja dobrze, tym co lubią przesadę we wszystkim, lecz pożądaną zapewne nie mnogim wybranym, o których zdanie dbać zwykłem, i dla których właściwie

piszę. Peryod zawarty między 1821 rokiem i 1825, najciekawszy może w dziejach Ukrainy, Wołynia i Podola pod panowaniem rosyjskiem, rozwijał się kolejno przed oczyma mojemu z całym szeregiem zdarzeń i przejęć duchowych, wyłącznych i charakterystycznych, a więc godnych zająć swą kartę w historii. Inny był wtedy byt naszego społeczeństwa; innemi tory stąpały zdania i uczucia; trafniej sięgały umysły, i zacniej uderzały serca. W zwyczajach było więcej prostoty, uprzejmości, i jeżeli się tak wyrazić wolno, archaizmu nacechowanego piętnem dawnych tradycji publicznych i familijnych. Rzadko kto przekraczał granice swojej sfery; sięgał fanaberyą nad możność, lub chłodził sercową gościnność, przesadą pozorów, i śmiesznością niewczesnego arystokratyzmu. Domy były zasobne, choć je okrywała strzecha, rodziny czyste i bogobojne, sąsiedztwa zgodne i wzajemnie sobie przychylnie, stosunki częste, swobodne i na zobopólnym szacunku oparte. Ile sobie przypomnieć mogę, nie widzę żadnej prawie rążącej plamy na tle moralnem tego obrazu przeszłości, bo zboczenia nawiasowe (a te być musiały) nikły niedostrzeżone w masie zalet zbiorowych. Co do materialnej pomysłowości kraju, większej być nie mogło, i powiem absolutnie, że nigdzie większej nie było. Błogosławiona rola hojnie obdarzała dziedzica. Trud jego był nie wielki. Nakład prawie żaden. Poddany orał, siał, zbierał darmo. Rosły sterty i stogi zboża, napelniały się zasieki ziarnem. Potem żyd przybywał, kupował, zabierał i srebrem lub złotem płacił. Moźniejsi, niepotrzebujący spieszyć ze sprzedażą krescencyi, wysyłali ją do Odessy, gdzie pomieszczali w magazynach zbożowych własnych lub najętych, dla łatwiejszego pojmania w lot ceny portowej, która, nieraz bywało, do nader wysokiej dochodziła cyfry. Ten stan błogosławiony kraju, nie zmuszający umysłu do mozolnych kombinacyi, ochraniający wszelką konieczność przemysłowego trudu, sprawił to, że nasi poczciwi Ukraińcy, realnie poczciwi, pograżyli się szczęśliwie w sybarytyzmie, zasnęli w błogości uciech zmysłowych cielesnego komfortu, mało dbając o przyszłość, która według nich, nie mogła być czem innem, jeno przedłużeniem terażniejszości. Młode pokolenie zwłaszcza, niezaprzeczenie poczciwe z kośćmi, odznaczało się kompletną biernością względem umysłowego trudu i duchowej kultury. Wałęsać się od domu do domu, to na obiadek, to na polowanie, to na wiseczka, to wreszcie na skoczego mazura przy fortepianie było jedynem jego zajęciem. Ukończywszy *per fas et nefas* bazylian-

ską humaną szkołę, młodzież spieszyła z lekkim nader ładunkiem wiedzy, do rodzinnej zagrody swojej, gdzie oddawała się li tylko usiłowaniam, wynagrodzić sobie próżniactwem i zmysłowością te lat kilka przymusowego trudu, z którego żadnej korzyści odnieść nie potrafiła. Nadto każde pojawienie się na ukraińskim horyzoncie człowieka wyższych¹ usposobień i staranniejszego wychowania, było zdarzeniem anormalnem, stanowiącym erę, a więc nader rzadkiem. Człowiek taki nie wzbudzał sympatyj. Pozbawiony duchowej z nim styczności, ogół młodzieży uważał go nie za swojego, od niego nawet stronił, i bodaj czy nie szydził *sub rosa*, z jego wykształcenia i nauki, jako z rzeczy ubliżających godności obywatela, mającego wieś dziedziczną, a następnie pieszą i ciąglą pańszczyzną na zawołaniu.

Ze strony rządu, kraj nasz, nie doświadczał żadnego nacisku. Wszystkie niemal władze ziemskie były wybieralne. Gubernscy urzędnicy izby cywilnej i kryminalnej, także Deputatskie Zgromadzenia, zależeli także od wyboru obywateli. Przywileje zatem obywatelskie rozpościerały się swobodnie i szeroko. Krążenie po kraju nie ulegało żadnemu ścieśnieniu; odbywało się łatwo, bez świadectw policyjnych i paszportów. Dobrze więc było u nas na Ukrainie. Kto żyje i pamięta, niech powie. Gdybyśmy byli przezorniejsi, dalej sięgający myślą, i zdolniejsi przytem, myśli tej rozsądnie poczętej, nadać praktyczne zastosowanie; gdybyśmy mieli więcej cierpliwości, politycznego taktu, i mniej niewczesnej zarozumiałości, nie zaniechalibyśmy zapewne obrócić na korzyść naszej sprawy, ten czas tyle dla niej przychylny, i zamiast gnuśnieć w materyalnym optymizmie, zajęlibyśmy się gorliwie kształceniem siebie zgodnie z ważnością narodowego celu i z naturą naszych usposobień. Tak postępując, przysposobilibyśmy krajowi ludzi użytecznych, czy to w administracyjnym, czyli w militarnym lub dyplomatycznym zawodzie, i nie dalibyśmy upaść sromotnie sprawie ojczystej, upaść z naszej winy niestety, skutkiem niesforności, samolubstwa i butnej ciemnoty, z jakimi przystąpiliśmy do dzieła. Rok 1831 zastał nas nieprzygotowanych, nieumiejętnych i nieoczyszczonych z moralnego mętu. Żadnej nie zaponnieliśmy przywary, żadnej nie wyrobiliśmy w sobie publicznej zalety. W całym tym ukraińskim ruchu, tak szumnym i butnym, ledwiebyś kilku głębszych i zdolniejszych naliczył a i tych słuchać nie chciano, bo zrozumieć nie umiano. Lecz dość o tym smutnym przedmiocie. Wróćmy zwolna na tor, z któregośmy zeszl.

W epoce, o której mówić zamierzyłem, Ukraina lubiła jeszcze siedzieć spokojnie i drzemać u domowego ogniska. Każde wydalenie się, czy to na kijowskie lub dubieńskie kontrakty, czy to do Odessy na morskie kąpiele, uchodziło za czyn wielkiej energii, za trudne, ba, nawet niebezpieczne przedsięwzięcie. Tkliwych scen pożegnalnych bywało bez liku, rzekłby kto, że się za Atlantyk wybierano. Co do zapasów, w jakie się zaopatrywano, te, mówiąc bez hyperboli, mogłyby realnie do samej Ameryki wystarczyć. Kiedy wypadło *ex consilio* pp. Placera i Plessla, najslynniejszych lekarzy naszej strony (odwiedzających nas często z pobudek rzetelnej przychylności dla domu) żebym brał koniecznie morskie odesskie kąpiele, babka moja po mieczu, pani starościna horodelska, przyjęła te ich zdania do serca, i troskliwa o zdrowie wnuczka, zajęła się czynnie przyborem do podróży. Nadzwyczajne posiedzenie przybocznej rady, złożone z członków płci obojga piastujących *ab antiquo* rozmaite urzęda administracyjne, zwołane było z tej racji pod prezydencją samej pani starościny. Pan Tomasz Nałęcz Leżeński łowczy nowogrodzki, reprezentował zarząd ekonomiczny. Pan Tarnawski, stajenny. Stary Michał, marszałkowski Ksiądz Franciszek Nagorny, reformat z Żorniszcz, luliniecki kapelan, był przedstawicielem kaplicy i jej potrzeb. Panie: Chorzewska, Cybulska, Strzyżewska — sędziwe wdowy, cnotliwie i umiejętnie prowadzące, każda z osobna, swój wydział specjalny domowego przemysłu, także się zebrały *in pleno*. Zaczęły się debaty tej przeważnej kwestyi wyjazdu do Odessy, debata bez opozycji, ma się rozumieć, z których po parogodzinnej gawędzie, wynikła w końcu ostateczna uchwała, najmiłościwiej przez babkę moją konfirmowana, i mająca się niezwłocznie i jak najpункtualniej uskutecznić. Zawrzała dom ruchem i gwarem. Rozbiegli się konni posłowie z wiadomością rychłego wyjazdu. Na to hasło poruszyło się sąsiedztwo, zaturkotały powozy i rozległy się trzaski biczów rzesiste. Coraz pełniej robiło się u nas i gwarniej. Bliżsi pospieszyli natychmiast, dalsi nieco później, wszyscy prawie z familjami, z mamkami, niańkami, bonami, guwernantkami, dwornie i ładownie, bo na dni kilka w celu doczekania się chwili odjazdu pani starościny powszechnie poważanej i czczonej serdecznie. Tekla z Sanguszków Włodzimierzowa Potocka przybyła z Daszowa, Marya z Rzewuskich Jarosławowa Potocka z Sitkowiec, Tekla z Sarneckich Krasicka z Książek-Kry-

nicy, Eufrozyna z Szolajskich Tyszkiewiczowa z Oczeretny. Nawet sędziwy Piotr Potocki starosta Szczerzecki, zdążył, chociaż trafunkowo, z pożegnalną wizytą do Luliniec. A tu znowu jadą i jadą — pani marszałkowa Opacka z całą dzieciarnią, pani marszałkowa Sarnecka, córka babki mojej, a więc moja ciotka, z ciężkim ładunkiem młodego potomstwa. Ledwie wysiadły, wałą poważnym truchtem sędziwe bucyfały starego marszałka Przyłuskiego, obszernie w mojej Ukrainie wspominałego. Nim postąpię dalej w relacji, nadmienię pobieżnie o dwóch paniach Potockich, które w liczbie przybyłych gości pomieściłem. Tekla z Sanguszków, była to pani wielce poważana, dobra Polka i obywatelka, najlepsza sąsiadka i przyjaciółka, słowem wysokich zalet kobieta, ale też w równym stopniu brzydka. Nieraz bywało, wpatrując się w portret jej męża, zdobiący salon daszewskiego pałacu, zadawałem sobie pytanie, co mogło skłonić św. p. Włodzimierza jednego z najpiękniejszych mężczyzn swego czasu, do tak niestosownego hymenu? Juźcić nie cyfrą posagu, bo sam posiadał około 20 miljonów zł. p. fortuny. Nie znakomitość połączenia, bo jej nie potrzebował. Może olśniewająca aureola talentów, rozumu, poetyczności? nie,—tego w niej nie było.

— Cóż więc?... Stary pan Waleryan Przyłuski, exszambelan króla Stanisława Augusta, późniejszy marszałek Lipowiecki (którego nazwiskiem listę przybyłych gości zakończyłem) człowiek wiedzący wszystko, to nawet co do niego nie należało, objaśniał tę zagadkę następnie:

— Kupido, największy z psotników — mówił — nawarzył tego piwa. Strzelistych grotem afektów tak srodze ugodził pannę Teklę w serduszko, że pokochała serdecznie Adonisa, który — to jest, nie ów bajeczny Adonis, ale pan Włodzimierz Potocki — rozczulił się tą miłością, i... akt matrymonialny został dokonany.

Okoliczność ta nastęrcza pamięci mojej zdarzenie zupełnie do poprzedzającego podobne. Brat mojej babki, pan Stanisław Zamojski, którego majątki Kozłów i Ohładów leżały w koronie cesarskim, przybył na Ukrainę dla odwiedzenia swojej siostry w Lipowcu. Był on wtedy młodym, szykownym, dzielnym i niezrównanej piękności. Ostatni wojewoda braclawski, Grocholski, nieodlegle od Lipowca mieszkający, zaprosił go do siebie na bal, do Woronowicy, dokąd naturalnie, rad pohulać i potańczyć, pan Zamojski skwapliwie pośpieszył. Nie mam

potrzeby mówić, że pan Grocholski wystąpił po pańsku co się zowie. Karmił gości na zabój, poił do upadłego, walił z móżdżierzy aż mury drżały, a trąbom i puzanom swojej nadwornej kapeli kazał gwałtować w niebogłosy, żeby wszystkie zakątki województwa słyszały jak pan wojewoda ucztuje.

Pan Grocholski miał córkę wielce dowcipną, ukształconą i dobrą istotę ale nie ładną. Że pan Zamojski był grzecznym i nadskakującym dla niej, cóż w tem dziwnego? Wszak był światowym kawalerem, i wiedział dobrze co się od gościa córce gospodarza należy. Że mu żadna myśl zalotna do głowy nie przychodziła — i to rzecz naturalna; bo będąc młodym, pięknym, bogatym i świetnie urodzonym, miał prawo podrożyć się trochę i szukać odpowiedniejszej pary. Nie darmo jednak głosi łaćwińskie przysłowie: *volentem ducunt fata, nolentem trahunt*, co ma znaczyć, że nie tak się zwykle dzieje jak człowiek zamierza, ale jak sądzono — i rzeczywiście, stało się zupełnie wbrew woli i oczekiwaniu pana Zamojskiego. Ów psotnik (jak się wyrażał stary szambelan Przyłuski) Kupido, i tą razą nawarzył piwa. Obrawszy sobie za metę tkliwe serduszko panny Teresy, dopóty je porażał groty swojemi, aż gwałtowną miłością rozpłomieniało — skutkiem czego zdarzyło się tak, że kiedy się po balu goście rozeszli na spoczynek, i cały pałac smaczno zachrapał, pan Zamojski ni ztąd ni zowąd, porwał pannę wojewodziankę do karety, uwiózł do Lipowca i wziął z nią szlub *stante pede* w domu państwa starostwa horodelskich.

Co do Maryi z Rzewuskich Potockiej, córki Seweryna, hetmana polnego koronnego i siostry Wacława *Emiratađ-Ulfchr*, ta była uroczem wcieleniem dobroci i wdzięku. Natura odlała ją w odrębnej formie; odrębnemi przymioty uposażyła, i chlubna z dzieła swego, postawiła ją wzorem dla wielu, przedmiotem czci dla wszystkich. W rysach jej, żywo przypominających poetyczne oblicze Wacława, było coś pociągającego słodyczą, coś imponującego dostojeństwem, coś uderzającego rozumem. Kochać ją każdy musiał, nie poważać jej nikt nie mógł. A przecież obok tylu praw do szczęścia, szczęśliwą nie była. Nie mało ciosów bolesnych dotknęło ją w życiu, i największa ich liczba z dłoni mężowskiej wypadła. Zostać mężem takiej kobiety, nie powinno było być udziałem pana Jarosława. Zanadto go los zaszczycił takim darem — zanadto uszczęśliwił! Mówię, zanadto, bo nad zalety i zasługę. Nie było w panu Jarosławie

wewnątrz nic, oprócz fumi magnackiej — nic nie było zewnątrz, oprócz salonowego pokostu. Umysłowo był on kompletne zero, moralnie idem. Stracił ogromną fortunę na bezsensowne fantazy i płaskie zaloty. Dopisał jakiegoś tam oplakanego jeneralstwa, czapkując matadorom petersburskim i wycierając ich kąty. Pozyskał parę gwiazd moskiewskich za podobneż zasługi. O! nie takiego warta była męża, dobra, cnotliwa, rozumna i poetyczna Marya! A więc, powtarzam, biedną była ona i nieszczęśliwą! Śmierć tragiczna ukochanego brata, Wacława Rzewuskiego po daszowskiej porażce ukraińskiego powstania w 1831 roku wieczną serce jej okryła żalobą. Nie widziano odtąd uśmiechu na jej ustach, nie słyszano wesołego słowa. Miała u siebie w Sitkowcach piękną kaplicę w stylu ostrołukowej gotyki wybudowaną. Tam pędziła ona długie godziny na modlitwie i pogrążeniu się w Bogu, szukając ulgi cierpieniom przepelniającym jej duszę. Wkrótce ją miłosierdzie boskie do lepszego życia powołało! — Cześć niech będzie jej jasnej i rzewnej pamięci!

LAMARTINE.

Studyum literackie.

(Dokończenie.)

IV.

Zanim przystąpimy do rozbioru tych dwóch utworów poety, utworów będących wiernym wyrazem i obrazem jego moralnego upadku, pozwolą mi łaskawi czytelnicy odstąpić nieco od głównie nas zajmującego przedmiotu, a uczynić chociażby małą wzmiankę o życiu politycznym poety i o zmianach, jakim to życie ciągle ulegało. Ciekawy to obraz człowieka pełnego zdolności, z genialnym poetyckim talentem, z rozumem nieposędnym, ze szczególniejszym darem wymowy, zmieniającego ciągle swoje dążenia, służącego coraz innej sprawie, ognistem i wymownem słowem broniącego idei, którą jeszcze wczoraj z równym zapalem potępiał. Ciekawy to obraz, powtarzam, i równie świetny dowód, czem jest umysł człowieka chociażby najobficiej uposażony, bez stałego kierownika, którym jest wiara. I są przecież ludzie, kto-

rzy ten rozum za jedynego przewodnika pragną mieć w życiu i cieszą się nadzieją, że on kiedyś na gruzach wiary i objawionej religii panować będzie nad światem i rządzić ludzkością! Lamartine uwierzył także swemu rozumowi i swoim zdolnościom i patrzmy, czem został.

Zrazu uważał on jako zasadniczy dogmat socjalnej mądrości, jedność władzy i legitymiczność królów. Ta epoka jego politycznych przekonań przypada na czas, w którym wierzył on jeszcze mocno i uznawał konieczność religijnej władzy, w którym jako poeta szanował pewne niewzruszone granice, w jakich sztuka, aby nią pozostać, zawrzeć się musi, a uznając prawa obowiązujące ludzi względem religijnej władzy, uznając prawa obowiązujące poetów względem sztuki, uznawał także prawa obowiązujące narody względem ich monarchów. W tej epoce swoich przekonań, nie mieszał się wcale do spraw politycznych. Lecz oto nadszedł czas, kiedy Lamartine (poeta powiedział sobie: Istnieję sam przez siebie, żyję własnem życiem, mogę i powinienem bezwarunkowo uleść natchnieniu, jakie czuję w duszy, łamać i przekraczać granice, które niedawno uważał za nienaruszony sztuki przybytek. A stosownie do słów tych poety, Lamartine polityk nie wahał się już powiedzieć: Naród żyje własnem życiem, ma i mieć musi równe z monarchami prawa; naród jest wszechwładny, i wszechwładztwo ludu, jak niegdyś legitymiczność królów, stało się zasadniczym dogmatem socjalnej mądrości Lamartine'a. Odtąd też zaczęła się jego polityczna działalność, został wybrany deputowanym. W tej epoce jednak nie zaparł się jeszcze całkiem swoich dawnych przekonań; nowe wpływy i wrażenia nowe skłaniały go wprawdzie na stronę rewolucyi, ale dawne wspomnienia nie dozwalały mu wszakże przestać być legitymistą. Epokę tę nazwać można epoką wahania; Lamartine stanął pod sztandarem konserwatywnego stronnictwa, dla tego, że to stronnictwo, mając za przedmiot pogodzenie porządku z wolnością, praw narodów z prawem panujących, odpowiadało najlepiej jego nowym zasadom. Epoka tego wahania nie trwała długo, nadszedł czas jego ostatecznej transformacyi poetycznej, która spowodowała całkowitą zmianę w jego dążeniach i przekonaniach politycznych. Transformacya ta, spowodowaną została, jakieśny to już wspomnieli, podróżą na Wschód, który opanowawszy wobraźnię poety, stał się panem całego człowieka. Odtąd Lamartine staje się wyznawcą panteizmu, zapalonym zwolenni-

kiem pokoju, wielbicielem kwietyzmu wschodniego, wrogiem bezwzględny wojny i wszystkiego, co z nią ma jakąkolwiek styczność. Wyznaje głośno swoją nienawiść dla Polaków, których nazywa burzycielami pokoju, rewolucjonistami duszą i ciałem, nie mogącymi znieść żadnej władzy nad sobą. Lecz pomimo tych pokojowych usposobień, które go skłoniły do potępienia nieszczęśliwego narodu, w wyjątkowem zostającego położeniu, Lamartine widocznie pociągnięty został prądem naówczas ogólnym prawie, lecz nie śmiejąc otwarcie stanąć pod czerwonym demokratycznym sztandarem, a nie mogąc dłużej i nie chcąc pozostać w szeregach konserwatystów, do których szczerze nigdy nie należał, wołał zająć stanowisko przywódcy pośredniego stronnictwa, zwanego socyalnem albo konserwatywno-postępowem.

Wówczas to Lamartine-poeta powiedział: poezja jest źródłem religii, poeta — to Bóg; Lamartine-polityk nie wahał się także z ostatecznym słowem, szczerzej może jak inni i otwarciej oświadczył: „Wola ludu stanowi monarchów; naród jest stwórcą, królowie stworzeniami; naród zwierzchnikiem, monarcha poddanym; naród jest monarchą!“

Oto kres tej drogi, po której szedł Lamartine; oto cel, do którego bezwiednie może dążył; tym celem, osłabienie władzy, podeptanie praw dotychczas szanowanych przez ludzkość, zniesienie wszelkiej powagi, wszelkich granic, wszelkiego hamulca, emancypacja człowieka w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, wyzwolenie powszechne i indywidualne, powszechna rewolucya, powszechny zamęt, powszechna komuna!... Skutki tych dążeń widzimy dzisiaj we Włoszech i Francyi, skutki tych dążeń obaczmy niebawem w całej Europie, owoce ich zbieramy już dzisiaj, znajdując się w pośród tych dwóch złowrogich potęg przeciwnych zda się sobie, a jednak zawsze obok stojących: rewolucyi i despotyzmu, knozań Internationalu i bezprawnej siły Prus i Moskwy. I długo biedna ludzkość pokutować będzie musiała za ten błąd swój, cierpi teraz wśród walki tych dwóch potęg groźnych, przecierpieć musi zwycięstwo jednej z nich nad drugą. i zaledwie stęsknionem okiem ducha dopatrzeć się można tej chwili, kiedy z tego ognia pokuty wyjdzie ta ludzkość oczyszczona i zbawiona. Nie czczemi mrzonkami filozofów, nie mądrymi układami polityków i dyplomatów, nie zresztą humanitarnemi marzeniami, które, już wiemy, co światu dać mogą, ale tem, czem zawsze

człowiek, i naród, i ludzkość cała ocalaną bywała i będzie —
 wiarą i tylko wiarą!

Słowo wiara wywołuje dziś uśmiech pogardliwy na usta, bo dziś każdy ma swoją osobną wiarę, swoje osobne prawo, osobną swoją religię. A że zjednoczenie jest koniecznym celem ludzkości, koniecznym jej dążeniem, więc odpychając zjednoczenie w wierze, zjednoczy się ona na chwilę pod żelazną ręką despotyzmu, jakiegokolwiek, czy despotyzmu komuny, czy przemocy jednego tyra. . . . Darmo! tu niema drogi pośredniej.

V.

Lamartine nie spodziewał się może zająć tak daleko, za-trwożył się może znaczeniem tych wyrazów, które wyrzekł, ale cofnąć się już nie można było, nie pozwalała na to miłość własna, nie pozwalało już samo stanowisko poety-polityka. Jego historyczne dzieła, jak: *Histoire des Girondins*, *Historia Restauracji* i inne, jego mowy, jak owa sławna o regencyi i pokoju, znamionują doskonale stan jego ówczesnych przekonań. Lecz najlepszym ich obrazem jest jego poemat *Jocelyn*.

Według samego autora jest to fragment wielkiej eposy humanitarnej, w której kolejno występować miały wszystkie cywilizacje i epoki postępu ludzkości. Treść *Jocelyna* znana jest powszechnie. Aby zapewnić los siostrze i wydać ją za mąż, powiększając jej posag, Jocelyn potłumia namiętności wrzące w jego łonie i obiera sobie stan duchowny. Wielka rewolucya francuzka wybucha; nasz bohater znajduje schronienie w grocie orłów w Alpach. Pewnego dnia dwóch skazańców ściganych przez republikańskich żołnierzy, chroni się do tejże groty. Pierwszy z nich jest sędziwym starcem, drugi nieletnim młodzieńcem; starzec śmiertelnie raniony umiera i opiekę nad młodzianem powierza Jocelynowi. Tajemniczy a serdeczny stosunek powstały z nieokreślonego jakiegoś uczucia zawiązuje się i umacnia z dniem każdym pomiędzy dwoma mieszkańcami groty orłów. Ale pewnego dnia, wskutek strasznego wypadku, który o mało nie pozbawił życia owego młodziana, Jocelyn przekonywa się nagle, że towarzyszy jego jest kobieta.

Uczucie, które wprzód było tylko serdeczną przyjaźnią, zmienia się teraz w miłość bez granic; gdy w tem pewien biskup uwięziony w Grenoble i skazany na śmierć wzywa tajemnie Jocelyna, aby mu udzielił św. Sakramenty. Jocelyn udaje się tam

natychmiast, a że nie był jeszcze księdzem, więc biskup wbrew jego woli administruje mu kapłańskie święcenie, aby mózdz przyjąć od niego rozgrzeszenie i wijatyk. Dopelnivszy tego, Jocelyn powraca do swojej grotv i wszystko wyznaje Laurencyi. Ztąd wywiązuje się gwałtowna scena miłosna, zakończona separacją. W 1800 r. znajdujemy ich w Paryżu; Laurence stała się kobietą *du demi-monde*; we dwa lata później wzywają Jocelyna do umierającej młodej kobiety w Maltaverne: tą umierającą jest dawna kochanka jego, Laurence. W jej ostatnich chwilach pełnych uniesień miłości i objawów żalu, Jocelyn jest ciągle przy niej; spowiada ją, ostatnie jej tchnienie przyjmuje i w końcu pogrzebawszy kochankę, powraca do swego kościoła.

Jocelyn jest według poety typem chrześcijanina naszej epoki, wzorem ewangelicznego kapłana, istotą szczytną, arcydziełem, ideałem nowoczesnej cywilizacji. Zbytecznym zda się byłoby wykazywać, jak bardzo ten ideał dalekim jest od rzeczywistości i prawdy. Człowiek, który się na służbę bożą poświęca, a który jednak zamiast gotować się do walk ciężkich swego powołania przez modlitwę i dobre uczynki, oddaje się cały chorobliwym marzeniom, pozwala wzrastać świeckiemu uczuciu w sercu, sam dobrowolnie przymnażając sobie pokus i narażając się na niebezpieczeństwa, lewita, który posłannictwo swoje zaczyna od wyznania, że mu brakuje przedmiotu czystej miłości i świętej przyjaźni, który ze zmysłowem uwielbieniem spogląda na parę kochanków, jakie w swych samotnych napotyka przechadzkach, który z upodobaniem opisuje namiętne sceny, jakich był świadkiem i nie opuszcza najmniejszego szczegółu w opisie rysów kobiecych; lewita, który przez zbytnie upajanie się złemi myślami i niegodnem pragnieniem, naraża się na wszelkiego rodzaju upadki, a który zostawszy kapłanem, zastanawiając się nad powołaniem swoim i wielkością ofiary, jaką spełnić musiał, śmie wołać w uniesieniu:

*O, to więcej niż mogą znieść siły człowiecze!
Bo to czego dla nieba wyrzec się musiałem,
Tobym życiem dziś wiecznem okupił z zapalem,
Nieśmiertelnością, której bez ciebie złorzeczę!*

*Laurencyo, miej litość, powróć..... przebaczenia!
Bóg mój to ty!... a ja cię poświęciłem — Bogu!*

Czy taki lewita, czy taki kapłan, pytamy, może być ideałem posłannika Bożego, czy być może nawet wzorem prawdziwego chrześcijanina? Jocelyn, jest uosobieniem samegoż poety ze wszystkimi niekonsekwencyami jego; to raz sceptyk z bluźnierstwem na ustach, to znów promieniejący wiarą asceta, przemawiający do ukrzyżowanego Chrystusa tak gorącej miłości słowami, że najzimniejsze serce rozrzewnić musi; to słowem człowiek, którego przytłoczyła dłoń wieku, a który nie ma ni odwagi, ni siły z tego się jarzma wydobyć; to człowiek, który pragnie pogodzić potrzeby swej duszy z chęcią przypodobania się sofistom społecznym. Smutna to ambicja, której skutkiem jest zawsze sprofanowanie natchnienia i odstąpienie geniuszu.

VI.

Cóż powiemy o poemacie *La Chute d'un ange*? Przedstawwszy zbląkanie i upadek ludzkiej natury, zdało się poecie stosownem przedstawić z kolei walkę i zboczenia istot wyższych od człowieka: śmiał on przedstawić owe czyste istoty, których przeznaczeniem jedynem i wyłącznem oddawanie czci Bogu, tarzające się w kale namiętności, śmiał połączyć świętość z grzechem, śmierć z nieśmiertelnością. Autor nazywa to „badaniem rozszerzającym ścieśniony zakres umysłu ludzkiego, stawiającem w obec rozumu wielkie religijne i historyczne problemata i zmuszającem człowieka do cofnięcia się, do roztrząśnienia swych przekonań.“

Zważane z punktu filozoficznego, te poemata są pracowitem i ciemnem przedstawieniem tajemnic wschodniego panteizmu, tajemnic, które znalazły były już przedtem daleko zdolniejszych pod tym względem i sumienniejszych badaczy. Patrząc zaś na oba te poemata ze stanowiska sztuki, smucić się zaiste potrzeba, przypominając sobie te dawne tony czystej i harmonijnej pieśni, które z tej samej natchnionej wychodziły duszy, bez trudu, bez wysiłku, jak potok z wyżyn natchnienia do dusz słuchaczy płynęły. I tu jeszcze czytelnik chce się dosłuchać tych tonów, i tu chce się dopatrzeć tej piękności i czystości wyrażań, tego bogactwa obrazów, przedziwnego tego, a jakby mozolną wystudowanego pracą, stopniowania odcieni; jednym słowem, owego głębokiego poczucia piękności poetycznej, piękności sztuki, jakie znamionują Rozmyślenia i Harmonie. Nadaremnie jednak

slucha i bada czytelnik, naprózno chce walczyć z samym poetą, aby mu zostawił to dawne uczucie, dawną sympatyę, jaką obudzały w duszy owe pierwsze Lamartine'a utwory. Pomimo chęci, przyznać każdy musi, że w Jocelynie i Upadku Anioła niema już nic z tych dawnych zalet poety. Wyobraźnia jego wprawdzie zawsze bogata i płodna, ale widocznem jest, że poeta nie może jej utrzymać w granicach, że przestał być jej panem a został biernym niewolnikiem; ztąd niejasność, nielogiczność, przesada. Układ poematu niekształtny, styl zaniedbany, wyrażenia niepoprawne i niejasne.

Tak więc upadł podwójnie Lamartine; natchnienie zmarnował i formę zaniedbał. To też od tego czasu zaczyna się część druga literackiego zawodu Lamartine'a, pełna kontradykcyi, zбочeń i błędów dopelnionych i streszczonych w jego utworach prozą. Wszystkie dzieła jego z tej epoki są smutnym obrazem i wyrazem społeczeństwa, które, straciwszy swój punkt oparcia, stąpa na oślepi, co krok utyka, nie wiedząc gdzie się zatrzymać i z zamkniętymi oczami przechodząc cały szereg szaleństw i błędów ludzkich.....

Lamartine upadł moralnie i geniusz jego zmarniał bez pożytku; od chwili zejścia z drogi prawdziwego natchnienia, nie wydał już nic, coby głębszą na siebie zwracało uwagę. Zapał, jaki obudził, zgasł całkowicie; śmierć jego nie wywołała nawet w samej Francyi wielkiego wrażenia. A jednak Francya straciła w nim jednego z największych poetów, który w literaturze stanowił epokę.

Spostrzedz, że Francya nie ma prawdziwej poezyi lirycznej, odgadnąć; że jej potrzebuje dla rozbudzenia się z umysłowego letargu, w jakim ją utrzymywali poeci i literaci starej szkoły, śmieć wystąpić przeciw nim, a wystąpić od razu tak skutecznie i stanowczo, obalić ową poezję bezduszną, poezję czczych form lub przewrotnych teoryj, a na jej miejscu inaugurować poezję szczytną, z prawdziwego natchnienia płynącą, to siła, na jaką tylko geniusz zdobyć się może. Bo też Lamartine rzeczywiście był geniuszem; człowiekiem stojącym wyżej nad społeczność swoją; a że nie wytrwał do końca na swem stanowisku, że się dał porwać prądowi wieku, od razu spadł z tej wyżyny i zszedł do rzędu tych, przeciw którym walczył w początkach swego literackiego zawodu.

Utrzymywano, że język francuzki nie da się nagiąć do rozmaitych wymagań poezji, które właśnie jej piękność i siłę stanowią. Mówiąc tak, zapomniano, że Bossuet, chociaż wierszy nie pisał, był najświetniejszym i najbardziej oryginalnym poetą. W pierwszej połowie XIX stulecia pojawił się Lamartine, aby zadać stanowczy kłam temu zarzutowi. I któryż poeta potrafił lepiej od Lamartine'a wyrazić wszystkie wrażenia i uczucia duszy, wszystkie poruszenia serca tym językiem, któremu zarzucano, że nadto regularnymi gramatycznymi skrepowany, nadto zimny, aby się dać nagiąć do poetycznej formy? Któryż poeta z większą wprawą i łatwością potrafił zmieniać formy i tony swej pieśni? Chcecie elegii? *Le lac, L'isolement, Le Chrétien mourant, Le Crucifix, Le premier regret*, są jej pierwszorzędnymi wzorami. Chcecie ody w całej jej świetności? Czytajcie *Hymn do Chrystusa, Bonaparte, Le chêne ou l'idée de Dieu, L'ode à lord Byron*. Jeżeli przenosicie mowę proroków, a znajdujecie, że poeci XVIII wieku źle pojęli jej piękności, sfałszowali ton jej, zmniejszyli jej siłę nużącą jednostajnością swoich parafraz, czytajcie *La Poésie sacrée*; tam Mojżesz, Hjob, Izajasz, Jeremiasz przemawiają jak prawdziwi Boga posłannicy, a natchnione ich lutnie istotnym odzywają się dźwiękiem, unosząc duszę słuchacza daleko od ziemi...

Zarzucano Lamartine'owi, że się wdawał w zbyt liczne opisy, i zarzut ten po części jest słusznym. W Jocelynie na przykład lub w Upadku Anioła opowiadanie najbardziej dramatyczne, przerywane jest często z wielkim dla czytelnika zmartwieniem, rozmaitemi opisami, przynoszącymi szkodę samej opowieści i zmniejszającymi zajęcie. Ale między długością tych opisów a drobnostkowością poprzednich poetycznych pisarzy, jest cała przepaść, jaka oddziela prawdę od zmyślenia, naturalność od przesady. Co się tyczy niepoprawności stylu, sam poeta do niej się przyznaje w przedmowie do *Recueils poétiques*: „Wiecie, powiada, jak piszę wiersze moje, wiecie jak słusznie oceniam ich małą wartość, wiecie nadto, jak dalece niezdolny jestem do ciężkiej pracy ogłędzania i krytykowania własnych utworów.“ W ogóle do stylu Lamartine'a zastosować można słowa Neckera: Najmierniejszy literat poprawiłby jego błędy, najwięksi pisarze nie zdołają przyswoić sobie i naśladować jego piękności.

Na tem kończymy pobieżnie nasze uwagi o Lamartinie; czujemy, że nie wyczerpują one przedmiotu godnego zdolniejszego pióra, dłuższego badania i studyów; myśmy pragnęli tylko bez-

stronnie a sumiennie wspomnieć o człowieku, o którym wielu pisało, ale mało kto tak, jak na to Lamartine zasługiwał. W chwili gdy gwiazda do niedawna przyświecająca Francji, zbladła, jeżeli nie na zawsze, to na bardzo długo, a zbladła jedynie w skutek moralnego upadku, wydało się nam słusznem przedstawić chociażby w bardzo niedokładnym obrazku człowieka, któremu także przyświecała świetna gwiazda natchnienia, a która podobnie zbladła jedynie w skutek moralnego upadku. Czyliż naród to nie- zbiorowy człowiek? czyliż błędami Francji całej, nie były także: upadek wiary, doktryny socyalne i rewolucyjne? Genialny umysł zmarniał bez pożytku, wielki naród upadł haniebnie, a więc skutki i przyczyny te same. Tylko że kiedy badanie błędów narodu wymaga wielu lat pracy i głębokiego umysłu, badanie błędów pojedynczego człowieka, będącego obrazem społeczności swojej, przychodzi łatwiej i łatwiej przedstawić się daje.

Śmierć Lamartine'a była piękną, była śmiercią chrześcijańską; na progu wieczności poczuł on całą wielkość swych błędów, wątpienie znikło, dawna wiara w sercu dziecka słowami matki zasiana a zapomniana później, obudziła się znowu i Lamartine sprawdził na sobie te piękne wyrazy przez siebie niegdyś wyrzeczone:

*Szczęśliwy, komu dał Bóg matkę świętą!
Choć życie dręczy, choć ciężka śmierć woła,
Na grobie matki, czyż kto wątpić zdoła?*

*Heureux l'homme à qui Dieu donne une sainte mère!
En vain la vie est dure et la mort est amère:
Qui peut douter sur son tombeau?*

ADAM KRZECOWIECKI.

PRZEGLĄD LITERATURY HISTORYCZNEJ.

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Tom VI.

(Poznań, 1871. Nakładem Towarzystwa, wielka 8ka, str. 366.)

(Dokończenie).

Gdybyśmy tu pisali o znaczeniu p. Jarochowskiego jako historyka, mielibyśmy jeszcze bardzo wiele do powiedzenia, bo niemal na każdej stronnicy dzieł jego napotykamy pojęcia, na które żadną miarą

zgodzić się nie umiemy; ponieważ jednak mamy tutaj mówić tylko o najświeższej jego rozprawce, pomieszczonej w szóstym tomie Roczników, musimy się ograniczyć do tych wstępnych uwag, aby nie rozszerzać zanadto rozmiarów naszej oceny.

Dotychczas nie zaszczycał p. Jarochowski Roczników pracami swemi, nazwisko Jarochowskiego nie stało dotąd obok nazwiska Wegnera, głównego reprezentanta działu historycznego w tychże Rocznikach. Epilog sprawy toruńskiej (str. 54—82) jest pierwszą rozprawką (siedm kartek zajmującą, do której autor dodał taką samą ilość źródłowych dodatków), którą p. Jarochowski zaszczycił Roczniki Towarzystwa Poznańskiego.

Tak w dziejach naszych, jak obcych zachodzą nie raz sprawy albo raczej przestępstwa polityczne, na które najostrzejszy wyrok, wyrok śmierci ze stanowiska ówczesnego prawodawstwa jest jak najzupełniej uzasadniony, ze stanowiska politycznego atoli wykonanie tego wyroku staje się wielkim błędem, pociągającym za sobą ważne skutki a rozum polityczny i rozsądnie zrozumiany pożytek nakazują koniecznie w tym wypadku odstąpić od surowości prawa i dla dobra ogółu, dla dobra kraju i kościoła zamiast uprawnionej surowości, użyć łagodności i choć nie zupełnego przebaczenia, to przynajmniej znacznego zmniejszenia zawyrokovanej kary. Do rzędu takich spraw w dziejach naszych należała znana sprawa toruńska, której p. Jarochowski w drugim tomie swych Opowiadań i Studyi poświęcił osobną dłuższą rozprawę. Ze sprawę tę nie tylko my, ale nawet kościół wówczas, pojmując jak najtrafniej prawdziwą swą korzyść, w ten sposób rozumiał, że kościół do przestępców toruńskich chciał zastosować łagodność a nie surowość, że więc wypowiadając takie zdanie stoimy jak najzupełniej na tym samym gruncie, na jakim wówczas stanął kościół, wynika z postępowania ówczesnego reprezentanta kościoła, nuncyusza papieżkiego, Santiniego, arcybiskupa Trebizondskiego. Pan Jarochowski w swym epilogu sprawy toruńskiej sam nam na to podał niezbite dowody. Z listu bowiem, który przytacza, wynika, że nuncyusz papieżki dość wczesnie przed wykonaniem nieszczęsnego wyroku, „wysłał do przełożonego kolegium jezuickiego w Toruniu, Kazimierza Czyżewskiego, list, w którym między innemi pisał, że sprawa kościoła wymaga być łagodnym w przedmiocie osób, by tem łatwiej uzyskać korzyści, jakie wspomniany wyrok dla kościoła zawiera. Dla tego żąda nuncyusz z urzędu swego usilnie i koniecznie, aby ponieważ wykonanie wyroku na prezesie miasta Rösnerze i wiceprezesie Zerneckem zależy od udowodnienia pod przysięgą przez dwóch Jezuitów ich udziału w tumultie z dnia 16. Lipca, Czyżewski zabronił im przysięgać i od wszelkiej skargi przeciw tym dwom mężom odstąpił. Tego, kończył nuncyusz dosłownie, pragnę, jak niczego więcej, lecz i tego także. Wielebny Ojcze, od Ciebie wymagamy, abys nie wyjawiał w ogóle nikomu, że do ciebie w przedmiocie tego wyroku pisałem. Mam zaufanie, że zyskam z Twej strony podwójny ten owoc miłosierdzia i rozważagi.“ Tak pisał nuncyusz, tak pojmował sprawę tę reprezentant kościoła i tak ją pojmujemy. Niesłusznie więc p. Jarochowski po-

sądza tych, którzy wykonanie srogięgo wyroku uważają za krok nie-stosowny i szkodliwy (nie o wyrok zupełnie prawnie uzasadniony bowiem tutaj chodzi, lecz o wykonanie jego), o „nieco zbyt gorliwie poszukiwanie faworów horacyuszowej *popularis avarae* panującej ogólnie w ocenieniu tej sprawy“, — niesłusznie ich o to posadza, bo jak widzieliśmy, sam Kościół, strona obrażona, strona dotknięta przez przestępców toruńskich, sam był i gorliwie przemawiał za złagodzeniem, niewykonaniem tego wyroku. Mimo to wykonano go. Dla czego? Na to pytanie stara się p. Jarochoowski dać odpowiedź w owej najnowszej rozprawie: Epilog sprawy toruńskiej.

Cały obszerniejszy wywód zaś prowadzi do tego, aby wykazać, że „Polska była tu ślepym mieczem“, kiedy rola „świadomej ręki“ przypada według dziejowej prawdy królowi Augustowi, Flemmingom i Manteufflom. — Nie streszczamy tutaj całego wywodu autora, podamy tylko ostateczną jego rekapitulację, sama rozprawa bowiem jest tak treściwie napisana, że z trudnością tylko ująłby się dała w szczyplejsze ramy.

„Opinia publiczna polska była — pisze więc przy końcu autor — jak niema wątpliwości, poruszoną do głębi tumultem toruńskim i wykroczeniami tamtejszego spóółstwa a komisya śledcza i sąd assessorski, działając widocznie pod jej wpływem, wydali wyrok surowy, srogi może, ale nie sprzeciwiający się w niezem literze ówczesnego prawa. Na tem kończy się jednakże dzieło fanatyzmu polskiego a rozpoczyna zimna gra machiawelizmu Augustowego. Ile razy budząca się litość polska, ile razy rozum polityczny nuncyusza papieżkiego pragną powstrzymać zawieszony nad głowami skazanych miecz kata, — pojawia się inna jakaś skryta ręka, która dobroczynnych i zbawczych rozjemców odpycha. Czyżają to owa dłoń była? *Fecit cui prodest*, zasada ta procedury kryminalnej znajduje i tutaj zastosowanie, a autentyczne dokumenta dają jej jak najzupełniejsze stwierdzenie. Toruńskie głowy spadły, bo zrzucenia ich wymagał manewr równoczesnej polityki gabinetu drezdeńskiego.“

Rzeczywiście przywiedzione i w dodatkach przez autora dołączone a po największej części z archiwum drezdeńskiego wyjęte dokumenta pokazują, że według wszelkiego prawdopodobieństwa tak a nie inaczej rzeczy się miały. Zupełnej pewności atoli, mimo sumiennego wywodu p. Jarochoowskiego, jeszcze nie mamy i mieć będziemy chyba dopiero wtedy, kiedy na jaw wyjdą tajne instrukcje Rybińskiego, wojewody chełmińskiego, poufnika króla Augusta i wykonawcy krwawego wyroku, tego samego, „który w czasie odbywającej się egzekucyi nie dopuszczał przez zamknięte bramy miasta dążącego z inhibicyą nuncyusza.“

Z tego streszczenia i ocenienia więc widzimy, że p. Jarochoowski tam, gdzie nie chodzi o jego szlachecko-republikańskie zapatrywania, tam gdzie mu te nie zamykają oczu, nie krzywią jego sądu, tam gdzie walczy przeciw podlej polityce może najnikczemniejszego z naszych królów, Augusta, pierwszego Sasa, — dochodzi do wcale cennych rezultatów i wzbogaca literaturę naszą przez wcale ważne odkrycia.

Ponieważ zaś p. Jarochowski w studiach swych zajmował się dotąd głównie historią tego Augusta, uzasadnioną nienawiść swą do tego króla, zdaje się, przeniósł jak najnieśluszniej i na innych, a w poglądach owych na dzieje nasze z tego samego niemal stanowiska traktuje chlubne zamiary innych naszych królów, jak nieczne, machiawelistyczne, na własną tylko korzyść obliczone zamiary saskiego Augusta.

Do rozprawki swej dołączył pan Jarochowski kilkanaście dokumentów, z tych numer 1 złożony z czterech paragrafów było można bezpiecznie opuścić. Na cóż bowiem przedrukowywać dokumenta z tak znanego, tak świeżo wydanego dzieła, jak Mörnera *Kurbrandenburgs Staatsverträge*? Resztę dokumentów wziął p. Jarochowski z archiwum drezdeńskiego; zasługiwały one bez wyjątku na ogłoszenie. Mielibyśmy jednak im wszystkim to do zarzucenia, że wydawca przy żadnym z nich nam nie powiada, czy dokument ten drukuje podług oryginału lub podług kopii, a jeżeli podług kopii, czy podług uwierzytelnionej, współczesnej lub późniejszej? Nie jest-to rzecz wcale blaha, bo na tem często polegać może ważne kryterium autentyczności. I tak naprzykład nadzwyczaj ważny list nuncjusza apostolskiego (nr. VI) według wszelkiego prawdopodobieństwa drukował wydawca podług kopii, boć w przeciwnym razie nie byłby przecież opuścił daty, pisząc zamiast niej tylko: *Varsaviae etc.* Tak samo i o odpowiedzi na list nuncjusza (nr. VII) nie wiemy, czy wydawca miał oryginał lub kopią przed sobą, tylko ów bez wszelkiego sensu zwrot: *ille og*, do którego sam wydawca dołączył (?), naprowadza nas na domysł, że i tu miał tylko kopią. Dalej we wszystkich tych dokumentach pełno błędów, prawdopodobnie drukarskich, ale może i takich, za które odpowiadać winien wydawca. Weźmy np. list nuncjusza. Zaczyna on się od zdania, które tak jak je wydrukował wydawca, zgoła nie ma sensu, a mianowicie: *Quoniam sententia . . . caput illud imprimis praecipuum est, ut. . . .* Widocznie tutaj zamiast *sententia* stać powinno *sententiae*. I druga część tego samego okresu widocznie jest skorumpowana, nuncyusz bowiem pisze, że podług wyroku burmistrz i wiceburmistrz powinni być śmiercią karani: *ea tamen conditione adjecta, si antea per aliquos ex vestri instituti homines, iureiurando etiam interposito, nefarii sceleris, haud ita pridem in domo ac sacello vestro patradi, affines ac principes fuisse, convicti fuerint.* Czemże tu rządzi *ex*, przecież nie genitiwem *vestri instituti*? Cóż ma znaczyć *haud ita pridem patradi*? Po cóż to *haud*?

Dokumenta te zatem nie są wcale poprawnie i starannie wydane. Szczerze radzilibyśmy wydawcy, aby na przyszłość podobnym publikacyom więcej poświęcał starania, bo takie niedbałe wydawanie źródeł osłabia tylko wiarę i zaufanie do nich.

Z prawdziwą przyjemnością przystępujemy teraz do sprawozdania i oceny pracy umieszczonej na trzecim miejscu w *Rocznikach Towarzystwa Poznańskiego*. Dr. Wojciech Kętrzyński znany był dotychczas publiczności naukowej prócz z doktorskiej rozprawy w języku łacińskim i paru prac w niemieckim napisanych (obszerniejsza roz-

prawa: *Die Lygier* wyszła w Poznaniu u Leitgebra, parę drobniejszych wydrukował autor w czasopiśmie *Altpreussische Monatsschrift*, wychodzącym w Królewcu tylko, o ile nam wiadomo, z dwóch drobnych rozprawek polskich: O Mazurach w feljtonie *Dziennika Poznańskiego* i Opis paryzkiego rękopisu Pulkawy w piątym tomie *Roczników Poznańskich*. Trzy lata temu objął zarząd biblioteki kórnickiej hr. Jana Działyńskiego a zarazem także dalsze wydawnictwo Aktów Tomickiego. Przeszłego roku z niewiadomych nam powodów porzucił tak zarząd biblioteki jak i wydawnictwo. My, którzy powodów zerwania tego nie znamy, z całego serca żałujemy, że kierunek wydawnictwa hr. Jana Działyńskiego nadal nie pozostał w ręku dra Kętrzyńskiego, mało kto u nas bowiem pojmował z taką sumiennością i taką znajomością rzeczy obowiązki edytora źródeł, jak dr. Kętrzyński. Praca jego umieszczona w VI tomie *Roczników* nosi tytuł: O Stanisławie Górskim, kanoniku płockim i krakowskim i jego dziełach (str. 83—145). Jest to niejako sprawozdanie o przygotowanych pracach do dalszego wydawnictwa Aktów Tomickiego, wykazanie wszystkich kroków przedwstępnych, które dr. Kętrzyński uważał za niezbędne, zanimby mógł rozpocząć tak ważne wydawnictwo. Śmiało powiedzieć z góry możemy, że u nas, gdzie zwykle wydawnictwa źródeł traktuje się z bezprzykładną u ościennych narodów lekko-myślnością, nikt prawie jeszcze nie przystępował do takiej pracy z takim zasobem wiedzy, taką sumiennością, gorliwością, znajomością przedmiotu i terażniejszej metody naukowej. Nie przez formę, nie przez piękny język (choć i pod tym względem widoczny jest postęp) odznacza się praca szanownego autora, bo nie o nie tutaj chodziło, bo do nich nie było tutaj nawet sposobności, lecz przez głęboką naukę, niezwyklej ważności treść, krytyczne uzdolnienie i gruntowną znajomość obowiązków i zadania edytora źródeł. Praca ta uprzęta niemal wszystkie przedwstępne trudności, jakie tamowacby mogły swobodny pochod wydawnictwa Aktów Tomickiego, a przyszli wydawcy tychże Aktów przede wszystkim do głębokiej wdzięczności poczować się winni dla autora, bo on przez pracę swą nie tylko ułatwił im zadanie ich, lecz zarazem wskazał im drogę, jaką postępować winni. Kosztem hr. Jana Działyńskiego zbadał dr. Kętrzyński bibliotekę kórnicką, zbiory hr. Raczyńskiego w Rogalinie, księcia Władysława Czartoryskiego w Paryżu, wszechnicy jagiellońskiej w Krakowie, Zakładu Ossolińskich we Lwowie, nie wymieniając innych mniej ważnych. Przewertował wszystkie rękopisy Tomicyanów, podzielił je umiejętnie na redakcyje i klasy, porównał je z sobą, wykazał do jakiej redakcyi każdej z nich należy, w czym się redakcyje te od siebie różnią, co przemawia na korzyść jednej, a co na korzyść drugiej, wreszcie jak najstaranniej i z głęboką znajomością rzeczy opisał każdy poszczególny rękopis. W ten sposób przystąpić do wydawnictwa mógł tylko człowiek na wskrós obeznany z terażniejszą metodyką naukową, człowiek stojący na wysokości nowszej nauki, liczącej u nas dotąd niestety tak mało reprezentantów, człowiek i gruntownie wykształcony i obdarzony zmysłem krytycznym, owym niezbędnym przymiotem każdego edytora

źródeł. Żaden z naszych dyletantów, mimopuszczających i lekceważących najważniejsze edytorskie obowiązki, nie byłby miał nawet pojęcia o podobnym sumiennym i gruntownym traktowaniu sprawy wydawnictwa. Tym naszym dyletantom zdaje się, że dosyć wziąć rękopis, przepisać i wydrukować go, że na tem uczyniło się zadość wszelkim obowiązkom wydawcy. Tym panom radzimy, aby przestudowali od pierwszej do ostatniej litery pracę dra Kętrzyńskiego, a wtedy może choć trochę otworzą im się oczy, a wtedy może choć w części poznają się na trudnem zadaniu sumiennego wydawcy i na obowiązkach, jakie na nim ciążyą.

Pracę dra Kętrzyńskiego witamy więc z serdeczną radością, witamy w nim uzdolnionego i gruntownie wykształconego szermierza prawdziwej nauki. Na takich pracach nam zbywało. Oby przykład jego znalazł jak najprędzej naśladowców, a wtedy i my staniemy na wysokości dzisiejszej nauki, a wtedy i my nie będziemy się potrzebowali powstydić przed zagranicą naszych dzieł, a wydawnictwo źródeł u nas, tak niezbędnie nam potrzebne, stanie na równi z wzorowemi wydawnictwami Niemców, Anglików i Francuzów.

Nie myślimy tutaj streszczać znakomitej rozprawy dr. Kętrzyńskiego, bo głównie o ocenienie jej nam chodziło, a już tak ocena nasza aż zaobszernych nabrała rozmiarów. O dwa szczegóły więc tylko jeszcze potrącić sobie pozwolimy.

Tom trzynasty *Aktów* znajdujący się w Lipsku, który i my przed paru laty mieliśmy w ręku, uważa szanowny autor w rozprawie swej (str. 115) może za oryginał drugiej redakcyi (Karnkowskiego), w dodatku zaś do tej rozprawy umieszczonym w *Tygodniku Wielkopolskim* ma go za kopią z tej redakcyi zdjętą. I nam rzeczywiście dzisiaj się wydaje, że rękopis ten jest kopią, ale w takim razie kopią robioną pod okiem samego Górskiego, bo jeżeli charakter poprawek umieszczonych w tym rękopisie zatrzymaliśmy dobrze w pamięci, to zgadzają się one zupełnie z ręką, która pisała list, dołączony w podobieństwie przez szan. autora do rozprawy jego; a list ten jest pisany przez samego Górskiego.

Dalej nigdy nam przez głowę nie przeszło, żeby dotychczasowy wydawca pierwszych tomów *Tomicyanów*, p. Koenigk postępował z taką, nawet u nas bezprzykładną lekkomyślnością, która wobec nauki jest po prostu zbrodnią. Dużo mieliśmy już do czynienia z drukowanymi *Tomicyanami*, ale nigdy nie mieliśmy sposobności porównać ich z rękopisami, nie mogliśmy więc żadną miarą przypuszczać takiego niedbalstwa, takiej lekkomyślności, takiej, nie wahamy się powiedzieć, bezprzykładnej głupoty, z jaką p. Koenigk postępował. Dopiero teraz, kiedy p. Kętrzyński te drukowane tomy, zwłaszcza zaś ostatnie, porównał z rękopisami, których Koenigk używał, dopiero teraz, kiedy udowodnił jasno jak na dłoni długie szeregi jego opuszczeń, przekręcań, niedbałości, poznajemy się na całej niedoleżności i niesumienności tego człowieka, który szlachetne zamiary śp. Tytusa Działyńskiego w tak po prostu podły sposób wyzyskał. I nas, choć mieliśmy w ręku tylko drukowane *Tomicyany*, nieraz już raziły liczne

opuszczenia dat, przekreślenia tekstu, fałszywe uporządkowanie dokumentów i inne nsterki, ale nie przypisywaliśmy przynajmniej w poważnej części błędów tych wydawcy, lecz niedokładności rękopisów. Boć jakże mogliśmy np. pomyśleć o takim *horrendum*, jak to, że w samym tomie VIII opuścił p. Koenigk zgola dowolnie, bez wszelkiej potrzeby nie mniej jak 58 szczegółowych dat? Jest - to niesumienność niesłychana i niepojęta, a dr. Kętrzyńskiemu wdzięczność się należy, że takiego szarlatana naukowego okrył wstydem przed całym naukowym światem i przedstawił nam jasno całe jego haniebne postępowanie.

Prócz znakomitej rozprawy o dziełach Stanisława Górskiego umieścił dr. Kętrzyński w tomie VI *Roczników* jeszcze drugą pracę pod tytułem: *Regestr poboru podwójnego dnia 25 Juny 1618 roku w Malborku na Seymiku generalnym Ziemi Pruskiej uchwalonego* (str. 163—201). Nie jest - to oryginalna praca, lecz tylko wydanie tego Regestru podług współczesnego (nie „równoczesnego“, jak pisze dr. Kętrzyński) rękopisu biblioteki kórnickiej. W króciutkim wstępie, który wydawca do Regestru tego dołączył, wykazuje on trafniemi słowami ważność i znaczenie tego zabytku, a mianowicie mówi: „Aczkolwiek żalować należy, że dokument niniejszy jedno tylko z pruskich obejmuje województwo, tj. pomorskie, że drugich w rękopisie kórnickim nie masz, to jednak sądzę, że ogłaszając go drukiem, nie tylko Pomorzu naszemu ważną wyświadczam usługę, lecz także ważny podają przyczynek do statystyki i skarbowości polskiej w XVII wieku. Dowiadujemy się bowiem z niego, jaki na Pomorzu był stosunek liczebny szlachty i poddanych, jaki ich stan majątkowy, poniekąd nawet, jakie było ich gospodarstwo. Dowiadujemy się dalej, co szczególnie dziś nas interesować powinno, jaka była po wsiach liczba obywatelstwa niemieckiego i szlachty polskiej, którą liczbę w przybliżeniu z sanych nazwisk obywateli oznaczyć nie trudno. Zarazem mamy w tym dokumencie spis wszystkich ważniejszych wsi województwa pomorskiego i ich polskich nazwisk, które za dni naszych cywilizatorowie nasi niemilosiernie przekreślają i dowolnie odmieniają. Będzie to dla przyszłego geografa źródło, z którego będzie mógł czerpać nazwiska polskie; na mapach nowoczesnych bowiem na próżnoby ich szukał.“

Takie jest znaczenie ogłoszonego przez dra Kętrzyńskiego Regestru. My z naszej strony nie mamy nic do dodania do trafnych uwag szan. wydawcy.

Na tem kończymy właściwy przegląd tomu VI *Roczników Poznanskich*, bo reszta prac albo tylko w luźnym związku stoi z historią albo też w żadnym. Ponieważ zaś mieliśmy tylko zdawać sprawę z prac historycznych, ograniczymy się na wymienieniu tytułów innych w tomie tym pomieszczonych rozpraw.

Wykopaliska nadziejewskie, opisał Domaradzki, (str. 203—218). Jest - to rozprawa archeologiczna, opisująca wykopaliska we wsi Nadziejewie, położonej w Wielkiem Księztwie Poznańskiem o milę od miasta Środy.

Kanał suezki i jego cywilizacyjne znaczenie, napisał dr. Karol Libelt (str. 219—243). Sam tytuł wskazuje znaczenie tej rozprawy, a imienia autora któżby u nas nie znał.

O właściwym rozwoju formacji tryasowej na zachodnio-południowym stoku pasma paleozoicznego, rozpostartego pomiędzy Chęcunami a Sandomierzem, napisał Ludwik Zejszner (str. 147—162). Jeżeli dwie poprzednie rozprawy choć w luźnym związku z historią stoją, to ta praca śp. L. Zejsznera, znanego naszego geologa, należy do zgoła innego działu nauk, o którym żadnego sądu pozwolić sobie nie możemy.

Prócz tych rozpraw, któreśmy po części ocenili, po części tylko wymienili, zawiera jeszcze tom VI *Roczników* cały szereg nekrologów zmarłych w ostatnim czasie członków Towarzystwa.

Najważniejszą część tych życiorysów napisał znakomicie p. Stanisław Koźmian, wiceprezes Towarzystwa, a mianowicie nekrologi generała Franciszka Morawskiego, hr. Macieja Mielżyńskiego, jednego z założycieli Poznańskiego Towarzystwa Pomocy Naukowej; Adolfa Łączyńskiego, znanego męczennika sprawy narodowej; hr. Cezarego Platera i Juliana Fontany, przyjaciela Chopina, autora „Astronomii popularnej“, wydanej w Poznaniu r. 1869 kosztem Towarzystwa. Z pomiędzy reszty życiorysów najbardziej zasługują na uwagę nekrolog księdza kanonika Jana Nepomucena Jabczyńskiego, znanego pisarza i kaznodziei, napisany przez p. Emila Kierskiego, byłego redaktora *Przeglądu Wielkopolskiego* i Ludwika Zejsznera, zamordowanego na dniu 3 stycznia 1871 r. w Krakowie, znakomitego geologa i mineraloga.

Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego od maja 1869 do kwietnia 1871 roku, napisane przez sekretarza i konserwatora p. H. Feldmanowskiego, kończy zajmujący i bogaty tom VI *Roczników Towarzystwa*.

X.

Korespondencje „Przeglądu“.

Berlin 23 listopada 1871 r.

Kampania przeciw ultramontanom rozpoczęta bynajmniej jeszcze bliższego położenia spodziewać się nie dozwala. Ponieważ ta walka po części jest wewnętrzna, więc namiętności, jak zwykle bywa w wojnach domowych, do niezwykłego stopnia wzburzone. Odpowiedź cesarską na pismo biskupów niemieckich zaznaczyły z radością tutejsze gazety jako nowy bulletin zwyciężki. Oczekują teraz odpowiedzi cesarza na adres wystósowany do niego przez duchowieństwo niemieckie. Gazety ostrzegają przed ustępstwami, bo najmniejszy krok ku porozumieniu się, jak „*Montags-Zeitung*“ się wyraziła, zamieniłby naród germański w trzodę mnichów.“ Zapas frazesów tego rodzaju każda redakcja ma pod ręką, i obficie niemi przeciwników częstuje, których nawet „*die schwarze Internationale*“ nazwać się podobają.

„*Neue Preussische Zeitung*“ odpowiednio do swego stanowiska religijnego stosunkowo z największą jeszcze występuje godnością. „*Nationalzeitung*“ organ wykształconego mieszczaństwa, broni zawsze praw najskrajniejszego radykalizmu. „*Volks-Zeitung*“ i „*Staatsbürger-Zeitung*“ gazety najwięcej wśród niższych warstw czytane, rywalizują z sobą w wyborze środków, któremiby najłatwiej dziką nienawiść do katolicyzmu wśród ludu podsycać można. Rzeczywiście, skoro się tego rodzaju dzienniki weźmie do ręki, dziwić się trzeba, że umysły takim pokarmem żywione, dotychczas w zewnętrznym wybuchu swej nienawiści zaspokoić się nie zapragnęły. Wytłomaczyć się to da, jedynie zupełną indyferencyą religijną, która tutaj wśród niższych klas zapanowała. Pomimo tego zresztą siew ten prasy, wydał już raz swe owoce w głośniejszego czasu wyprawie pospólstwa na klasztor tutejszy dominikanów.

Organ żydowski Wroclawski „*Breslauer Zeitung*“ wydrukował korespondencję z Poznania, że ks. arcybiskup Ledóchowski nie uwzględni, w obsadzeniu miejsc, dostatecznie potrzeb religijnych Niemców-katolików w księstwie zamieszkałych. Kłamstwo to pochwyliły naturalnie tutejsze gazety z pośpiechem; niestworzonych o księstwie wiadomości doczytać się było można. Pisano o tajemnych spiskach narodowych, religijnych i t. p. „*Staatsbürger-Zeitung*“ straszne przy tej sposobności zrobiła odkrycie, że redaktor „*Dziennika Poznańskiego*“ z ks. kapłanem Majunke, redaktorem „*Germanii*“ potajemnie obradowali w celu porozumienia się z sobą. Co za śliczna harmonia musiała panować na tych konferencyach!

W ogóle, od czasu, jak „*Germania*“ zaczęła zamieszczać przyjaźne nam korespondencje z Poznania, inne dzienniki postarały się również o informacje z księstwa. Naturalnie, jak „*Germania*“ napisze: „białe“, — inne dzienniki piszą: „czarne“ bo z ultramontańskim organem zgadzać się nie wolno. Najciekawsze i najspokojniejsze jeszcze listy zamieszcza „*Neue Preussische Zeitung*.“ Prawda, że i w nich nienawiści dużo. Korespondent jej twierdził, że od 1863 r. germanizacya w księstwie żadnych nie zrobiła postępów; redakcyja wierzyć temu nie chciała a wiadomości o postępującem skażeniu języka polskiego w księstwie, o niezwywotności instytucyj polskich utwierdziły ją w przeciwnem mniemaniu.

O ile znam księstwo, i po jednej i po drugiej stronie jest trochę racji. Wyprzedaż dóbr polskich w ostatnich latach trochę się zatrzymała. Ale są już straty nie do powetowania. Niektóre powiaty zasiane właścicielami niemieckimi. Ze zboleiał sercem patrząc się na tę walkę, którą przy nierównych środkach od tyłu lat polskich w księstwie z germanizmem prowadzić musi; jedynie podniesienie szkół naszych i polepszenie wychowania domowego pokrzepiłoby mogło nadzieję co do przyszłości.

Spodziewać się było można, jak pożądaney broni dostarczy udział nieszczęsny Polaków w komunie naszym wrogom. Obawy te płonnie nie były. W każdym nieomal artykule przeciw nam wymierzonym, autor w końcu tego dobywa pocisku. Ostatni zeszyt „*Grenzboten*“, jednego z pism peryodycznych bardziej czytanych, w którym nawet sławny historyk Mommsen zamieszczał swe prace, zawiera artykuł o Polakach, którzy brali udział w rewolucyi Paryskiej. Przeczytawszy go, myśleć by można, że niema Polaka, któryby do Internacyonalu nie należał.

Autor powiada, że do każdego dzieła przewrotu i zniszczenia, Polacy przystąpić muszą „*wie die Motten zur Flamme*“ i z cyniczną kończy emfazą „*wie Motten zur Flamme, das war ihr Loos in Paris und das möge immer das Loos sein dieser handwerks-revolutionärer Stoffe.*“ Słów tych z pewnością niejedyn z tu

tejszej inteligencji podpisaćby się nie wahał, a rzeczywiście godne one miejsca obok sławnej odpowiedzi kanclerza Bismarka w dziejach humanitaryzmu pruskiego. Takie to pojęcia o prawie ludów wypłynęły z filozofii Hegla i jego następców.

Opuszczając wreszcie tak wstętny temat, wspomnieć mi wypadła o uroczystości, która 10. b. m. wiele tu zgromadziła ciekawych, przy odkryciu pomnika Szyllera.

Pomnik ten z białego marmuru, dzieło prof. Begasa, przedstawia poetę w naturalnej wielkości; u stóp jego siedzą cztery alegoryczne postacie niewieście, przedstawiające poezję dramatyczną, liryczną, *filozofię* i historję. Uroczystość ta odbyła się w obecności cesarza, lecz nie koniecznie bardzo uroczysto. Liberalne idee, które dotychczas przedewszystkiem w Szyllerze wielbiono, straciły w ostatnich latach na ferworze. Wielkiego zapалу i tej ogólnej radości, którą w podobnych chwilach na każdej twarzy odczytać zwykle można, widać nie było. Kobiety od oficjalnego obchodu były wykluczone. Tak więc do uczczenia poety *der drei F.*, jak go tu nazwano: „*der Freiheit, der Frauen und der Freude*“, właśnie trzy te rzeczy w jego poezji mało się przyczyniły.

Nie wiedzieć, czy umyślnie, czy bezmyślnie opatrzone girlandy i ornamenta miejscami z dzieł poety, które najdziwaczniejsze i najzabawniejsze stworzyły konjunktury.

Naprzeciw balkonu, z którego cesarz się przyglądał, czytano:

„*An der Quelle sass der Knabe*“

a obok tego napisu mógł tenże z niemałym zapewne zdziwieniem przeczytać:

„*Kein Augustisch Alter blühte,
Keines Medizäers Güte
Lächelte der deutschen Kunst;*

pod herbami nowo zdobytych prowincyj umieszczono sławny wiersz z Don Karlosa:

„*Die schönen Tage in Aranjuez sind nun zu Ende.*“

a pod herbem Saksonii słowa Wallensteina: „*Wär's möglich, könnt' ich nicht mehr. wie ich wollte, nicht mehr zurück, wie mir's beliebt?*“

Niezręczność ta, dała pochop do tysiącznych domysłów i nie wiem, czy dobieczono jej prawdziwej przyczyny.

Na odkrycie tego pomnika czekano już bardzo długo; zdziwiłem się, gdym wyczytał w gazetach, że od pierwszego dnia pospólstwo zaczęło niszczyć otaczające go kraty. Myślałem, że lud tutejszy posiada więcej estetycznego wykształcenia, bo naukowo bez wątplenia stoi wyżej od innych.

Ale w ogóle tutejsze gazety piorunują od kilku tygodni bezustannie na niesłychane wybryki, mianowicie obyczajowe, które od niejakiemu czasu w mieście się powtarzają. „*Neue Preussische Zeitung*“ widzi jedyny ratunek przeciw moralnemu rozprzężeniu w wpływie religii; w oczach zaś „*National-Zeitung*“ jedynie policyant jest kompetentnym w tem *examen conscientiae*. Gazeta ta wprost przyznaje, że Berlin pod niektórymi względami Paryż w zepsuciu już przewyższył. Ciekawym, jak policya sama potrafi się ze swej misji apostołskiej wywiązać.

Byłem tu w tych dniach na ogólnem zebraniu studentów, należących do towarzystwa polskiego naukowego. Udział był bardzo liczny. Ostatnia wojna spowodowała stagnację w rozwoju tego stowarzyszenia i chcieliby teraz dawne obudzić

w niem życie. Najsilniej reprezentowani są w niem technicy, między którymi wielu z Galicyi. Filologia najmniej liczy adeptów. Towarzystwo to posiada już dosyć ładną biblioteczkę, i jeżeli nie zapadnie na zwykłą naszych stowarzyszeń chorobę, która je przeobraża w szkoły czczych deklamacyj, zbawienną może być instytucją.

Posłowie nasi do parlamentu zebrali się prawie w zupełnym komplecie. Mają przemawiać przy obradach nad prawem, które na księży, oskarżonych o jakąkolwiek agitację polityczną, przewiduje areszt z maximum dwóch lat. Przy elastyczności pojęcia „agitacya polityczna“ można sobie wystawić, ile najrozmaitszych przypadków w praktyce pod tę rubrykę da się podciągnąć. Obrady te już się rozpoczęły. Mowa ministra bawarskiego Lutza wyniosła go na piedestał chwały w oczach tutejszych radykalistów. Stanowisko, jakie zajmą w tej sprawie konserwatywni, rozstrzygnie o jej losach.

Z

DWUTYGODNIK POLITYCZNY.

Dwa tygodnie wystarczają w Austrii na zużycie dwóch ministerstw, na rozbitcie, jeśli nie dwóch gabinetów, to dwóch kombinacyj.

Moglibyśmy z Mickiewiczem zapisać następujące epitafium: „*Gustavus obiit, natus est Conradus.*“ Upadł Kellersperg, nastąpił Auersperg. Jak między dwoma bohaterami mickiewiczowskiego poematu zachodzi tożsamość osoby, tak między dwoma bohaterami przedlitawskiej tragikomedyi zachodzi identyczność systematu.

„*Wary wodu, woda bude*“ mówi przysłowie ruskie. Przeleaniem przeto z jednego naczynia w drugie wody centralistycznej, nie pożywi hr. Andrassy ludów przedlitawskich, ani nie zasili osłabionej monarchii. Czegóż więcej mogła się Austriya, mogła się korona, mogły ludy rakuskie spodziewać od objęcia steru państwa w ręce Węgry, jak oddania połowy monarchii na łup żywiołów, które już dawno zwątpiły o bycie państwa, które się dawno zwróciły ku nowej potędze, które się nie tają z dążnością połączenia z aglomeratem niemieckim.

Oddanie dowództwa wśród zamętu bitwy w ręce ludzi tej kategorii, jakież może pociągnąć następstwa? Na czem wzrosli centraliści, jeśli nie na obdzieraniu ludów i całej monarchii z jej moralnych bogactw, z poczucia narodowego, z poczucia dynastycznego i zasad religijnych. Ich to gospodarstwo zagrodę raku-ską przemieniło w pustkowie, gdzie przez wylamane bramy i rozgrozione płoty władzą dowolnie agenci pruscy, moskiewscy, agitatorowie bezwyznaniowości, nieprzyjaciele porządku społecznego

i niszczą wszystko. Austria żyć i wielką przyszłość mieć może tylko jako przeciwieństwo Prus i Rosyi, ona wypłynąć znów na szczyt dziejów zdoła, ale jedynie podnosząc sztandar katolicki naprzeciw protestantyzmowi i schyzmie, i budując gmach federacyi wolnych ludów naprzeciw aglomeratom i centralizacyom okalającym ją z dwóch stron.

Austria germanizacyjna, niemiecka, czy może mieć przyszłość? czyliż zwrot podobny, przeciwny loice faktów, nie jest tylko przygotowaniem materiału dla zaboru przez sąsiadów? Czy za pomocą bezpośrednich wyborów a nawet stanu oblężenia powstrzyma się rozbudzone życie Czech, które im bardziej naciskane, tem więcej potężnieje? Nie, jeśli w tę kolej wprowadza Austryę wpływ Prus — to zjazdy w Ischl i Gastein przypominałyby tylko pamiętny zjazd w Kaniowie. I tutaj sprawa dyssydentów pojawia się w kwestyi konkordatowej i bezwyznaniowej! I tutaj stoi gotowa armia protektora, nie zbrojna w bagnety, jak carowej Katarzyny, ale natomiast zbrojna w niebezpieczniejszą w dzisiejszych czasach broń, broń gazet, załoga okryta biletami doktorów wiedeńskich, zorganizowana i fanatycznie wypełniająca rozkazy wychodzące z Berlina.

I z Petersburga przyklaskują temu zwrotowi. Radości nie mogły powstrzymać dzienniki rosyjskie na wiadomość o upadku hr. Hohenwartha. On jeden wydzierał broń Rosyi, on jeden zdolny był utworzyć konfederacyą barską w Austrii, bo on jeden odporną przeciwko dwom prądom prowadził politykę, bo on zamykał pole do agitacyi panslawistycznej a dążył do zjednoczenia tych żywiołów, w których się wierność dla Austrii przechowała.

Wskreszenie i dalsze rozwinięcie tak zwanej nowej ery zapowiada nam ten nieszczęsny zwrot. Znów namiętności przeczące, antinarodowe i antireligijne zostaną podniecone, znów walka przeciwko poczuciu narodowemu i przeciwko kościołowi katolickiemu zawrze na całej linii, jak za Giskry lub Herbsta. Zbankrutowany wiedeński liberalizm, znać znalazł poparcie ze strony zaślepionych Węgrów. Zaiste, dziwna to ironia naszych czasów, pełnych zamętu, że z pomiędzy Węgrów jeden tylko niezaślępiony na tym punkcie dumy narodowej, pozostał dziś Kossuth, że naczelnik rewolucyjnego rządu sam jeden oświadcza się przeciwko środkom rewolucyjnym hegemonii i antagonizmów szczepowych, a trafia na drogę organiczną rozjemstwa ludów i federacyi. Idea Kossutha doradzającego Węgrom popieranie federacyi

i ugodę z Słowianami w znanych listach równa się tylko wyznaniom starego konspiratora Mazziniego, wyrzekającego się solidarności z komuną, Internacjonalem, i potępiającego owoce tego drzewa, które on sam sadził.

Lecz czekajmy na czyny nowego ministerium — dziś tylko wyznać musimy, iż nie pojmujemy układów ks. Auersperga z delegacją polską, równie jak nie rokujemy im dobrego skutku. Wyznamy nawet szczerze, że jeśli Austria miała znów otrzymać ministerium liberałów centralistycznych — to wolelibyśmy byli barona Kellersperga odrzucającego wszelkie układy z Galicyą, niżli ks. Auersperga, usiłującego wciągnąć delegację polską na zgubną drogę transakcyi z systemem tak przeciwnym pod względem politycznym, społecznym i nadewszystko moralnym interesom naszego kraju.

Pan Grocholski nie mógł pozostać w gabinecie z kierunkiem dyametralnie przeciwnym polityce Hohenwartha. Względ dla korony, że dał się nakłonić do pozostania chwilowo, przyplacił on jedynym czynem nielicującym z polityką katolicką i konsekwencją jego stanowiska, czynem tym podpisanie reskryptu o bezpośrednich wyborach w Czechach. Lecz któryż z jego kolegów z delegacyi zając po nim może opróżnione miejsce, czem zresztą to krzesło ministra Polaka w gabinecie centralistycznym, jeżeli nie rodzajem zastawu z naszej strony, jeżeli nie przyjęciem pewnej solidarności z rządem, jakby podpisaniem cerografu? Nie, nie tam nam szukać solidarności, — i znów objaw ironii naszych czasów, że w zgromadzeniu przedstawicieli interesów narodowych, katolickich zasad konserwatywnych i organicznych, na zjeździe w Pradze, między mężami jak Leon hr. Thun i ks. Greuter zasiadł tylko jeden, jedyny Polak i to prezes byłego Towarzystwa demokratycznego, dr. Smolka. Nie do Wiednia, ale do Pragi na zjazd federalistów należało jechać delegacyi polskiej. Gdyby naszych przedstawicieli widziano wstępujących w to miasto, ożywione wiernością dla katolickiej i narodowej przeszłości i jasnym zrozumieniem jedynej przyszłości leżącej w dobrze pojętym federalizmie, inaczej rzeczy stanęłyby w Wiedniu. Brnąc coraz dalej po drodze utylitaryzmu, utracimy i tę resztkę godności, sponiewieramy imię nasze, przejrzymy się wyobrażeniami i dążnościami nam najbardziej obcemi, i nic pożytecznego nie uzyskamy dla kraju.

Nie ma co mówić, liberalizm czyni szalone postępy. Świeży tego przykład przedstawia uchwała sejmu bawarskiego, nakładająca

cenzurę na kaznodziejów, gorzej bo poddająca ich pod dowolnie naznaczone kary do dwóch lat więzienia, skoroby się śmieli zajmować polityką i krytykować postępowania rządu. Lepiej nie potrafią Moskale. Niech polityka nie będzie antireligijną, a i na kazalnicy pewno nie będą poruszać kwestyi politycznych; lecz gdzie rząd propaguje herezyą, tam milczenie duchowieństwa byłoby odstępstwem, kapłan katolicki nie może milczeć i nie oświecać sumień, nie przestrzegać wiernych o błędzie szerzonym z ramienia rządu; gdy zaś mówi, ulega więzieniu — czyliż więc z takim liberalizmem mamy daleko jeszcze do powrotu katakumb.

Wpływ zwycięstwa protestanckich Prus daje się uczuwać w całej Europie, równie jak sojusz ks. Bismarka z lożami masonów. Świeży tego dowód w zaburzeniach belgijskich. Dziwnie spotykają się tam interesa polityczne Prus z interesami sekty. Katolicyzm stanowi wszędzie ostatnią siłę odporną zagrożonej niepodległości; jak tę siłę podkopać döllingeryzmem starano się w Bawaryi, tak znów w Belgii na prawem niejako skrzydle aglomeratu niemieckiego leżącej i tamującej mu przystęp do morza, bardziej jednak silnem życiem katolickiem stanowiącej najdzielniejszą na zachodzie czatę przeciwko reformatorskiemu ruchowi, kierowanemu z Berlina, w Belgii odwołano się do liberałów, krzykaczy i tego tłumu ulicznego, który w Paryżu urządzał komunę. Obalić ministeryum katolickiego hr. Anethana — oto pierwszy cel polityki pruskiej — skutek może być jednak inny i szerszy. Niech ks. Bismark zważy, że w dzisiejszych czasach niebezpiecznie jest zbyt silny dawać nabój namiętnościom ludowym, chociażby w tak małym kraiku, bo jeden wystrzał podpalić może miny socyalizmu pod całą ciągnące się Europą.

Z Rzymu coraz smutniejsze dobiegają wieści. Król przybył do wiecznego miasta tym razem podobno na dłuższy pobyt. Jak nam donoszą, nie miał on jednak odwagi zająć apartamentów Kwirynału, które już hr. Humbert z ks. Małgorzatą do swego użytku w przeszłym roku urządzili. Ograniczył się tylko na pobocznym pawilonie. Jego Królewska Mość zamieszkuje oficyny papieskiego pałacu. Jest w tem jeszcze ostatni oddźwięk zgłuszonego sumienia. Konfiskata dóbr klasztornych i zabór samychże zabudowań ma być uwieńczeniem pobytu zdobywcy w stolicy. Ponowiły się znów pogłoski o zamiarze opuszczenia wiecznego miasta przez Ojca św. Pogłoski te wychodzą przeważnie z podejrzanych źródeł, z agencji depeasz i telegramów spoczywających

w rękach sekty. Nic też potworniejszego nad telegramy z Rzymu. Jedna baśń ściga inną, zanim tamtej nadejdzie zaprzeczenie, połowa czytających w nią uwierzy. Ostrzegamy przeto naszych czytelników przed owemi telegramami rzymskimi nawet w niektórych katolickich dziennikach zamieszczanemi. Zwykle są one tendencyjne i z gruntu fałszywe.

W każdym jednak razie samo to podnoszenie pogłoski o opuszczeniu Rzymu przez Ojca św. świadczy, iż ci nawet, którzy przeczą, aby Ojciec św. był w niewoli i aby mu się jakakolwiek czyniła krzywda — w gruncie pojąć nie mogą, jak Pius IX może znieść to położenie, tak według ich twierdzeń niepodległe i swobodne. Obecność też Piusa IX w Rzymie, niewygodną jest dla twórców jedności włoskiej, to ciągle otwarta rana, to żywy protest gwałtu i grabieży.

Jeden z dzienników francuskich ogłosił rozmowę p. Thiersa w sprawie przytulku Piusa IX we Francyi. Prezydent Rzeczypospolitej nie ofiaruje, ale gotów udzielić wszelkiej gościnności Namiestnikowi Chrystusowemu na ziemi francuskiej? Ofiaruje Ojcu św. zamek królewski w Pau i poręcza wszelką wolność i swobodę. Nie radzi ani nie odradza, bo Bóg, mówi p. Thiers, udzieli swego natchnienia Namiestnikowi swojemu. W liście tym jeśli nie ma ciepła katolickiej duszy, to jest poczucie tego, co przynależy reprezentantowi katolickiej Francyi.

J.

K r o n i k a.

Któż z Polaków bawiących chociażby dni parę w Rzymie nie pobiegł do pięknego klasztoru św. Andrzeja, na okazałej i szerokiej Kwirynalskiej znajdującego się ulicy, aby zwiedzić kapliczkę św. Stanisława Kostki, która mu niegdyś za celkę służyła! Kto tego nie zrobił, żałujemy go serdecznie. Pozbawił się największej dla Polaka na obcej ziemi znajdującego się przyjemności, bo ujrzenia, jakiej to czci Polak wśród obcych doznaje. Nam na zawsze pozostanie utkwiony w pamięci dzień 13 listopada 1864 r. — gdyż w tym czasie, Rzymianie tłumniej niż każdorocznie zbiegli się w celce św. Polaka, aby u stóp Jego posągu, z pysznego marmuru, prosić Boga *per infelice Polonia!* Polska wśród katolików tylko, serdecznych a stałych ma swoich przyjaciół! Mnóstwo różnorodnych cudzoziemców, również modliło się za naszą ojczyznę! Obok sędziwych dwóch pasterzy biskupów, klęczeli rzędami młodzieńcy różnej narodowości z rzymskich kolegów — z czarnymi mu rzynami z Senegambii, a dalej Chińczyk, Kanadyjczyk z Irlandczykiem odmawiali półcichym głosem do Niego modlitwę — której końcowe zwrotki pozostały nam w pamięci.

*„Fior di Poloma discenda, e salvi d'un casto sguardo.
 La fedel sua terra*

Strazzia un antica e interminabil guerra

. *discenda, e salvi d'un casto sguardo.*
La fedel sua Patria, ed il cattolico stendardo!

Patrząc na te modlące się w celce Rodaka św. za Polską pobożnych za-
 stępy, stawały nam mimowoli przed oczyma potęga i świetność Rzeczypospolitej,
 pobożność, wiara i narodowe wonczas cnoty. W duszy budziła się jakaś godziwa
 дума. Ilekroć Włosi wymawiali słowa: *Fior di Polonia! Santo Pollacco!* —
 tyle razy jakaś dziwna pociecha wstępowała do serca. O nie zaginą narody, które
 wydają świętych. I jeśli święci Polacy rozniesli imię polskie szeroko po świecie, to
 niezawodnie św. Stanisław Kostka największą okolił je chwałą i wszystkie warstwy
 w rozlicznych narodach przez niego zapoznały się z Ojczyzną naszą. Nic więc dzi-
 wnego że błogo zawsze było i będzie, Polakowi pielgrzymowi, znaleźć się w celce,
 w której Święty swój żywot zakończył. Dzisiaj niestety tę pamiątkę tracimy już
 w Rzymie. Wiktor Emanuel chciał uprzyjemnić Rzymianom swój do nich przyjazd,
 nowem lupieżstwem i klasztor ten zabranym zostanie. Wszystkie katolickie dzienniki,
 włoskie i francuzkie, poświęciły z tego powodu Świętemu Polski Synowi i Jego
 Ojczyźnie piękne i pełne serdeczności artykuły. Wiadomość o zabranii klasztoru
 głęboką napelniła żalnością Rzymian. W *Voce della Verita* woła na nich Mgr.
 Nardi, aby pospieszyli raz już ostatni powiedzieć św. Polakowi, w Jego własnej
 celce, swoje serdeczne *addio!* bo niezadługo na frontonie kościoła wyczytać będą
 już mogli następujące słowa;

Aedes. Per. Tria. Saecula.

Religioni et Scientiis. Augendis. Dicatas.

In. Equile. Convertit. Nova. Aetas.

MDCCLXXI.

Przyjazd króla Sardyńskiego do Rzymu poprzedziły bandy rewolucjonistów
 i Sardyńczyków. *Italianissimi*, znaleźli się tutaj w komplecie. *Noi siamo Romani*
 wolali! i pragniemy ujrzeć „Zbawcę naszej Ojczyzny!“ — Zaledwie też świta króle-
 wska wjechała w podwórze, zrabowanego papieżowi pałacu, improwizowani oby-
 watele Rzymu zażądali, aby im się król przedstawił — posłuszny *galantuomo* wy-
 szedł ua krużganek, zkad papież dawali benedykcyą, pobłogosławić „o d a r t y c h“
 (jak słusznie nazwał oeechowany p. Kraszewski wielbicieli, króla w listach z Wenecyi
 do „Kraju“) patryotów. — Rozentuzjzmowani winem i cekinami, wrzeszczeli zapa-
 miętale: *e viva!* Komedia odegrana, cekiny odebrane — motłoch rozbiegł się po
 mieście! — Prawdziwych Rzymian nie było! Ci, wystąpili także z zamanifestowa-
 niem swoich uczuć, ale, ani winem ani bajkami rozbudzonych i nie na cześć króla
con basso voce, ale Tego, którego miłuią, — na cześć Papieża! Było to 24 listopada
 na ulicy Ripetta około Gmachu Intendentury finansów. Tłumy cisnęły się, aby
 zmienić wywołane z obiegu obligacye papieżkie na włoskie, i kiedy urzędnicy
 Sardyńscy ociągali się z wypłatą, lud zniecierpliwiony, zaczął wołać *e viva Pio*
IX! e viva Papa il re! — drażnione uczucia rzymskiego ludu wybuchły jak lawina
 Jaka, z tysiąca piersi i pohamować się rychło nie mogły. Okrzyki trwały dość długo.
 W trzy dni później 27. b. m. król otworzył mową tronową, w zrabowanym także
 pałacu *in Monte Citorio* rozgaszczający się, Włoski parlament. Obiecuje w niej

uspokoić sumienia, sam niepokojąc je ustawicznie, wyraża nadzieję, że Rzym pozostanie i nadal spokojnem i poważnem siedliskiem pontyfikatu, — o czem nie wątpimy i co nastąpić znów musi; wreszcie, bez żadnej już obłudy faryzejsstwa, zapowiada nowe łupieżę, i prześladowania kościoła, nazywając je uregulowaniem posiadania majątków duchowych i sposobem posiadania własności prywatnej. Wrogi kościoła tryumfują tedy — tryumfowali już nieraz! To dopiero pierwsze chwile trzeciego aktu pełnej kłamstw i świętokradzkich zbrodni komedyi! Czekajmy — dzieło nieskończone — Bóg za wsze zwycięża!

Wobec tych nowych z każdym dniem na kościół napadów, Ojciec św. nie przestaje otaczać swoją dobrocią wierną kościołowi działwę — pociesza garnących się w ucisku do Niego synów — zachęca do wytrwania wśród tej ciężkiej walki, przez jaką przechodzi dzisiaj kościół. Przyjmując nowo-konsekrowanych Biskupów, przemawiał do nich, aby pokonywali odważnie przeciwności jakie ich na urządzie pasterskim czekają. Do katolików niemieckich napisał pełen ojcowskie serdeczności list pochwalający zajęte przez nich stanowisko wobec rewolucyjnych, na Kościół zamachów. I nam Polakom dał Wielki Papież jeden więcej dowód swojej ku nam ojcowskiej miłości. Ojciec Aleksander Jelowicki otrzymał bardzo piękny dar od Ojca św. dla misy polskiej w Paryżu — bo bogatą monstrancję. — Słusznie Czcigodny i wyterany w posługach na Emigracji Świętobliwy kapłan, dziękując Ojcu św., mówi: że „dar ten, przyjmie Polska ze czcią i największą wdzięcznością i przekazywać będzie przyszłym pokoleniom swoim tę relikwię, przypominającą im ustawiczne błogosławieństwa Twoje Ojciec św. jakie wylewał na nas i na naszą Ojczyznę!“ Jedno więcej świadectwo wspaniałomyślności Piusa IX. niezapominającego, nawet w smutnem położeniu o żadnem swoim dziecięciu!

W Prusiech zanosi się na gwałtowne prześladowanie Kościoła — prawo pociągające do odpowiedzialności kapłanów za kazania i nauki posłuży do nalożenia ciężkiej pęt kościołowi. Na wszystkich punktach wypowiedziano tedy walkę. Zobaczemy kto zwycięży! — Większy runęli a Kościół wyostał. Pierwsi jak zawsze OO. Jezuitci stają się celem pocisków — *signum persecutionis Ecclesiac*. Biskup¹ też Niemieccy nie zasypiają sprawy, jak jeden mąż bronią przed pociskami rzuconymi przez wrogów kościoła ten świętobliwy a wiele uczony zakon. Do króla Pruskiego zanieśli podanie domagając się w niem należącej się kościołowi wolności. Wszystkie te dokumenta, razem z odpowiedzią królewską, pełnią wybiegów i niedobrego humoru, podamy w przyszłym poszycie. Na adresie Biskupów Niemieckich podpisał się w klauzulę i Nasz dostojny ksiądz Prymas. Od pewnego czasu, staje się On w niemieckim półurzędowym dziennikarstwie przedmiotem namiętnych wycieczek. Nas to nie dziwi wcale, wiedzieliśmy i wiemy kim jest Najdostojniejszy Arcypasterz Gnieźnieński. Taki Nieustraszony Obrońca praw i nauki Kościoła, nie może zasługiwać na względy tego rodzaju prassy. Naszym liberalnym katolikom powinnyby się oczy otworzyć — bo rewolucjonistów, i to u nas nie nawróci — oni pragną jedynie zupełnej ruiny katolicyzmu, w Polsce a patriotyzm to czysta u nich arsa, jaką do czasu jeszcze się posługują. — To co robi książę Bismark w Prusach czyni i w ościennych przez swoich agentów krajach. W Holandyi na posiedzeniu parlamentu 39 głosami przeciw 17 zniesiono utrzymywanie reprezentanta Holandyi przy Stołicy Apostolskiej. Daremnie wołał, jeden z posłów ku chwale naszej, potomek polskiego rodu — osiemdziesięcioletni baron de Biberstein Rogala Zawadzki, nie za pominięcia panowie, że dzień naszego wotowania pozostanie naznaczony w historii jako początek naszego nieszczęścia — *Hodie mihi, cras tibi*

„Brutalna siła obalila dzisiaj tron dziesięcio-wiekowy najwyższych papieży, jutro nie potrzebuje jak tylko dmuchnąć, aby znieść zupełnie małą i słabiuchną Hollandyę. Bo pytam? co nas wondrous zbawić może, jeżeli dzisiaj uznać chcecie przez wasze wotowanie, że za żadną słusnością i prawem nie można protestować wobec zwyciężkiej niesprawiedliwości i niegodziwości!“ Głos ten jednak osiemdziesięcioletniego stajca u roznamiętnionych rewolucjonistów — i rozfanatyzowanych kalwinów nie znalazł posłuchu. Za to z Konstantynopola jak najpomysłniejsze przywiózł podobno Mgr. Franchi wiadomości. Missya Jego najlepsze przyniosła następstwa. — „Times“ niesłychanie z tego niezadowolony. W dzień przyjazdu Arcybiskupa Franchi z Konstantynopola do Rzymu, przejechał X. biskup Strossmayer przez wieczne miasto do Neapolu, podobno dla leczenia się na raka w żołądku.

Stowarzyszenie św. Jozafata w Prusiech zachodnich. Szacowne piśmko wychodzące w Prusiech Zachodnich, w Pelplinie, *Pielgrzym*, ogłosiło wiadomość o zawarciu tamże Stowarzyszeniu pod opieką Serca Jezusowego a wezwaniem św. Jozafata, mającym na celu przyjść w pomoc apostołstwu Unii u pobratymców naszych, Bułgarów. Zasady Stowarzyszenia są nader proste ale trafnie i głęboko pomysłane. Stowarzyszonym, może być każdy katolik bez różnicy płci, wieku i narodowości. Każdy człowiek zobowiązuje się zmówić codziennie jedno Ojciec nasz i Zdrowaś Marya na intencyą Unii bułgarskiej z dodatkiem: Najśladzse Serce Jezusowe zmiłuj się nad nami, św. Józafacie módl się za nami; przytem każdy winien składać jałmużny najmniej jeden srebrnik miesięcznie. Dwudziestu pięciu stowarzyszonych tworzy grono zwane koroną Piusową, na pamiątkę, że w dzień jubileuszu papieżkiego, w roku bieżącym, stowarzyszenie zawiązane zostało. Każda korona obiera sobie kasyera, który składki zebrane odsyła do głównego zarządu rezydującego w Pelplinie a składającego się z 6 członków, to jest prezesa, sekretarza, kasyera i ich zastępców. Prezesem jest powszechnie kochany, zacny i sędziwy ks. kanonik Pomieczyński, sekretarzem i kasyerem księża prof. Ograbiszewski i Rabcza, Najprz. Biskup Chelmiński stowarzyszenie to potwierdził, protekcyą jego przyjął i odpusty dla Stowarzyszonych u Stolicy Apostolskiej wyrobił przyrzekł. Zaraz po zatwierdzeniu statutów utworzyły się między duchowieństwem w Pelplinie trzy korony piusowe, a do pierwszej z nich na pierwszego członka zapisał się Jmci. ks. Biskup. Wezwano po wsiach proboszczów, aby o stowarzyszeniu wiernych swych zawiadamiali i do przystąpienia zapraszali.

Po tem ogłoszeniu, które w treści powtórzywszy, *Pielgrzym*, dodaje do swych czytelników serdeczne, pełne uczucia religijnego wyrazy: Łączcie się bracia siostry w Chr. P. w korony Piusowe, boć poparcia od Polaków, a najmniej podobno od tych, którychby los Unii przez samo sąsiedztwo najwięcej obchodzić powinien. Tem większy przeto zaszczyt dla mieszkańców Prus Zachodnich, prowincyi która tak długo za straconą niemal uchodziła i w której teraz tak bujnie rośnie życie polskie, że jedni z pierwszych zrozumieli i przezornie podjęli to nasze stare cywilizacyjne zadanie i wiażą dziś między sobą grona, ożywić Unii u odległych pobratymców słowiańskich. Za przykładem Prus Zachodnich i za przykładem Wielkopolski, gdzie już oddawna kilku zacnych mężów gorące uczucia żywi dla Unii, może i my w Galicyi pocujemy się do tego ze wszech miar polskiego, katolickiego obowiązku.

Mielibyśmy prawo tego spodziewać się, sądząc po nader zycziwem przyjęciu, jakiego świeżo Przełożony Missyi bułgarskiej doznał od naszych Najprz. Pasterzy i od gorliwego duchowieństwa we Lwowie, w Przemyślu, w Tarnowie i Krakowie. Nie będzie to, śnieny powiedzieć, trud dla Polski stracony. Owe ciche modliswy wznoszone za nawrócenie pobratymców, owe skromne ofiary na Misjonarzy lożone, może więcej zaważą przed Tronem Przedwiecznego, na tej szali gdzie ważą się ostatecznie losy narodów, niż nasze głośne rozprawy polityczne lub kosztowne wysilenia wyłącznie patryotyczne. Drzewo, które owoc przynosi dla Pana, wyciętem nie będzie, mówi Pismo, a inne, na którym nic nie rośnie prócz liści, skazanem zostanie na uschnięcie.

* * *

— Odbieramy „list duchowny“ od czcigodnego O. Jelowickiego, który niżej podajemy:

Wielebny Księżę Dobrodzieju!

Kończąc rekolekcyje święte, które tu corocznie pod przewodnictwem nieoszacowanego ks. Maryana Kamockiego odprawuję, ujrzałem na jego kłęczniku książeczkę, wydaną bezimiennie w Krakowie roku bieżącego, a przypisaną Julii, Józefie i Maryi Michałowski. Domyślałem się, że pierwsza z tych pobożnych niewiast jest wdową po nieodżałowanym Piotrze Michałowski, który takby się był przydał na dzisiejszy w Polsce czas! — a zaś dwie drugie, są to zapewne Jej dostojne córki. Godne zaiste takiego uczenia. Ale niestety, książeczka ta od początku do końca grzeszy nieszczęśliwym przetłumaczeniem nazwy francuzkiej *Notre Dame du Sacré Coeur*; nosi bowiem tytuł: „O Nabożeństwie do Królowej Serca Jezusowego“, i to błędne nazwanie dźwiga aż do końca, i po dobrej roli polskiej niem sieje. Pragnąc ten błąd sprostować, a przez to przyczynić się do pobożnego zamierzenia Wydawcy owej książeczki, myślę, że jemuż samemu miłą rzecz uczynię, prosząc Wielebnego Księdza Dobr., abyś w zacnym Twym *Przeglądzie Lwowskim*, stojącym na pilnej straży tego, co w Polsce jest świętem, i to słówko moje w obronie Królowej Korony Polskiej, całej Polsce podał.

Notre Dame, u Francuzów nie znaczy nic innego, jenó Matkę Bożą. I żadną miarą inaczej tego wyrażenia na język polski tłumaczyć nie godzi się. Sam wydawca wspomnianej książeczki czuł to po części, ale nie dość jasno widział, gdy na str. 20 w przypisku powiedział, że *Notre Dame* znaczy Matka Boska, lub Najświętsza Panna. Jako żywo, nigdy *Notre Dame* nie znaczyło Najświętsza Panna, lecz zawsze znaczyło i znaczy Matka Boska. Chcąc przeto w duchu i w prawdzie wykrzyknąć po polsku: *Notre Dame du Sacré Coeur, priez pour nous*, potrzeba zawołać: O Matko Serca Jezusowego, Módl się za nami! W takim wołaniu brzmi razem i Matka Boska i Serce Jezusowe, brzmi doskonale *Notre Dame du Sacré Coeur*; czego Królowa Serca Jezusowego wcale nie wybrzmiewa. Co innego bowiem jest Matka, a co innego Królowa. Któż jak Bóg! zawołał Archaniół, i tem słowem pchnął szatany w piekło. Któż jak Matka Boska! mozem my zawołać, i tem

słowem wszystkie nieprzyjacioly dusz naszych przemożem. Prawda, że Matka Boska, właśnie dla tego, że jest Matką Boską, jest też przez Boga, którego nam porodziła, Królową. Jest Królową Nieba i ziemi, lecz nie jest Królową Bożą — więc też nie jest Królową Serca Jezusowego, bo Serce Jezusowe, to miłość Jego ku nam, a Jezus, to Bóg, Którego Marya, będąc Matką, jest przez to samo Serca Jego Matką. A Matka, o jakże więcej niż Królowa! Nazywać więc Matkę Bożą, Królową Serca Jezusowego, jest-to z jednej strony ubliżać i Synowi i Matce, a z drugiej, Nabożeństwo do Matki Serca Jezusowego zniżać i ostudzać.

Przeżoż, na Imię Niepokalanej Boga Rodzicy Dziewicy, a naszej Matki i Królowej, zaklinam wszystkich i każdego, w czym kto może, począwszy od pobożnych wydawców wspomnianej książeczki, ażeby do najpocziwszego i najpobożniejszego ludu polskiego wprowadzali nabożeństwo nie do Królowej, ale do Matki Serca Jezusowego. A ta Matka Chrystusowa, Matka Łaski Bożej, Matka Miłosierdzia otworzy ku wszystkim potrzebom naszym Serce Boskiego Syna Swojego i ogień miłości Jego w sercach naszych zapali — a w tem właśnie jest zbawienie nasze.

Pragnąc w tem Braci mojej choć najmniej posłużyć, posyłam Wielebnemu Księdzu Dobrodziejowi Litanię do Matki Serca Jezusowego w polskim przekładzie, który wykonałem w czasie pożogi francuzkiej, błagając Boga przez toż Serce Jezusowe, a za przyczyną Matki Jego, by Polskę naszą od podobnej plagi zachował na wieki. Racz tę Litanię, za pozwoleniem duchownej Zwierzchności Lwowskiej, tuż po niniejszym liście wydrukować,¹⁾ ażeby ją mógł przedrukować każdy, kto tym sposobem przyczynić się zechce do szerzenia między ludem polskim Nabożeństwa do Matki Serca Jezusowego, której polecamy zawsze całą Polskę i wszystkich Polaków.

Z głębokiem uszanowaniem Wielebności Waszej
uniżony w Chrystusie sługa

X. ALEKSANDER JEŁOWICKI, *p. p.*

Montdidier (Somme), 28 października 1871 r.

* * *

Gazecie Narodowej. — Znany liberal z świata murgrabia dolnego pietra i narkotyzator Gazety, w Numerze 335, z 25 listopada — wystąpił znowu przeciwko nam w roli, przyznać należy, poważnie giestykulącego bonzy i komedyc salamandry przez włoskiego bajkopisa opowiedzianą, wobec swoich czytelników odegrał z całą dokładnością. — Czytelnicy pochlaniali każde jego słówko upatrując w jego dźwięku niemale podobieństwo z brzmieniem cymbałów, tylko że nie Mickiewiczowskiego Jankla! — Jedyna to ozdoba Gazety! — Atoli Pan Jan Dobrzański, nigdy w niedzielę nie przystraja niąswojego Dziennika — przekłada wyprawiać w tym dniu, akrobatyczne w fejetonie, *à la Lam*, przez dwóch chłopców łamańce, bacząc, że *infinitus numerus stultorum* pragnie w tym dniu nacieszyć się takimi specyałami. *Mundus vult decipi erga decipiatur*, byle Gazeta cel swó jak

¹⁾ Podamy później. (*Red. Przegl.*)

najrychlej osiągnąć zdołała. Bije więc bezkarnie w nas katolików; zachwala *paszkwile* na stan duchowny pisane, aby kapłanów zożyć i poniżyć zupełnie; anonkuje owe techniczne niby posiedzenia — aby zgromadzić jak największą liczbę młodzieży na słuchanie wygłaszanych głupstw przez takiego p. Wierzejskiego, który po dokładnem obejrzeniu samego siebie w lustrze, sili się niepotrzebnie przekonywać, chciwie ratuszowych madrygałów audytorium, o swoim w prostej linii pochodzeniu od małpy; — zapowiada kiedy wygłaszane będą luterskie w polskim języku trele, aby do chodzenia do kirchy ludność katolicką zachęcić; głosi, że Ultramontanie t. j. my katolicy spiskujemy przeciw bezpieczeństwu publicznemu, razem z przyjaciółmi p. Bro. Woł. współpracownika Gazety t. j. czerwoniemi Internacjonalami; wydaje krzyk boleści z powodu porwania jakiemś niemądremu jegomości, jego córki przez czarne zastępy — i zamknięcia jej w zaimprovizowanym *ad hoc* szczególniejszego rodzaju klasztorze, w jakimś Wiedeńskim hotelu; oburza się wreszcie i gromi Lwowianki, za nieuczęszczanie na prelekcye takiej pedagogiczno-naukowej znakomitości, jaką jest niezaprzeczenie, pani Felicja Wasilewska, prawiąca: że „Luter jest jakby koroną wieńczącą myśl ludzką;“ słowem, Gazeta robi wszystko co tylko może, aby cel swój osiągnąć t. j. przyprowadzić do zupełnego umysłowego i moralnego rozstroju nasze społeczeństwo, do skażenia zasad — do zamętu pojęć do całkowitego zabicia w narodzie naszym wiary katolickiej! I w chwili takiej propagandy ma jeszcze odwagę przemawiać w imię katolicyzmu, pokrzywdzonego niby przez naukę Kościoła, grożąc wypowiedzeniem Mu zaciętej walki, jeżeli my katolicy pozostaniemy nadal wiernymi Jego nauce!

Za to jawne zdeklarowanie się Gazety przeciwko naszej wierze i naszemu kościołowi dziękujemy, łatwiej się bowiem na niej będzie mógł każdy już poznać, aniżeli gdyby się stroiła jeszcze w maskę hipokryzyi i obłudy, udając zelantkę. — Bądź co bądź w obec uczynionej nam przez nią obietnicy, uważamy za stosowne odesłać redaktorów Gazety do pierwszego lepszego katolickiego katechizmu, chociażby przed kilkoma wiekami wydanego u nas w Polsce, aby się mogli nauczyć, co to jest właściwie katolicyzm i jak zachować się należy, aby być katolikiem. — Tam dowiedzieć się będą mogli, że nie dosyć jeszcze być ochrzczonym, aby się uważać już za katolika, ale należy: w to wszystko co się odnosi do dogmatów i moralności, a co nauczający kościół t. j. Papież Rzymski i Biskupi ogłaszają i do wierzenia podają, wierzyć — a następnie, że katolik dekretem kościoła posłusznym być powinien — inaczej, chociażby na cztery wiatry wrzeszczał jak to zwyczajnie robi przezacna Gazeta, katolikiem nie jest i być nie może. — Dowiedzą się następnie redaktorowie Gazety, że religia katolicka nigdy nie służyła za łachman do okrycia tej lub owej jedynie narodowości, ale była, jest i będzie dla tego, że jest Bożą, dla wszystkich ludów i narodów, tak dla Tatarzyna jak i Chińczyka, Polaka lub Niemca, bo religia katolicka, Kościół Nasz, wyższy jest, wznioślejszym, „po nad wszystkie sprawy“ tego świata! — Taka jest nauka Kościoła, tem jest katolicyzm!

Oświadczamy zarazem *Gazecie Narodowej*, że jej pogroźki nie zdołają zachwiać naszej wierności dla nauki kościoła i wiemy o tem dobrze, że nie możemy jak tylko bitymi być od niej — od Moskali, Protestantów, rewolucyi i całej ezeready z wrogów Kościoła złożonej, w szeregach których i ona oddawna znalazła należne sobie uznanie. Napróżno wreszcie Gazeta aroguje sobie prawo przemawiania w imię naszego narodu, który dzięki Bogu, krom małej garstki zwanej intelligencyą — wy-

trwale przy kościele stoi — bo to ośmiesza ją tylko i przypomina mimo woli historię schwytanego na gorącym uczynku rozbójnika, który wrzeszczał na całe gardło *au voleur!* aby wśród zgłębku i tłumu sam mógł łatwiej drapnąć. — Gazeta czuje, że jest w podobnym położeniu, bo oddawna zerwała solidarność z Narodem, zbezczeszczyła Jego świętości i Jego wiarę — i dla tego wrzeszczy. Napróżno, nikt jej nie uwierzy, aby panowie: Jan Dobrzański, apologietysta massonów p. Starkel, p. Agaton Giller, Bronisław Wołowski i dwaj żaczki tego i innego pióra, jedynie w sobie uosabiali cały polski naród! — Na to niepozwoła nawet pp. Gumpłowicz, Lam, Callier, i Patriarcha naszych liberałów z Drezna p. Kraszewski!

Co się zaś tyczy twierdzeń Gazety, że my pochwalając postępek Czcigodnych kapłanów z Wielkopolski (tych co zaprenumerowali „*Germanię*“, nie mając innego dziennika a porzucili „*Dziennik Poznański*“, musimy w następstwie usprawiedliwić postępowanie Nemekszy i innych apostatów na Litwie i Rusi, wprowadzających język rosyjski do liturgii — na to, nie odpowiadamy. — Z taką logiką, która obrzędy liturgiczne i czytanie dzienników uważa za synonimy, rozprawiać niepodobna! — Obelga zaś, jaką na nas Gazeta rzucić chciała, niechaj spadnie na tych którzy w jej łamach tak samo jak owi zdrajcy wiary i narodu lekceważą i pomniejszają prawa i naukę kościoła!

Tyle w odpowiedzi na artykuł ze świata zamieszczony w Num. Gazety 355 z dnia 25 listopada — a teraz słówko jej kronikarzowi, za opis obchodu rocznicy śmierci Mickiewicza, w numerze z dnia 30 list. „Pomiędzy młodzieżą (wola on) nie widzieliśmy słuchaczy teologii tak ruskiego jak i łacińskiego obrządku.“ — Nic naturalniejszego, nie byli, bo tam być nie powinni! Kronikarz jednak zrozumieć i pojąć tego nie może. — I nic dziwnego. On i odpowiedzialnym nawet nie jest za owo pełne arrogancyi wystąpienie z zapytaniem: czemuż nieobecność ich (t. j. Seminarzystów) uzasadnić potrafią Arcybiskupi? Takim tonem odzywa się do Najwyższych u nas Dostojników Kościoła!

P. Jan Dobrzański, jeżeli nie zwraca uwagi na stopień wykształcenia swoich współpracowników, to przynajmniej baczyć powinien, aby jakie takie mieli wychowanie!...

Tygodnik Katolicki podaje nam w ostatnich numerach treściwe rozbiory dzieł z literatury włoskiej, łacińskiej, niemieckiej i polskiej — Pomiędzy innymi uderzyła nas krótka krytyka małej broszurki wyszłej we Lwowie „pogląd na czasy i prace Grzegorza Piramowicza“ wykład ks. Romana z Pawłowa. Czytaliśmy te madrygaly, kiedy jeszcze w feljetonie *Gazety Narodowej* były umieszczone i pominęliśmy je milczeniem — na co zasługiwały. *Tygodnik Katolicki* wiele robi zaszczytu ich autorowi, kiedy o nich wspomina, Nie omylił się jednak twierdząc, że X. Roman należeć musi do teologów jeżeli nie *Gazety Narod.* to *Dzienniku Polskiego*.“ Tak jest — X. Roman jest stałym, utyskującym dość często na Ultramontanów korespondentem *Narodowej Gazety*. — X. Romanowi z Pawłowa Wilczyńskiemu wybaczyć jednak należy, wszelkie w tej ramotce chorośliwe pogawarki. On temu nie winien, kiedy Pan Agaton Giller uznał je za piękne, dobre i zdrowe!

Pan Sozański wydaje przez cały przeciąg lat dziesięciu *nova et vetera* różnego rodzaju dzieciństwa — do których najczęściej przyłączy jakaś facecya. Ostatnia razą wydał tłumaczony przez siebie długie lata kilka - kartkowy, z 1606 roku, bo za czasów rokoszu Zebrzydowskiego napisany a następnie przez Skargę zrefutowany i przez wszystkich wysmiany, głupi bardzo paszkwil. Ale p. Sozański, znany zresztą *homo*, wydał go jak jaki wielki rarytas! Winszujemy mu smaku i mądrości! —

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE

podawane przez księgarnię

Seyfartha i Czajkowskiego WE LWOWIE.

- Berlicz Sas.** Pani Kasztelanowa Trocka, Pamiętnik, w 8ce str. 244 Lwów 1871 cena 1 fl. 50. cnt.
- O Bytności Boga,** Przekład z francuzkiego H. K. E w 32 str 76 Wilno 1870 24 cnt
- Bykowski P. J.** Pamiętniki włóczęgi (Z czasów przejścia XVIII. do XIX. wieku) 4 tomy w 8ce. I. Tom str 323, II. Tom 297, III. Tom 252, IV. Tom 195. Warszawa 1872 cena 6 fl.
- Ehrenberg G** Wykład Bajek Krasickiego, wraz z tekstem tychże, w 8ce str. 276. Kraków 1871 cena 1 fl 50.
- Falkowski H J.** Ogród różany, w którym zawiera się duch nabożeństwa i religii, ku pożytkowi duchownemu, wszystkich pobożnych katolików służący (Wydanie nowe poprawne i pomnożone) w 8ce str. 671. Wilno 1871 cena 2 fl.
- Fizyk mały** czyli opis doświadczeń z magnesami, elektrycznością, światłem, wodą, dla młodzieży od 8go roku życia, objaśnione 125 drzeworytami, w 8ce str. 210. Warszawa 1871 cena 1 fl. 80 cnt.
- Fredro Alexander Hr.** Komedye, (wydanie czwarte z portretem autora) 5 tomów w 8ce Warszawa 1871, cena 3 fl. (oprawne 6 fl.)
- Hauke Bosak Józef.** Rys bjograficzny, według materiałów zebranych przez Zygmunta Kolumnę, napisał Władysław Sabowski, z portretem fotografowanym z natury i podobizną podpisu, w 8ce str. 103 Kraków 1871 cena 65 cnt.
- Jachowicz Stanisław.** Bajki i powiastki, w ilustrowanej edycji z 24 drzeworytami, rysunku J. Kosaka. W Gersona, H. Pikarda, H. Pilatego, w 8ce str. 184 Kraków 1871 cena 2 fl.
- Karwacki Alexander Dr.** Ogrodnictwo warzywne, drzew owocowych i krzewów jagodowych, oraz użyteczność tychże, w 8ce str. 220 Warszawa 1871 cena 1 fl.
- Kalinka Waleryan Ks.** Przegrana Francyi i przyszłość Europy, w 8ce str. 54 Kraków 1871 cena 50 cnt.
- Kowarz Piotr.** Prawidła główne gospodarstwa rolnego i hodowli bydła, (z 19 drzeworytami) w 8ce str. 304 Warszawa 1870.
- Kraszewski J. I.** Pałac i folwark. Obrazy naszych czasów, w 8ce str. 236 Poznań 1871 cena 1 fl. 60 cnt.
- Lemonnier Kamil.** Sedan. Tłumaczył Filip Sulimierski, w 8ce str. 185 Warszawa 1871 cena 84 cnt.
- Mickiewicz A.** Historya Polski w głównych jej zarysach, w 8ce str. 353 Paryż 1871 cena 2 fl. 75 cnt.
- Nikolas August.** Wywód prawdy chrześcijańskiej, ze stanowiska Filozofii, Dogmatu i Historji, 2 tomy w 8ce I. str. 410 II. str. 424 Wilno 1870 cena 5 fl. 50 cnt.
- Orzeszkowa Eliza.** Cnotliwi. Powieść, w 8ce str. 407 Warszawa 1871 cena 2 fl.



- Pietkiewicz Apolinary.** Meteorologia, w 8ce str. 600, Kraków 1872 cena 8. fl.
- Rok kościelny, czyli książka domowa dla katolików przez S. K. 2 tomy w 8ce I. str. 320, II. str. 394. Wilno 1870 cena 3 fl.
- Rychlicki Franciszek.** Tadeusz Kościuszko i rozbiór Polski, w 8ce 517 str. Kraków 1872 3 fl.
- Siemiński L.** Religijność i mistyka w życiu Mickiewicza. Studium w 8ce str. 151 Kraków 1871 cena 1 fl. 50 cnt.
- Widoczne prawdy przez Biskupa Segura. Przekład z francuzkiego przez X. K. E. w 16ce str. 56 Wilno 1871 cena 18 cnt.
- Wieczory czwartkowe. Opowiadania o cudach przyrody i znakomitszych odkryciach naukowych. Młodocianemu wiekowi poświęcone przez strego przyjaciela dzieci, z 30 drzeworytami, w 8ce str. 448. Warszawa 1871 kartonowane 2 fl. 25 cnt.
- Zarewicz Ludwik.** Zakon Kamedułów, jego fundacye i dziejowe wspomnienia w Polsce i Litwie. Przeważnie według źródeł rękopiśmiennych archiwu OO. Kamedułów na Bielanych przy Krakowie. w 8ce str. 232 Kraków 1871 cena 1 fl. 50 cnt.
- Zamorski B.** Polska od roku 1807 do 1815. Studium historyczne w dużej 8ce str 220 Lwów 1871 cena 1 fl. 60 cnt
- Zaleski Bronisław.** Rzym jako stolica państwa Włoskiego. Kraków 1871 cena 1 fl.
- Bauer M. B.** Les Martyrs de l' Europe au dix-neuvième siècle. Discours prononcé à Paris, dans l'église de Saint-Thomas - d'Aopun 8. str. 32, Paris 1868 25 cnt.
- Tegoż.** La pologne devant l'histoire et devant Dieu Discours prononcé à Paris dans l'église la Madeleine. 8. str 32, Paris 1868 25 cnt.
- Caussette le R. P.** Dieu et les malheurs de France w 8ce str. 250 Toulouse 1871 1 fl. 50 cnt.
- Thomas M. l'abbé.** Études chritiques sur les orgines du Christianisme, w dużej 8ce str. 528, Paris, 1870 — cena 3 zł. 60 cnt.

Nakładem Redakcyi „Chaty“ wyszedł

Kalendarz „Chaty“ na rok 1872

(8 arkuszy druku w 8ce)

który oprócz tabel świątecznych (czerwono i czarno drukowanych) zawiera: Po stu latach. — Treny ks. J. Morelowskiego — Przepowiednie odnoszące się do przyszłości Polski. — Z gospodarstwa — Stowarzyszenia i cechy tudzież godła i patronowie tychże. — Gminne powiastki i podania. — Kwestarz teolog (wiersz). — Anegdoty i fraszki — Panujący obecnie monarchowie europejscy. — Ustawa wojskowa. — Postanowienia dotyczące poczt, telegrafów, kolei itp. — Rady gospodarskie. — Tabele procentowe itp. — Jarmarki i ogłoszenia.

 Cena 1 egzemplarza 25 centów. 

Główny skład w księgarni pp Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie
na placu św. Ducha.